



ŚWIĘTA Z „PRZEMKROJEM” W REKU...

48
stron
cena
50 zł

16-23-30 grudnia 1984 r. ★ numery: 2062-2063-2064

PRZE KRÓT ROKU 1984

Czy był dla nas dobry? Czy odchodząc, pozwała żywić nadzieje na lepsze jutro, po jutrze?

Odpowiedzi na te pytania niełatwe. Spróbujmy je odczytać obok — z 30 klatek filmowych wyciętych z obrazu świata 1984. Czasu, który żegnamy. Otwiera ten obraz konferencja sztokholmska. W styczniu mijającego roku przybyli na nią z 28 krajów Europy, Stanów Zjednoczonych i Kanady ministrowie spraw zagranicznych, aby podjąć nikły już wątek rwącego się między Zachodem i Wschodem dialogu.

Nie budziły optymistycznych prognoz zawieszone w Genewie i Wiedniu rozmowy radziecko-amerykańskie. Na poligony Europy Zachodniej wjeżdżały, transportowane zza oceanu, nowe generacje rakiet. Toczyła się prowadząca donikąd wojna irańsko-iracka. Nowe niepokoje targły Bliskim i Dalekim Wschodem. Nikaragui groziła powtórka Grenady. Nad światem dawało widmo gwiazdnych wojen.

W tym najprzekrętszym od lat niżej politycznym świecie z trudem rozwiązywaliśmy nasze polskie sprawy. Krajowa konferencja partyjna raz jeszcze potwierdzała, że nie ma odwrotu od porozumień sierpniowych. Rząd pracował przy otwartej kurtynie.

Czerwcowe narodowe referendum opowiedziało się w wyborach do rad za programem partii i Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego. Wkrótce amnestia dla 35 tysięcy otworzyła nowy rozdział porozumienia narodowego, przyczyniła się do stabilizacji życia w kraju, a na arenie międzynarodowej — do wychodzenia z izolacji.

Kruszyliśmy jej mury we współdziałaniu z krajami socjalistycznej wspólnoty. Byliśmy wszędzie, gdzie rozstrzygały się losy światowego pokoju, bezpieczeństwa i międzynarodowej współpracy. Wizyty sekretarza generalnego ONZ, premiera Grecji, ministrów spraw zagranicznych Austrii i Finlandii potwierdzały słusność idei, że wyjście Polski z izolacji leży w interesie Europy i świata. Byliśmy wstrząśnięci, gdy procesowi temu usiłowała postawić tamę polityczna prowokacja.

Niemal u schyłku roku znalazły w Białym Domu odzew, kierowane od dawna z Moskwy do Waszyngtonu, zapewnienia o gotowości do rozmów rozbrojeniowych, do powstrzymania atomizacji kosmosu.

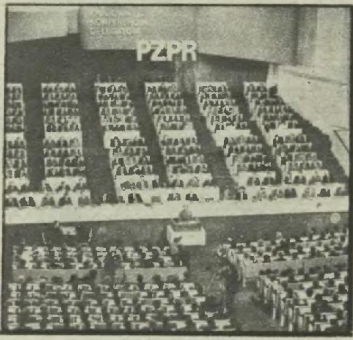
Przed rokiem w tym samym miejscu przypomniał nam cytowane przez Indirę Gandhi słowa wielkiego Nehru: *Bez pokoju wszystkie nasze sny obrócą się w popiół.*

Nie ma już, wśród żywych Indirę Gandhi. Jej prochy rozwił wiatr nad Himalajami, ale sny Hindusów — mimo furii cyklonów i piekła w Bhopalu — nie obróciły się w popiół. Chcą wierzyć, a wraz z nimi 4 miliardy mieszkańców Ziemi, że rok 1985 uwolni naszą niespokojną planetę od lęku przed bogami wojny.

Czytelników informujemy, że następny numer P. 2065, z datą 6 stycznia 1985 r., ukaże się w sprzedaży po Nowym Roku.



STYCZEŃ. W Sztokholmie kontynuacja helsińskiej KBWE. Jedynie forum dialogu Wschód-Zachód po zerwanych rozmowach rozbrojeniowych w Genewie i Wiedniu.



W Warszawie Krajowa Konferencja Delegatów PZPR nawija do uchwał IX Zjazdu. Przyjmuje deklarację: *O co walczymy, dokąd zmierzamy. I apel pokoju.*



Ponad 50 tys. strajkujących górników wychodzi na ulice Londynu w proteście przeciwko zamykaniu kopalni węgla. Pani Thatcher nie zamierza ustąpić.



Brighton. W Grand Hotelu, gdzie odbywa się konferencja konserwatystów, wybuchła bomba. Gina 4 osoby. Wśród 30 rannych są członkowie rządu pani Thatcher.



Ronald Reagan wygrywa wybory prezydenckie. Przez kolejne 4 lata rządzić wraz z nim będą republikanie. Zapowiada ją prestiż Amerykanom, pokój światu.



LUTY. Pogrzeb Jurija Andropowa. Do Moskwy przybywają szefowie państw i rządów. Nowy przywódca radziecki, Konstantin Czernienko, odbywa liczne spotkania.



KWIECIEŃ. Tradycyjne marsze wielkonoce jednoczą stolicę zachodniej Europy w proteście przeciwko instalacjom nowych eurorakiet USA i zbrojeniom.



LIPIEC. W 40 rocznicę PRL uroczysta sesja Sejmu. Uchwala o amnestii dla 35 tysięcy otwiera drogę do porozumienia narodowego, stabilizacji życia kraju.



Pokoju Nagrodę Nobla przyznano Desmondowi Tutu, biskupowi angikańskiemu (na zdj. z małżonką), walczącemu bezkompromisowo z apartheidem w RPA.



Mieszkańcy Tokio coraz częściej protestują przeciwko sprzeczności z konstytucją Japonii rozmieszczaniu na terytorium kraju pocisków nuklearnych.



W Polsce wizyta sekretarza gen. ONZ — Javiera Pereza de Cuellara. Rozmowy z przedstawicielami partii i rządu. UJ nadaje gościowi tytuł doktora h. c.



MAJ. Jan Paweł II odbywa pielgrzymkę do Korei Płd., Papui-N. Gwinei, Tajlandii, na Wyspy Salomona. Spotyka się z powracającym z Chin prez. Reaganem.



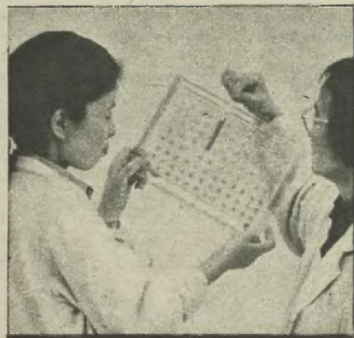
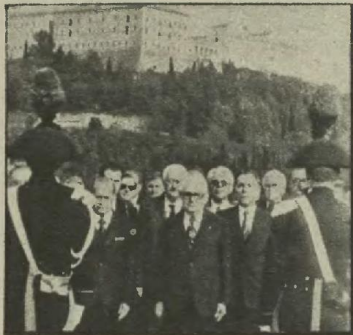
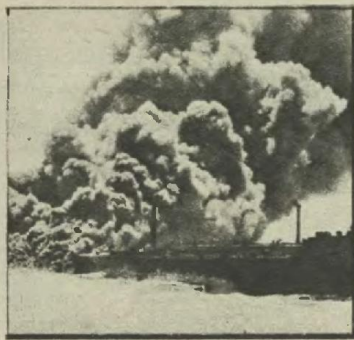
W Los Angeles 23 Letnie Igrzyska Olimpijskie. Na starcie zabrakło przedstawicieli 19 krajów, w tym Polski. Raz jeszcze polityka zdominowała idee sportu.



Wiele państw Afryki dotyka klęska suszy. Głód zagraża 150 milionom. W tragicznej sytuacji jest Etiopia. Oczekują pomocy ludzie i zwierzęta.



Bytom. W hali sportowej „Szombierek” 1100 związkowców powołuje Ogólnopolskie Porozumienie Związków Zawodowych. Na jego czele staje Alfred Miodowicz.



JUBILEUSZ PROFESORA

Rewaloryzacja zabytków Krakowa nie jest tylko sprawą jego mieszkańców, lecz wszystkich Polaków, gdyż troska o bezcenne świadectwa naszej narodowej tradycji — to wyraz szacunku dla naszego własnego rodowodu, niezbędny składnik patriotyzmu.

Te słowa profesor Henryk Jabłoński napisał specjalnie dla „Przekroju”. Opublikowaliśmy je na okładce numeru 1748 (8 X 1978). To właśnie one zainaugurowały akcję P., związaną z ochroną narodowych dóbr kultury.

Przypominamy o tym fakcie w dniach szczególnych. Profesor Henryk Jabłoński obchodzi swoje 75 urodziny. Życiorys Dostojnego Jubilatą wypełnia praca naukowa, żołnierska walka, działalność polityczna.

Bral udział w kampanii wrześniowej, walczył pod Narvikiem, był uczestnikiem polskiego ruchu oporu we Francji. Jest członkiem towarzystw naukowych w wielu krajach, posiada liczne zagraniczne odznaczenia. Ogłosił wiele publikacji naukowych, a wśród nich znaczące w naszej historiografii pozyje: „Polityka Polskiej Partii Socjalistycznej w czasie wojny 1914–1918”, „Narodziny drugiej Rzeczypospolitej 1918–19”. Od 1972 roku pełni funkcję przewodniczącego Rady Państwa.

P. dołącza się do wszystkich najlepszych życzeń, wyrażonych pod adresem Jubilatów.

Czytelnikom
Przyjaciółom
Drukarzom
i Kolporterom
pogodnych świąt
a także dobrego
szczęśliwego
Nowego Roku
życzy serdecznie



SUKCES

• czym jest • jak się go osiąga • jaka jest jego cena

Człowiek umiarkowany pożąda tego, czego trzeba, tak jak trzeba i wtedy, kiedy trzeba — twierdził Arystoteles. Ludzi sukcesu raczej trudno zaliczyć do umiarkowanych. Zazwyczaj w ich dążeniu wkalkulowany jest element ryzyka, którego człowiek umiarkowany stara się unikać. Dlatego kilku osobom, których nazwiska kojarzą się w dość powszechnym odczuciu z życiowym sukcesem, postawiliśmy trzy tytułowe pytania.

Dążenie do sukcesu jest stare jak natura ludzka. Sukces wynosił na trony, sławił dowódców, pisarzom przysparzał czytelników, politykom wyborców, artystom wielbicieli. Pomnażał sławę i pieniądze. Obok niego krąży jednak zawsze cień cudzej porażki, bowiem sukces osiąga się zazwyczaj w rywalizacji, w której muszą być zwycięzcy i pokonani.

Pragnienie sukcesu zrodziło „Księgę rekordów” Guinnessa — wyczynów absurdalnych, dzięki którym nikomu wcześniej nie znany człowiek chce zaznaczyć swą obecność w tłumie. Księga wyszła naprzeciw naturalnemu pragnieniu do wybitcia się ponad przeciętność i nic dziwnego, że wymyślono ją tam, gdzie w społeczny system wartości wkomponowane jest pojęcie rywalizacji. Sukces staje się tam miarą człowieka, jest niejako wymuszany przez otoczenie, czyniąc w konsekwencji gorszymi tych, którym z różnych względów nie powiodło się w życiu. Czasem dążeniu w górę nie sprzyja hermetyczność środowisk i społecznych struktur, czasem źle pojęty egalitaryzm, który sprawia, że ktoś wybijający się ponad przeciętność będzie ścigany w dół i to zazwyczaj przez ludzi o nie spełnionej wewnętrznej potrzebie odniesienia sukcesu.

Tradycję kulturową naszego społeczeństwa bardziej zdominowała apoteoza klęski niż sukcesu. Zdeterminowanie potrzeby przetrwania jako narodu pozbawiło nas wieku XIX-tego, który dla innych społeczeństw był wiekiem rozwoju ekonomicznego, wiekiem zapotrzebowania na ludzi, którym się wiedzie; oni, dzięki swej przedsiębiorczości i talentom, tworzyli wartości materialne, podczas gdy nam zostawały gesty, słowa i uczucia. U nas sukcesy odnosiło się bardziej w sferze ducha, a duch pogardzał tymi, którzy swą energię i zdolności kierowali na cele materialne. Wielkie pieniądze, podobnie jak kariera, nie kojarzyły się z czystością moralną, a stworzony w XIX wieku typ inteligenta wkroczył w następne stulecie w wytartym surducie, podszitym przekonaniem, że *moja wartość nie opiera się na posiadaniu*. Z lat późniejszych i nie tak odległych pozostało przeświadczenie, że kariera jest czymś niegodnym i stawia człowieka w sytuacji cokolwiek dwuznacznej. Nawet w „Słowniku języka polskiego” nie uświadczysz nazwy człowieka robiącego karierę w sposób normalny. Jest tylko *karierowicz*, ale to już epitet, gdyż chodzi o człowieka robiącego karierę za wszelką cenę.

Czy sukces można utożsamiać z karierą? Czy każdy człowiek, który wspiął się na szczyt swoich dążeń, powie: osiągnąłem sukces? Czy wystarczy tylko własne o tym przekonanie? Czy nie, właśnie, społeczna aproba i uznanie są tym, co sprawia, że ludzie pragną się wybić ponad innych i chcą, aby o tym wiedział ktoś więcej niż oni sami?

Sukces najczęściej kojarzy się z pieniędzmi, ale społeczne uznanie zależy również od tego, w jaki sposób pieniądze zostały zdobyte. Czy będzie więc sukcesem, gdy zrobisz karierę, spojrzysz na ludzi, a zobaczysz ich plecy?

Jeżeli przez sukces pojmujemy zrealizowanie postawionego sobie celu, to każdy może stać się człowiekiem sukcesu. Dla reżysera celem może być film, za który otrzyma „Oscara”, dla lekarza — udana operacja, ktoś skoncentruje swe ambicje na wychowaniu dzieci, inny sukcesem nazwie zdobycie mieszkania po latach oczekiwania, jeszcze inny poczuje się lepiej, gdy kapusta na jego dział-

ce będzie większa niż u sąsiada. Subiektywnie każdy z tych ludzi odniesie sukces, bo taka była skala ich dążeń. Ale w czołówce znajdują się nazwiska tych, których osiągnięcia wzbudziły aprobatę milionów.

Nie każdemu wydaje się, że mógłby wejść na Everest, ale już liczba osób, które bezkrytycznie widzą siebie za biurkiem sowicie opłacanego dyrektora firmy polonijnej, jest znacznie większa. Zewnętrzne oznaki sukcesu najczęściej rzucają się w oczy i nikt nie pyta o jego cenę, jakby pieniądze same spadały z nieba. Rekordy sportowe należą do nie kwestionowanych osiągnięć i mało kto wierzy, że sukces w sporcie można zdobyć przez koneksje, bufet czy łóżko. Nawet gdy mistrzom zazdrości się wojaży i pieniędzy, to świadomość jakim wysiłkiem zdobywa się mistrzowski tytuł jest w społeczeństwie powszechniejsza niż w przypadku innych dziedzin, gdzie wyobrażamy sobie, że sukces osiąga się „łatwo, szybko i przyjemnie”.

Poczucie sukcesu daje wygraną w rywalizacji. Hans Selye — twórca głośnej teorii stresu — uważa, że ludzie nie rodzą się równymi, ale powinni mieć prawo do równego startu i tylko ich własne postępowanie ma decydować, jak daleko w życiu zajdą. W granicach wyznaczonych przez swoje wrodzone zdolności powinni dążyć do czegoś najlepszego, na co ich stać. Aspiracjom powinien jednak towarzyszyć rozsądek, gdyż zadania, które nas przerastają, kończą się porażką, a ta przynosi frustrację i zniechęcenie.

Warunki, w jakich się wyrasta, mogą sprzyjać lub utrudniać dążenie do życiowego celu. I choć na temat przyczyn i uwarunkowań sukcesu napisano wiele mądrych słów, to ostatecznie nie sposób tego ująć — jak nauk przyrodniczych — w żelazne prawa. Jedne kariery biorą początek w dobrobycie, w innych ludziach ubóstwo wyzwała przemożną ambicję wyrwania się ze środowiska, które ich przytłacza. Niepoślednią rolę odgrywa wychowanie. O trudach dojścia do sukcesu wiemy zazwyczaj od tych, którym się powiodło. Nie znamy nazwisk ludzi, którym nie udało się przebić, nie dlatego, że nie mieli talentu, tylko dlatego, że natrafili na zbyt twardy mur.

Niezależnie od stanu badań, „droga do sukcesu” nie jest dokładnie oznakowanym szlakiem, a zamieszczone tutaj wypowiedzi dowodzą, że nie sposób jednoznacznie stwierdzić, jakie zasady umożliwiają posuwanie się po niej. Jedno jest pewne: Fortuna rzadko przychodzi do tych, którzy na nią czekają, siedząc w kącie z założonymi rękoma. Zapatrzeni zazdrośnie w sławę i pieniądze innych, zapominamy często o mozołnej pracy, bez której, marnieją nawet najwspanialsze talenty. Jest idealną sytuacją, gdy talent i zdolności są towarami, o który zabiega chętny nabywca, wiedząc, że chce bycia lepszym i pragnienie sukcesu nie ogranicza się tylko do sfery naszego prywatnego samopoczucia, lecz wpływa na poziom życia całego społeczeństwa. Może działać się jednak zgoła inaczej. Dążenie do sukcesu jest w końcu zmaganiem się nie tylko z samym sobą, ale również z uwarunkowaniami zewnętrznymi.

Zamieszczoną obok „receptę na sukces” sporządził doc. dr Zbigniew Nęcki — psycholog z Uniwersytetu Jagiellońskiego. To nie jest jednak lekarstwo na brak wielkości i niczego nie gwarantuje. Próbuje tylko uświadomić, że żyjąc bez celu — nigdy nie pocujemy się dobrze.

Brak celów życiowych zalicza się do najbardziej szkodliwych czynników stresujących. Następnym ich bywają choroby „ciała i duszy” ludzi, którym się nie wiedzie. Niemal identyczne schorzenia, zdaniem lekarzy, dosięgają również „ludzi sukcesu”, co nikogo jednak nie zniechęca do rezygnacji z dobrodziejstw, jakie dają pieniądze i popularność. W końcu nie każdy sukces musi być okupiony chorobą a już na pewno lepiej leczyć się ze skutków jego nadmiaru niż chronicznego braku.

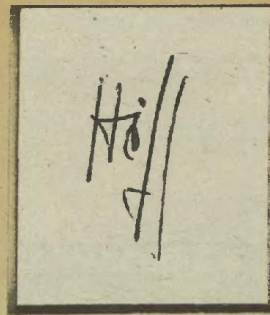


Krzysztof Penderecki

1. — Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Sukces jest czymś naturalnym — jest zupełnym naturalnym wynikiem zdolności, wielkiej pracy i dobrze zorganizowanego czasu.

2. — Myślę, że jesteśmy narodem ludzi zdolnych, lecz o miernej i niesystematycznej pracy, i zupełnym braku umiejętności jej organizowania. Dlatego rzadko kiedy Polak odnosi sukces, a jeśli odnosi, to najczęściej w innych warunkach, innym środowisku. Są to wady, które sprawiają, że można u nas zostać poetą, ale nie wielkim powieściopisarzem, w muzyce zaś miniaturzystą, lecz już nie wielkim symfonikiem.

3. — Place stałym brakiem czasu, który chciałbym przeznaczyć na zajęcie się czymś, co bym naprawdę lubił: restauracją zabytków, botaniką, zakładaniem ogrodów. To ostatnie jest zresztą abstrakcją, gdyż u nas raczej niszczą się ogrody, niż je pielęgnuje, zakłada, tworzy.



Barbara Hoff

1. — Nie mam silnego poczucia sukcesu, bo uważam go za stan normalny. Udało mi się odnieść sukces jako autorce książki, jako felietonistce „Szpilek”, autorce tekstów kabaretowych. Pierwszą „modą” zrobioną dla „P.” udało mi się od razu coś wylansować. Jeszcze nie byłam pewna, czy będę się tym zajmować, a już zaskoczyło. W tym, co rysowałam, chodziły tłumy. Zająłem się modą, bo zawsze chciałam rządzić. Do rządzenia się chyba jednak nie nadaję, bo jestem zbyt wyrozumiały, więc w modzie znalazłam możliwość wyżycia się jako dyktator. Sądzę, że taką formą dyktatorstwa przynajmniej nikomu nie szkodzi, najwyżej samej sobie.

2. — Synonimem polskiego sukcesu jest zaistnienie za granicą. Ja zaś świadomie nastawiałam się na działalność w kraju. Jestem trochę uparta, umiem pracować z poświęceniem i miałam dobry wzo-

rzec wyniesiony z domu — inteligentnego i bardzo pracowitego ojca. Wiem o co mi chodzi, mam pełną świadomość tego co robię i traktuję to bardzo serio. Ludzie nawet nie zdają sobie sprawy, że przez kilkanaście lat moja działalność jako projektantki mody miała charakter społeczny — nie dostawałam ani grosza.

3. — Cena? Wszelkie konsekwencje 16-godzinnej pracy, zanik życia prywatnego, przymusowa znajomość lekarzy, brak czasu na urlop. Podziwiam mego towarzysza życia, który sam jest b. zdolnym artystą i ma sukcesy — trakuje nam tylko żony.

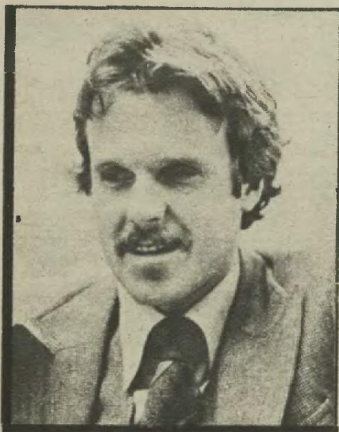


Stefania Toczyska

1. — W ogóle boję się tego słowa, bo naprawdę nie wiem, w którym momencie sukces się osiąga. Dla mnie pojęcie sukcesu wiąże się z uznaniem przez społeczeństwo i dlatego nie wiem, czy osiągnęłam już sukces.

2. — W moim przekonaniu człowiek osiąga sukces dzięki pomocy wielu ludzi. Jest to wynik spłotu wydarzeń przypadkowych i zaplanowanych, z których znaczenia nie zdajemy sobie czasem sprawy. Nie mogę jednak powiedzieć, abym dążyła do jakiegoś celu ostatecznego. Człowiek nie może sobie takiego celu raz na zawsze wyznaczyć, bo wtedy osiągnąwszy cel, przestałby się już rozwijać.

3. — Cenę płacę nie tylko ja, ale moja rodzina, przyjaciele. Płacę wielką samotnością i tęsknotą, gdy przebywam z dala od nich. Kiedy jestem dość długo poza domem, pytam się czasem sama siebie, czy takie zwyczajne życie nie jest piękniejsze. Proszę tego nie traktować jako kokieterie z mojej strony. Tak sobie tylko myślę czasami. W rodzinie czuję się szczęśliwa i na pewno nigdy sukcesu zawodowego nie przedłożyłabym nad szczęście rodzinne. Śpiewanie było marzeniem mego życia. Chciałam śpiewać, ale nie za wszelką cenę.



Wojciech Fibak

1. — Dla mnie sukces oznacza uzyskanie pewnej niezależności, dzięki której mogę decydować sam o własnych planach. Jeżeli w

życiu o czymś marzyłem, to o tym, aby zostać zawodowym tenisistą i mieć możliwość grania z najlepszymi. Znaleźć się wśród tych dwustu, potem stu — najlepszych. Nigdy nie planowałem na wyrost, nigdy nie uważałem, że moim wyłącznym celem jest wygranie tego czy innego meczu.

2. — Pokonywanie biurokracyjnych zarządzeń i przepisów zajęło mi parę lat. Potem, gdy się to udaje, jest się cenionym, uznanym, ale przebić się jest bardzo ciężko. Większość ludzi ulega, zniechęca się i rezygnuje ze swoich dążeń i ambicji. Mówię tu oczywiście, tylko o drodze, jaką należy przejść, chcąc uzyskać indywidualny sukces w zawodzie niezdolnym.

3. — Tenis jest jednym z zawodów, w których najtrudniej utrzymać pozycję, bo wciąż przychodzą młodzi, więc trzeba im wykazywać, że wciąż się jest dobrym. W muzyce, teatrze, filmie raz zdobyta popularność, wspomagana reklamą, wystarcza na znacznie dłużej. Michaeliem Jacksonem jest się niezależnie od tego, czy na jednym występie zaśpiewało się lepiej czy gorzej. W sporcie o aktualnej pozycji decyduje wynik każdego meczu. Kilka nieudanych — i wypada się z obiegu, a miejsce zajmuje ktoś inny. Ta własna konieczność pilnowania się, aby utrzymać to, co się już osiągnęło — jest ceną, jaką się płaci za sukces. Ograniczenie życia prywatnego, treningi, jeżdżenie po świecie mnie nigdy nie przeszkadzały, można z tym sobie poradzić i zależeć to wyłącznie od usposobienia.



Dorota i Małgorzata Tlalkówny

1. — Przede wszystkim pytanie, czy odniosłyśmy sukces? W sporcie osiąga się go wtedy, gdy jest się najlepszym, a my nie uważamy, aby ten moment już nastąpił. Do osiągnięcia sukcesu potrzebna jest praca — to oczywiście. Jest to wysiłek fizyczny, połączony z umiejętnością skoncentrowania się w odpowiednim momencie. W narciarstwie jest to te 45 sekund zjazdu.

2. — W polskim narciarstwie odniesienie sukcesu uwarunkowane jest nie tylko własną pracą, ale w znacznym stopniu czynnikami zewnętrznymi, zależy również od innych ludzi. Chciałoby się dlatego, że w Polsce latem nie ma sniegu, a chcąc przez cały rok trenować, trzeba mieć możliwość wyjazdu za granicę.

3. — W cenę sukcesu wliczone jest ryzyko porażki. W sporcie nie można być wiecznie dobrym, nie da się. O tym trzeba pamiętać i wykorzystywać każdy moment. Porażka nie staje się ciosem, gdy się jest na nią przygotowanym. Nie sądzimy, abyśmy płaciły wielką cenę za uprawianie narciarstwa, gdyż sport jest naszą zabawą i radością. Gdyby nudziły nas treningi, przestałybyśmy się zajmować sportem. Dla osiągnięcia sukcesu nie można robić czegoś, czego się nie lubi.



Wanda Rutkiewicz

1. — Wejście na Mount Everest w obiegowej opinii jest największym sukcesem, jakie może odnieść alpinista, ale dla samego alpinisty jest to tylko kolejny krok w górę, możliwy, oczywiście, tylko wtedy, gdy zrobiło się te poprzednie.

2. — Wejście na Everest było dla mnie zrealizowaniem celu, jaki postawiłam sobie trzy lata wcześniej. Natomiast z punktu widzenia sportowego — sukces odniosę, jeśli wejdę na K-2, drugi co do wysokości szczyt Ziemi. Próbowałam dwukrotnie i dwukrotnie musiałam się wycofać. Droga do sukcesu składa się również właśnie z takich nieudanych prób.

3. — To co nastąpiło po Everestzie zaliczam do najprzyjemniejszych przeżyć mego życia. Teraz widziałam, że ludzie cieszą się wraz ze mną. Może dlatego, że Everest należy do tych kilku, może kilkunastu celów, nie zagrożonych ludzką zawiścią i nie kwestionowanych. Może dlatego, że traktuje się to jako coś absolutnego, albo dlatego, że niewiele osób sobie cel taki wyznacza. Miałam więc szczęście niczym nie zapłacić za sukces. Nawet pod wieloma względami zyskałam. Każdy z nas wie, ile z grubszą jest wart, trudniej uzyskać potwierdzenie własnej opinii o sobie u innych. Zawsze stresuje konieczność udowadniania swojej wartości.



Piotr Fronczewski

1. — Sukces to pojęcie ulotne, tymczasowe i nie należy do niego przywiązywać wagi. Pan pyta, czy większy sukces osiągnął Fronczewski czy Franek Kimono? Sądzę, że tych dwóch facetów jest zupełnie różnych od siebie. Stary Fronczewski zapracował trochę na Franka, Kimono trochę na Fronczewskiego, ale myślę, że się będą rozstawali.

2. — Znam ludzi, którzy do sukcesu dążą i sukces osiągają wszelkimi sposobami. W tym względzie nie ma jakiegś ogólnej zasady, są tylko indywidualne patenty — niestety, nie znam ich numerów, ani nie wiem, kto je zatwierdza.

3. — Czym się płaci za sukces? Czasem życiem, czasem tylko chorobą, a czasem utratą szacunku i względów u ludzi, i to również jest bardzo duża cena, tyle że uzależniona od tego, jaki kto ma cennik. Istotne, aby ten cennik był podłączony do rozumu. Czy sam zapłaciłem jakąś cenę? Pewnie tak, ale trudno mi to określić. Istotne, aby ten cennik był podłączony do rozumu. Czy sam zapłaciłem jakąś cenę? Pewnie tak, ale trudno mi to określić. Istotne, aby ten cennik był podłączony do rozumu. Czy sam zapłaciłem jakąś cenę? Pewnie tak, ale trudno mi to określić. Istotne, aby ten cennik był podłączony do rozumu.

RECEPTA na SUKCES?

1. **AKCEPTUJ ŻYCIE.** Pamiętaj, że dano ci trochę czasu, ale nie za dużo i tylko od ciebie zależy co z nim uczynisz.

2. **BĄDŹ OPTYMISTĄ.** Optimizm może się mylić, ale pesymizm pozbawia cię energii życiowej.

3. **NIE NARZEKAJ.** Takie podejście do życia uniemożliwia osiągnięcie sukcesu w najmniejszej nawet skali.

4. **NIE MÓW, ŻE MASZ PECHA.** Przekonanie o życiowym pechu sprawia, że przestajesz wpływać na swoje życie, czekając co przyniesie los. Najczęściej los nie przynosi niczego, co jeszcze bardziej umacnia cię w przekonaniu o własnym pechu życiowym.

5. **WYCISZAJ ZŁE MYŚLI.** Nawet jeśli wszystko idzie fatalnie, przypomnij sobie, że coś się jednak udało w przeszłości. Nic bardziej nie paraliżuje, jak ciągłe myślenie o własnych porażkach.

6. **ZAPLANUJ SOBIE COŚ NA „DZIŚ” I NA ODLEGŁE „JUTRO”.** Długofalowy plan umacnia twą osobowość. Człowieka pozbawionego takiego celu załamuje pierwsze niepowodzenie.

7. **WIELKI CEL NAJLEPIEJ ROZŁÓŻ NA MNIEJSZE.** Najdłuższa nawet podróż musi się zacząć od pierwszego kroku.

8. **CODZIENNIE ZAPLANUJ SOBIE JAKĄS RADOŚĆ.**

9. **KONCENTRUJ SIĘ NAD TYM, CO W DANEJ CHWILI ROBISZ.**

10. **DBAJ O SWÓJ WYGLĄD.**

11. **NAUCZ SIĘ WYSŁUCHIWAĆ INNYCH,** gdyż nasze rozmowy zbyt często stają się monologami.

12. **DOSTRZEGAJ POZYTYWNE CECHY SWEGO OTOCZENIA.**

13. **WIERZ W INNYCH LUDZI.** Inaczej poznasz gorycz samotności, i opuszczenia.

Cognac — to jedno z rzadkich miast na świecie, w którym zanieczyszczenie powietrza jest łaską, a nie zgrzytą. Nad miastem unosi się aromatyczny bukiet: miejscowi zwą go „alkoholem aniołów”. Porowate beczki z dębów limużyńskich, w których dojrzewa sężone wino zwane koniakiem, co-rocennie odprowadzają w niebiosy 3 procenty swojej zawartości — haracz dla aniołów. Dlatego aniołowie w dwunastowiecznym kościele pod wezwaniem Saint-Léger mają buzie pogodne. Można by — oczywiście — zbuntować się przeciw tej kosztownej daninie dla niebios i próbować to zrobić, ale wtedy koniak nie byłby takim koniakiem, jakim jest dzięki owym beczkom. Za jakość się płaci. Noblesse oblige.

Nawet dziecko szkolne zada pytanie, które logicznie wynika z tego, że co roku parują te trzy procenty zawartości beczek: skąd więc się biorą koniaki liczące po kilkadziesiąt lat? Ano stąd, że co roku stare beczki uzupełnia się dolewką z beczek o rok młodszych.

Postęp i mechanizacja wszędzie modernizują produkcję. Tu wszystko odbywa się po staremu. Dla każdej szanującej się marki koniaku wyrabiane są — ręcznie! — inne beczki. Leżakują one w zgodnym rymsztunku, w odległościach przez wieki wypróbowanych, na dębowych podkładach, tak, by powietrze opływało beczkę dokoła. Jakżeby się zachnął funkcyjnariusz Sanepidu, gdyby — po wejściu do magazynu — dojrzał w oknach i pod sufitem przeogromne pajęczyny, zwisające niczym gobeliny pani Magdaleny Abakanowicz. Tu nie wolno ich ruszać. Pajaki — to najwięksi przyjaciele koniaków: chronią je przed insektami i wszelkim innym robactwem.

Chemia tu nie ma wstępu. Ani do magazynów, ani na pola. Wszystko musi być naturalne: pajęczyny, nietoperze i nawóz. Czas stał tu w miejscu, bije tylko licznik roczników — tłumaczy mi po polsku dyrektor firmy „Remy-Martin”, p. Piotr Sosnkowski (syn gen. Kazimierza Sosnkowskiego).

PIĘĆ KRĘGÓW WTajemniczenia

Trzy gwiazdki na koniaku oznaczają, że leżakował co najmniej 4 lata. V.S.O.P. — określenie nadane przez Anglików, które tłumaczy się *Very Superior Old Pale* — oznacza, że koniak przeleżał co najmniej 7 lat.

„Napoleon”, „Louis XIII” i inne nazwy oznaczają koniaki jeszcze starsze. Każda z czterech największych firm koniakowych (Remy-Martin, Hennessy, Courvoisier i Martel) ma swoje własne określenia i nazwy dla koniaków leżakujących po kilkadziesiąt lat. Przed paroma laty firma Remy-Martin z okazji trzasetlecia przygotowała specjalny zestaw koniaków pochodzących z najstarszych beczek „cuvée anniversaire”, które pamiętają tzw. dawne dobre czasy. Nie do nabycia w „Pewexie”.

Dla znawców liczą się nie gwiazdki i inne określenia, a nazwa koniaku, związana ściśle z obszarem, z którego pochodzi winorośl.

Winogrona pochodzą zasię z pięciu obszarów glebowych, z centrum koło miasta Cognac. Najcenniejsze są winogrona z kręgu o nazwie *grande champagne*; na drugim miejscu — z obszaru *petite champagne*. Trzeci krąg — to *fin bois*, czwarty — *bois ordinaire*,



Cognac:



na gwiazdkę

CZY WIECIE, ŻE:

• Winnice zajmują we Francji obszar 1.311 tys. hektarów. Żyje z nich bezpośrednio blisko półtora miliona plantatorów, a pośrednio jeszcze trzy miliony ludzi związanych z winną profesją.

• Francja i Italia dzielą światowy prymat w produkcji win. W zależności od urodzaju wytwarzają 60 do 70 milionów hektolitrow wina rocznie. Są też krajami, w których pije się najwięcej tego napoju, po około 110 litrów rocznie na mieszkańca.

• To nieprawda, że „im wino starsze — tym lepsze”. Liczą się lata udane i mniej udane. „Bordeaux” z 1970 r.

jest lepsze niż podobne z 1937. Wybitne zaś roczniki to: 1928 i 1955. Burgundy najlepszą z rocznika 1929. Białe alzackie — z 1971 roku.

• Na nalepkach niektórych win francuskich można spotkać polskie nazwiska. Do doskonałych burgundów należą: Morey, Saint-Denis, Georges Bryczka, a etykieta, dedykowana Janowi Pawłowi II, zdobi wino, pochodzące z roku konklawe. Jackowiak-Rondeau natomiast wytwarza świetne szampany, ozdobione polskim orłem.

• WINO DOBRZE CZYNI NIEWIASTOM, ZWŁASZCZA GDY PIJĄ JE MĘŻCZYŹNI (przysłowie burgundzkie).

a piąty: *borderies*. Obszar winorośli upoważnionych do nazewnictwa koniakowego obejmuje około 70 tysięcy hektarów gruntów. Z tym, że alkohol z winogron pochodzących z obrzeża, nie ma prawa do szaczonego tytułu; nosi skromniejszą nazwę „brandy”.

Skąd ta dyskryminacja jednych terenów, a nobilitacja innych? Skąd te „klasowe” różnice?

Dociekliwość naukowa i agrotechniczna ma tu wtórne znaczenie — wobec wieków doświadczeń i tradycji. A te ciągną się od czasów... Cezara.

PAN BÓG NIE ZABRONIŁ PICIA WINA POD WARUNKIEM, ŻE NIE JEST KWAŚNE

... głosi powiedzenie andegawieńskie, czyli z tych okolic.

Nim jednak rozszyfrujemy tę mądrość ludu, którą nad wyraz pochwalamy, czujemy się w obowiązku wyjaśnić, skąd się wziął koniak? Wybaczenie, o Czytelniczy, konieczność wprowadzenia w tym miejscu krótkiego wykładu historycznego.

Koniak bierze się z wino, białego wino, sężonego w proporcji

7 litrów na 1 litr alkoholu. Najstarszym i do dziś praktykowanym sposobem sężania jest alembik, wynaleziony przez Arabów, którym Prorok zabronił picia alkoholu.

Skąd jednak przyszło do głowy miejscowym plantatorom, na przełomie XV i XVI wieku, przetwarzanie wino w alkohol sężony? W tym właśnie miejscu sięgnąć trzeba do historii Francji.

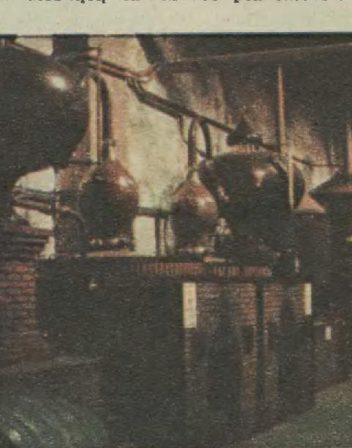
Uprawy winne dotarły do Francji wraz z podbojami rzymskimi. Najpierw w ślad za kohortami postępowała intendencja z amforami drogą morską, lub (rzadziej) lądową. Wino atoli nie znosi podróży i najczęściej docierało do obozów rzymskich skwaśniałe. Agronomowie rzymscy wpadli przeto na pomysł, aby w okolicach Bordolesi (dzisiaj Bordeaux) na miejscowych gruntach wypróbować uprawę winogron. Próby powiodły się. Do dziś zresztą Medoc i Saint-Emilion oraz inne *chateaux* z tych okolic słyną z najlepszych win.

Plantacje winne oraz wyrabianie z nich wino podlegały kontroli, czyli, jakbyśmy dziś powiedzieli, monopolowi rzymskiemu. Przecież jednak zakazany owoc

najlepiej smakuje, więc wkrótce wino rozlało się szeroko po innych regionach — dzisiejszej Francji. W ten sposób także trafiło do Cognac.

Dość szczególne warunki rozslawiały je za granicą i to już od XII wieku. Pobliskie wybrzeża (okolice Saintonge) słynęły z obfitych solanek, a sól była w owych czasach na wagę złota. Przypływały po nią statki najpierw skandynawskie, potem hanzeatyckie, a ich marynarze zasmakowali — przy okazji — w winach z Cognac... Z czasem one, bardziej niż wspomniana sól, stały się celem morskich podróży. Kroniki miejscowe podają, że wino z Cognac trafiały także do Polski.

Rosnąca zamożność plantatorów



podcięła jednak wojna stuletnia między Francją a Anglią, a z nią upadek wymiany handlowej. Nie trwałe wino psuło się, kwaśniało. Na placie plantatorów z Cognac zaczęły robić karierę Burgundia i Nadrenia, w myśl przysłowia: gdzie się dwóch bije — tam trzeci korzysta.

I wtedy plantatorzy z Cognac wpadli na pomysł sężania win przez odparowanie z nich wody. Takie, o zawartości alkoholu w okolicach 40 proc., mogły spokojnie latami całymi przechowywane być w beczkach i czekać na lepsze czasy.

Gdy te w końcu nadeszły, okazało się, że twarda konieczność stała się błogosławieństwem dla Cognac. Spalone wino — jak je nazywali marynarze holenderscy (stąd: brandy!), nadawało się lepiej do transportu morskiego. Mogło dalek podróżować, nawet do odległych Chin, bez ryzyka skwaśnienia. Zajmowało czterokrotnie mniej miejsca na niezbyt przecież wtedy pojemnych statkach, niż wino naturalne.

Wyszły na jaw zalety wieloletniego przechowywania sężonego wino: jego zapach („bukiet”), jego smak, jego burzystynowa „sukienka”. Słowem to, co mogło być nieszczęściem dla Cognac, stało się jego szansą.

A dodatkowa szansa ujawniła się przy innej zgola jeszcze okazji, gdy szukający wszędzie pieniędzy na prowadzenie wojen i wystawne życie dworu Ludwik XIV postanowił obłożyć podatkami producentów win, w zależności od wolumenu wytworzonego napoju. W zrozumiały sposób podatki te mniej ugodziły w producentów koniaku, niż w zwykłych winiarzy. W początkach XVIII wieku z pobliskich portów: La Rochelle i Tonney-Charente wychodziło rocznie w świat po 28 tysięcy barylek koniaków!

Odparowując wodę z wino i sężając je w koniak, miejscowi z dobroduszną erudycją przypominają: Chrystus nie zmienił wino w wodę, lecz wodę w wino...

Rzym istnieje od początku świata. I trwać będzie zawsze. W taki sposób wiek tego miasta objaśniają przysłowia. Historycy natomiast starają się robić to dokładniej. Według ich opinii pierwszą osadę nad Tybrem założono w roku 753 przed naszą erą. A to znaczy, że za kilka dni stolica Włoch liczyć będzie 2738 lat.

WIECZNEMU MIASTU nie brakuje kół, także w grudniu. Na ulicznych straganach złocą się mimosy. Zbiegając ze wzgórz ogrody pełne są dojrzałych mandarynek i pomarańczy. W parkach pyszną się zielenią oleandry i rododendrony, nad chodnikami kołyszą się palmy. Tylko na Via Vittorio Veneto platany gubią liście. I to jest właśnie znak, że Nowy Rok już blisko, a święta tuż, tuż...

Trwają gwiazdkowe zakupy. W oknach domów towarowych wywieszono kolorowe flagi. Na powiewających płótnach wypisane są liczby powiadamiające o obniżkach cen. W tych dniach w popularnych UPIM-ach kupować można o 20, 30, a nawet 40% taniej. Przed bliskim już nowym sezonem magazynów trzeba przecieć opróżnić.

A na ulicach przybiegających do Via del Corso od strony Villa Medici rozkłada się kolorowe chodniki. W te miejsca zachodzi tylko zamożna klientela. Ceny nie będą tu ani o jednego lira niższe. Za to zakupy owijają się będzie pachnącym papierem malowanym w skrzydlate aniołki i sypiące promykami gwiazdki. Szykowne pakunki przewiązane jeszcze zostaną kolorowymi wstążkami i przyozdobione pęczkami małych kolorowych banieczek.

Święta widać już na każdym kroku. Na Piazza Colonna długowłosi artyści pokrywają chodniki barwnymi rysunkami o treści religijnej. W ciżbie straganów na Placu Navona wybierać można szopki i choinkowe ozdoby. Na Piazza San Pietro, pod obeliskiem wyznaczającym środek kolumnady Berniniego, wznosi się ściany betlejemskie stajenki. A biura turystyczne przy Via Bissolati naprawdę proponują odbycie podróży na Bliski Wschód. Afisze w wystawowych oknach zachęcają do odwiedzania Santa Terra. Osiem dni w Jeruzolimie i Betlejem spędzić można za 1 milion lirów, to znaczy za około 550 dolarów.

Od pewnego czasu, zawsze w południe, nad miastem przemieszcza się olbrzymi balon. Po tej, wypełnione gazem cygaro reklamuje samochodowe opony. Na srebrnej powłoce uwidoczniona jest nazwa firmy — Good Year. Ludzie przystają na ulicach, spoglądają w górę i zadają sobie pytania: jaki będzie ten rok, który właśnie nadchodzi?

Ostatnie tygodnie nie były dla Rzymu zbyt pomyślne. Odżyły dawne spory, ujawniły się nowe różnice. Wśród licznych utarek i polemik najwięcej namietności wzniesła teraz *guerra del cappuccino*, czyli wojna kawowa. Nad Tybrem każdego dnia wypija się miliony filiżanek tego aromatycznego płynu. Rano, przed wyjściem z domu, każdy obowiązkowo spożywać musi *café latte*, to znaczy kawę z mlekiem. Potem, w ciągu dnia, niewielkie kubki opróżnia się jeszcze niezliczoną ilość razy. Może to być *espresso*, czyli mocna kawa sa-
cząca się z automatów parowych, lub *cappuccino*, tj. ten sam wywar zalany pianą z gorącego mleka.

O co toczy się wojna? Otóż włoskie Ministerstwo Skarbu po przeprowadzeniu stosownych badań i rozpisaniu szczegółowych ankiet podało do publicznej wiadomości zaskakujące wszystkich wyniki swych badań. Okazuje się, że codzienny czas pracy przypadający w stolicy na pojedynczego, statystycznego urzędnika państwowego wynosi zaledwie 4 godziny i 20 minut. Winne są temu *cappuccino selvaggio*, czyli samowolne przerwy na kawę. Pracownicy państwowych biur i urzędów po kilka razy w ciągu dnia porzucają swoje biurka i wypadają do pobliskich barów. Tam najlepiej wymienia się poglądy o wynikach ostatnich meczów piłkarskich, tam najgłośniej można ponarżać na postępującą drożyznę. Po wychyleniu upragnionej filiżanki nie od razu wraca się do przerwanego zawodowego czynności. W drodze do biura często płaci się jeszcze rachunki na pocztę, zagląda do domów towarowych, odbiera pociechy z przedszkola. Słowem — w czasie przeznaczonym na pracę załatwiane bywają niezliczone osobiste sprawy.

Ministerstwo Skarbu jako pierwsze postanowiło zdecydowanie przeciwstawić się podobnym przejawom braku dyscyplinowania. Wydało zarządzenie, w którym poinformowano pracowników, że od każdego z zatrudnionych oczekuje się wypełniania obowiązków w całym wymiarze czasowym. Na każdorazowe



MIECZYŚLAW CZUMA

pisze z przedświątecznego Rzymu

opuszczenie budynku w godzinach pracy piśmienną zgodę musi wyrazić przełożony. Ale i po uzyskaniu pozwolenia na wyjście z biura odrobić potem trzeba powstałe w wyniku tego zaległości.

Nikt nie chce przez to nikogo pozbawiać przyjemności spożywania aromatycznego *cappuccino*. Taka próba byłaby zresztą daremna. Zachęca się natomiast, aby raczono się tym napojem na miejscu, w barze budynku ministerstwa. Tam oferuje się pracownikom kawę równie smaczną i w dodatku o połowę tańszą niż w mieście. Ale na razie niewiele to pomaga. Przed szacownym gnachem wciąż zbierają się manifestanci, organizowane są coraz to liczniejsze wiece. Pocucie zagrożenia wśród państwowych biuralistów stało się bowiem powszechne. Inne ministerstwa także wydały stosowne zarządzenia i proponują opróżnianie filiżanek we własnych pomieszczeniach, na miejscu.

Wojna kawowa toczy się na terytorium sektora państwowego. Pracownikom firm prywatnych wyznacza się w tych zmaganiach jedynie rolę obserwatorów. Nikomu spośród nich nie przyszłoby nawet do głowy, aby zaglądać do baru w godzinach, w których ich osoba należy tylko do bossa.

Oczym jeszcze mówi się w Rzymie? Wiele emocji wzbudzają niedawne decyzje stołecznej prokuratury. Mocą tych postanowień mieszkańców miasta nad Tybrem pozbawiono możliwości oglądania najatrakcyjniejszych telewizyjnych programów. Czy dość powszechne niezadowolone z tego powodu przybierze jakąś bardziej zorganizowaną formę? W tej chwili nie da się jeszcze powiedzieć, jak wyrażony zostanie protest najbardziej zagorzałych miłośników tej nowoczesnej muzy.

Co ma wspólnego prokurator z telewizją? Otóż we Włoszech na małym ekranie oglądać można aż osiemdziesiąt rodzimych programów. Trzy spośród nich, te nadawane na kanałach 1, 2 i 3, należą do sieci państwowej — RAI. Tylko im przysługuje prawo pokrywania swoim zasięgiem obszaru całego kraju. Wszystkie pozostałe stacje — a więc należące do właścicieli prywatnych — zadowolili się muszą oddziaływaniami lokalnymi.

Jeszcze kilka dni temu wcale tak jednak nie było. Trzy spośród programów nie będących własnością państwa, a odbierane na kanałach 4, 5 i 6, także oglądane były na całym półwyspie. I — co ważniejsze — audycje tych stacji uważano powszechnie za atrakcyjniejsze od produkcji przygotowywanej przez RAI.

Na kanałach 4, 5 i 6 oglądać więc można było najsłynniejsze filmy, najlepsze programy rozrywkowe. Te trzy stacje oglądane były spośród wszystkich innych najchętniej. I to tak masowo, że zaczęło to zagrażać pozycji RAI. Aby więc ocalić prestiż i znaczenie telewizji państwowej, władze podjęły kroki zdecydowane. Skorzyszano z faktu, że wszystkie trzy konkurencyjne programy nadawane były z Mediolanu. I wyłączono z zasięgu ich oddziaływania Lacjum, to znaczy obszar, na którym położony jest Rzym. To, oczywiście, zdecydowanie osłabiło pozycję najpotężniejszych prywatnych telewizji. Ale też pozbawiło podobno mieszkańców stolicy tych audycji, których na małym ekranie poszukiwali najbardziej.

Ten najświeższy spór znajdzie najprawdopodobniej swój finał na sali sądowej. Tam

dopiero rozstrzygnie się ostatecznie, czy utrzymać w mocy podjęte już decyzje, czy też uwzględnić jeszcze jakieś dodatkowe racje.

Daleko poza prawem natomiast toczy się sprawa Emanuela Orlandi. Ta szesnastoletnia córka dozorczy watykańskiego porwana została półtora roku temu. Nadzieje na uratowanie jej życia zmalały już niemal do zera. Ale oto przed dwoma tygodniami do jednej z mediolańskich redakcji wpłynął komunikat podpisany przez Antychrześcijański Front Wyzwolenia „Turkish”. Terrorysty z tej organizacji gotowi są zwrócić dziewczynę w zamian za uwolnienie Ali Agcy. Nikt jednak nie wierzy, aby Emanuela zasiąść mogła z rodzicami przy świątecznym stole. Czy dziecko w ogóle jeszcze żyje? A jeśli nawet tak, to czy racje państwa i moc prawa mogą uginać się przed jakimikolwiek żądaniami wysuwanymi przez pospolitych zbrodniarzy?

Codziennie kłopoty i troski nie przesłaniają jednak nadziei na jaśniejszą przyszłość. Jaki więc będzie ten rok, który rozpocznie się już za kilkanaście dni? Co przyniesie miastu i światu ów 2738 rok od założenia Rzymu? Przy odpowiedziach na takie pytania nie da się oderwać spraw pospolitych od problemów wagi najwyższej. I o nich także mówi rzymska ulica.

Rakiety w Comiso na Sycylii stały się faktem. Tęch ich lotu zostały już precyzyjnie wyznaczone. Ale obecność śmiertelnych ładunków na tej śródziemnomorskiej wyspie wywołuje ciałe protesty Włochów. Otwarcie wyraża się niezadowolenie z powodu obecności najnowszych amerykańskich broni na Półwyspie Apenińskim. Mówi się, że trzeba z tego wyciągnąć wnioski. I z pewnością dlatego premier Craxi pisał niedawno do prezydenta Reagana: „Apeluję do pana i wzywam do maksymalnej gotowości do wznowienia rozmów z Moskwą”.

Włosi pragną mocniej niż do tej pory zaznaczyć swoją obecność w światowej polityce. Nad Tybrem uważa się, że międzynarodowa pozycja Rzymu pozostaje daleko na tyle za sojuszniczą Anglią, Francją czy RFN. Gabinet premiera Craxiego stara się więc dynamicznie zmniejszyć ten powstały w dawniejszych latach dystans. Dziś dokonanie tego można przez otwarcie w stronę krajów socjalistycznych. Wyrazem tych dążeń będzie wizyta o której mówi się w Italii. Minister spraw zagranicznych, Giulio Andreotti, ma niebawem odwiedzić Warszawę.

Czas kończyć spacer po ulicach Wiecznego Miasta. Jeszcze tylko krótki odpoczynek przy fontannie di Trevi i plusk rzuconej do wody pięciozłotówki. Owdziechny zwyczaj nakazuje zostawić tu monetę po to, aby kiedyś móc jeszcze w to miejsce powrócić. Moja próba została jednak wysłuchana nadspodziewanie szybko. O wiele za szybko niż tego sobie życzyłem. Przy fontannie znalazłem się bowiem z powrotem już następnego dnia. Strajk na lotnisku uniemożliwił mi odlot do kraju.

Tym razem, aby zjednać przychylność kamiennych posągów ze wspaniałej kompozycji Niccolò Salmi, topię w basenie całą dwudziestozłotówkę. I pokornie proszę Neptuna o to, aby do tego najpiękniejszego ze wszystkich na świecie miast dane mi było jeszcze kiedyś powrócić. Ale już nie ze strajkującego lotniska...

NIE ŻYŁAM

Tuż po wojnie redakcja „P.” zwróciła się do Miry Zimińskiej z propozycją, aby przeprowadziła wywiad sama z sobą. Popularna przed wojną aktorka objeżdżała wówczas miasta z recitałem piosenek, gromadząc na każdym z nich tłumy wielbicieli swego talentu. Zimińska była wspomnieniem międzywojennej Warszawy z jej teatrami, teatrzykami i kabaretami, wspomnieniem artystycznego świata stolicy, który wojna pogrzebała wraz

z miastem. W kilka lat po wojnie zaczęła się, trwająca do dziś, druga wielka przygoda życiowa Miry Zimińskiej-Sygietyńskiej, której na imię — „Mazowsze”.

Po czterdziestu bez mała latach od debiutu Miry Zimińskiej na łamach „P.” rozpoczynamy druk fragmentów jej wspomnień. Całość, opracowana przez Mieczysława Srokę, ukaże się w przyszłym roku nakładem Wydawnictw Artystycznych i Filmowych.

Pisze o sobie:

„Urodziłam się w teatrze. Nie jestem jednak tego całkiem pewna. Wiem natomiast z pewnością, że bywałam w nim jeszcze przed urodzeniem. Rodzice moi pracowali w teatrze w Płocku. Mama, jako młoda dziewczyna, najpierw była bileterką, później dzierżawiła bufet, następnie przez całe lata prowadziła kontramarkarnię i zarządzała sprawami gospodarczymi teatru. Tatuś był maszynistą i de-

Małżeństwo

W naszym domu było pianino, grali na nim tatuś i siostra. Potem, kiedy tata umarł, mama któregoś dnia doszła do wniosku, że pianino marnuje się, trzeba więc, żeby Mania brała lekcje. Wtedy przyszedł do nas młody człowiek, bardzo zdolny. Nazywał się Jan Zimiński. Opo- wiadali o nim, że już jako „cudowne dziecko” grał przed gubernatorem rosyjskim na skrzypcach, harmonii i fortepianie. Był bardzo utalentowany, często w rozmaitych domach bywał i tym młodym, zdolnym chłopcem rodzice popisywali się. Ojciec Zimińskiego był bardzo znanym specjalistą od organów, a właściwie w Płocku je wyrabiano. Również jego dziadek robił organy dla wielu wiejskich kościołów. I ten młody człowiek dawał mi tak zwane lekcje fortepianu. Szło mi to kiepsko, ale mama kazała, bo to należało do dobrego tonu. Gdy już umiałam dwa kawałki zagrać, mama zaprosiła sąsiadkę i mówi do niej: „Niech pani patrzy, Mania już gra”. Cwiczyłam, ćwiczyłam, ale z graniem było coraz gorzej. Ten nauczyciel ciągle jednak przychodził. To długo trwało. Ja rosłam, on pięknie grał, grał takie śliczne rzeczy. Niekiedy popisywał się: jednym uderzeniem w klawisz zrywał strunę od pianina. To podobno bardzo trudna sztuka.

Któregoś dnia mama mówi, że kiedy skończę szesnaście lat, to mogłabym wyjść za mąż, bo ten Zimiński nadaje się. Dobrze będzie, jeśli wcześniej wyjdę za mąż. Co ja miałam na to powiedzieć? Kiedy miałam szesnaście i pół roku odbył się mój ślub z Janem Zimińskim. Potem było wesele. Przyszło bardzo dużo gości, wielu artystów, bo to był sezon, a Zimiński coś tam skomponował i grał nawet w teatrze. Na tym weselu mój małżonek był jedynym człowiekiem, który umiał grać na instrumencie, więc grał na pianinie do tańca. Goście bawili się, a pan młody, biedak, całą noc grał. Potem, lekko podchmieleni, goście poszli i został mi mąż. Tak zaczęło się moje małżeństwo. Dzi-

ennie do rozmaitych ról. Zagrałam ich kilkanaście!

Potem trafiła się mojemu mężowi, czyli Zimińskiemu, posada w Radomiu — kapelmistrza w teatrze. Mnie zaproponowali tam angaż w charakterze wodewilistki!

Musiałam więc opuścić swoje rodzinne miasto.

Dziś już właściwie nie ma mojego Płocka. Mój Płock to był ten stary, piękny teatr, w którym rodzice pracowali, gdzie się wychowywałam i mieszkalam, gdzie debutowałam w sztuce ukraińskiej i uczyłam się tańczyć na „foje”, gdzie nazwano mnie „małą Marię”, a potem grałam tyle różnych ról i tylu pięknych wzruszeń doznałam. Dziś już tego teatru nie ma. Potem jakoś o tym moim rodzinnym mieście zapomniałam.

Przepraszam za to mój Płock. O mnie jako płocczance zresztą też zapomniano, ale to już moja wina.

Pojechałam więc z mężem do Radomia. Zamieszkaliśmy w hotelu obok teatru. Było źle, było ciężko, mąż był dyrygentem. Dyrygentem? Grał na fortepianie, był tam skrzypek jeden i drugi, i jakiś trzeci. I pimpali sobie w antrakcie. A ja grałam jakieś rolki. Niebawem... zagrałam Aszan-

¹ M. Zimińska została zaangażowana wraz z mężem do Teatru Miejskiego w Płocku na sezon jesienno-zimowy 1918 r. i wystąpiła w 17 sztukach, głównie wodewilach, komediach i operetkach.

² W Radomiu M. Zimińska została zaangażowana do Teatru Artystyczno-Literackiego „Miraż” (niebawem przemianowanego na Teatr Polski) i zadebiutowała 26 IX 1919 r.

tkę! Że mieli odwagę powierzyć mi tę rolę! To dziwne, ale podobno bardzo ładnie ją zagrałam. Nie wiem dlaczego — bo skąd ja mogłam wówczas dobrze zagrać Perzyskiego. Ale podobno... Grałam głupią dziewczynę, a taką byłam wtedy. Myślę — grałam siebie i dlatego dobrze wyszło.

Jadę do Qui pro Quo

Któregoś dnia przyszedł za kulisami jakiś pan i powiedział: Chcę rozmawiać z tą małą, co gra główną rolę. Wyszedł od tego pana, on mi się przedstawił: Nazywam się inżynier Sopocki, jestem współwłaścicielem teatru Qui pro Quo i chciałbym panią zaangażować. Zapytałam: „qui pro quo”? Nawet nie wiedziałam co to jest. Szybko jednak dowiedziałam się. Był to taki niedawno założony teatrzyk w Warszawie. Było to pewnie w roku 1918, czy może 1919. Przepraszam, że mi się te lata trochę kręcą, ale tyle lat człowiek przeżył, to może mu się pomylić. Więc powiedział ów pan, żebym przyjechała do Warszawy, to mnie zaangażuje. Wtedy powie-

działam, że mam męża. — No, to przyjedźcie razem, coś tam wykombinuję. Dla ciebie, mała, ty jesteś zdolna...

Wszystkim obwieściłam dumnie: „Jadę do Qui pro Quo!” Bardzo mi zazdrościli.

MIRA
ZIMIŃSKA-
SYGIETYŃSKA



wne, nie wiadomo skąd się wzięło. Czy ja wtedy byłam zakochana? Nawet nie wiedziałam, co to znaczy. Mama postanowiła, że to bardzo dobrze, że Mania robi karierę. Zwłaszcza że, zaangażowano nas wspólnie do teatru w Płocku, męża najpierw w charakterze muzyka przygrywającego w antrakcie, później jako kapelmistrza,

SAMOTNIE (1)

koratorem. Od kolebki więc byłam związana z teatrem, sztuką i dyrektowaniem. Rodzice przynosili mi w poduszce do teatru i kiedy sami pracowali, gdzieś tam w jakimś kąciuku kładi.

Artystką zostałam też niemal od początku. Ledwie wyskoczyłam z pieluch, już miałam debiut sceniczny. W jakiejś sztuce ukraińskiej potrzebne było małe dziecko i mama mnie „wpożyczyła”. Miałam w tej sztuce płakać

z głodu, ale mnie się płakać nie chciało. Od początku byłam uparta”.

Dzieciństwo spędzone za kulisami i na scenie prowincjonalnego teatru — to marzenia o prawdziwej karierze w miastach znacznie większych niż 25-tysięczny Płock.

„Ale gdzie mogłam myśleć o poważnej karierze artystycznej z takim imieniem jak moje — Mania. To było bardzo pospolite imię. Mówili: „Mańka-Kopańka”, czy coś w

tym rodzaju. Przeczytałam jakąś książkę, w której jedną z bohaterek była księżniczka Mira. Bardzo mi się to imię spodobało”.

Fragmenty wspomnień, które publikujemy, nie dotyczą najwcześniejszego okresu życia. Minęło dzieciństwo. Zaczyna się wiek dojrzawy, choć Mira skończyła zaledwie szesnaście lat.

Spakowaliśmy manatki, pożycziliśmy trochę pieniędzy i jedziemy do Warszawy. Na ulicy Chmielnej, chyba pod numerem 5, był jakiś hotel. Wynajęliśmy dumnie pokój. Zadzwoniłam wtedy do inżyniera Sopockiego. Odebrała telefon jakaś pani: „Inżynier Sopocki wyjechał i będzie za miesiąc”. A to kłops! Pieniązków już nie ma, pana inżyniera nie ma, engagement nie ma, a my siedzimy w hotelu, do Radomia wracać nie można. I co dalej?... Dowiedziałam się, że w hotelu „Polonia” ma swoje biuro Związek Artystów. Przyjął mnie jakiś uroczy pan, jak się potem okazało, prezes. Zlitujcie się — powiedziałam. — Jestem młodą aktorką, przyjechałam z Radomia, mieli mnie zaangażować do Qui pro Quo, a tymczasem nie mam z czego żyć... Ow uroczy pan odrzekł, że dobrze trafiłam, bo jest właśnie jakaś mała rólka do zagrania, bowiem Ordonówna, taka młoda aktorka, przeziębila się i teatr „Miraż” pilnie poszukuje kogoś na zastępstwo. Przyjęłam to zastępstwo.³

Mój mąż grał już wtedy w „Stink-sie”. Ciegłe miał zajęcia do późna w nocy, bardzo często wracał rano. Na wynajmowanie pokoju w hotelu dłużej nas nie było stać. Pieniądze się skończyły. Mąż przypomniał sobie, że ma jakąś rodzinę. Zgodził się nas nocować. W dniu mojej warszawskiej premiery przeprowadziliśmy się.

lendarzu, w jakim jestem mieście. Bo gdy np. w Ameryce zmieniam co dwa dni miasta, muszę sprawdzić w kalendarzu, gdzie dziś jestem. Ale nazwę hotelu zapamiętać, a do tego jeszcze numer, to już jest ponad moje siły.

Jadę więc tym tramwajem, ale nie wiem dokąd mam jechać. Po chwili przypomniałam sobie, że rodzina męża mieszka na jakimś placu, a ten plac nazywa się na literę „W”. Pytam się konduktora: Proszę pana, ja przyjechałam tu i mieszkam na placu na literę „W”. Wiem na pewno, że na literę „W”. — To plac Warecki. panienko. Ja mówię: O, właśnie. Wysadził mnie na jakiejś ulicy i powiedział: Panienska pójdzie na prawo, zaraz będzie plac Warecki. Wsiadłam, idę, jest plac, ale nie ten, przy którym mieszkam. Pytam się jakiegoś pana: Proszę pana — gdzie jest plac Warecki? — A pani właśnie jest na placu Wareckim. — Ale to nie ten plac. Zima, noc, pustawa Warszawa, nie wiem, gdzie mieszkam... Podeszłam do policjanta i pytam go: Proszę pana, ja nie znam Warszawy, mieszkam na placu, który się na „W” nazywa. — No, to Warecki. — Ale to nie jest ten plac. Zaprowadził mnie wtedy do komisariatu. Było bardzo zimno, siedzieli policjanci, wzięli mapę i dumali, i dumali, i pytali: Skąd się tu panienska wzięła? Mówię: Gram w teatrze i wiem, że na „W”. Szukali, aż jeden krzyknął: Już wiem, to plac Witkowskiego. Powiedziałam: O, właśnie. Odprowadzili mnie do rogu Siennej i powiedzieli: A teraz panienska pójdzie prosto, prosto, a tam na końcu będzie plac Witkowskiego. Z rogu ulicy Marszałkowskiej do tego placu Witkowskiego było daleko. A potem jeszcze dozorca długo

zsprotkami, bo były tanie. No i zgodziłam się.

Poszliśmy do restauracji na Nowym Świecie. Wtem, że kelnerował tam Uniłowski. Usiedliśmy przy stole. Z Hanuszem przyszedł pewien młody pan, któremu chyba się podobalam. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że młoda dziewczyna brała się na wabika, tzn. kiedy koledy chcieli dobrze zjeść, zapraszali na kolację koleżanki. Stawiali, oczywiście, nie oni. Kelner podał kartę. Zamówiłam sznycel z jajkiem. Tak bardzo mi smakował, że potem była to moja ulubiona potrawa.

Siedzieliśmy rozmawiając, jemy. Z sąsiedniej sali dochodził do nas odgłos wielkiej hałaśliwej zabawy. Patrzę, a tam siedzi mój małżonek w licznych towarzystwie, bardzo sobie popijają i bawią się. Zjadłam ten sznycel, jakiś kompot i straciłam humor. Panowie odwieźli mnie do domu.

Mieszkalam wtedy już na ulicy Siennej 45, w wynajętym pokoju, najciemniejszym na świecie. To była prawie piwnica. Dom wysoki, ale pokój znajdował się na parterze. Nawet jeśli człowiek się wychylił przez okno, to nieba nie było widać. Piekło, nie mieszkam. Położyłam się. Wraca mój mąż podchmielony i mówi, że próba trwała bardzo długo. Już wcześniej domyślałam się na czym polegały te bardzo długie próby mojego małżonka.

Gram więc tę rolę w „Mirażu”, a tu któregoś dnia przychodzi za kulisy pan inżynier Sopocki i pyta: Mała, co ty tu robisz? A ja mówię: Niedawno tu przyjechałam. — Ale pani nie było, to się tu zaangażowała. — Proszę przysiąść jutro do mnie, podpiszę kontrakt. Podał mi adres — mieszkam na ulicy Pięknej. Znowu piechotką podyrdałam. Daleko to było. Dyrektor był uroczy, chciał mnie, zdaje się, w ogóle zaangażować, bo bardzo mi potargał włosy i w ogóle tak mnie, jak to się mówi, przyciskał, lecz ja dumnie jakoś się obroniłam. Powiedział: Wiesz, mała, jesteś głupia, ale ja ciebie i tak zaangażuję. I zaangażował. Później nazywano mnie „ta mała od Sopockiego”. Kiedyś mi powiedział: Czy pani wie, że nas podejrzewają. Mówię, że pani jest mała od Sopockiego. Odpowiedziałam: Wiem, bo tak mnie tutaj przezywają. I on się śmiał, i ja się śmiałam.

Ale w Qui pro Quo z otrzymaniem nawet małej rólki był kłopot.

Obok teatru był kościół św. Antoniego. Poszłam do tego kościoła, uklękłam i mówię: Święty Antoni, proszę, żebyś mi dostała jakąś rolę, proszę. No i rzeczywiście dostałam.

Trafiło się, że któraś z koleżanek zachorowała. Już była wtedy Zulfka Pogorzelska i z jakichś powodów grać nie mogła. Dostałam rolę. Potem jeszcze ktoś tam zachorował, znowu była rólka. I kiedy w tym moim Qui pro Quo już byłam za tę tzw. małą od Sopockiego”, za tę „początkującą gwiazdę”, postanowiłam twardo, że jednak artystką zostanę, że muszę być dobrą aktorką. Zaczęłam się uczyć. Dowiedziałam się, że panna Dietzówna daje lekcje śpiewu. Poszłam do niej z bardzo ładną broszką i powiedziałam: Proszę pani, ja teraz nie mogę, wiele płacić, ale kiedy będę zarabiała, to pani dopłacę. — Panna Dietzówna zgodziła się. (Coś jej tam płaciłam, ale niewiele. Broszkę dalałam jako zastaw). Jak ona cieszyła się, że już lepiej śpiewam! Z tą samą propozycją zwróciłam się do pana Lobjojki, profesora tańca. Mówię mu, że dam zastaw. A on na to: Jesteś głupia. Jak już będziesz dobrze tań-

czyła — bo myślał, że będę tancerką — to mi wtedy zapłacisz. Wszystkie długie uregulowałam i do dziś dnia mam piękną broszkę koralową: w koralu rzeźbione owoce, serduszką i coś tam jeszcze.

„Mira, nie rób tego”

W jednym z programów Qui pro Quo para baletowa — Baliszewski z siostrą — wykonywali murzyński taniec, a ja coś tam miałam śpiewać. Oni zatańczyli, a ja w środku ich numeru też odtączyłam murzyński taniec. Nagle przychodzi dyrektor Boczkowski i mówi: Mira, nie rób tego. — Dlaczego? — Baliszewski powiedział, że nie będzie tańczył, bo ty zwracasz na siebie uwagę i im przeszkadzasz. Z tańca musiałam zrezygnować, za dobre tańczyłam, pozostał tylko śpiew. I to była już pierwsza porażka, taka przykreść teatralna, ale mnie to ucieszyło. W ogóle mam takie dziwne usposobienie, że przeciwności mnie hartują.

Później miałam grać w skescu z Ursteinem. Wtedy on powiedział: Ja przecież nie mogę z taką nieznaną dziewczyną grać. Słyszałaś to pani Macherska i mówi: Przecież to nonsens, żeby ją obsadzać w skescu z Ursteinem. W efekcie oni mieli próby, a ja po cichu uczyłam się tej roli. Na próbie generalnej dowiedziałam się od dyrektora Boczkowskiego: Pani się to gra! Ja na to: Bo jeszcze nie miałam próby. — Dlaczego? — Dlatego, że próby miała pani Macherska, nie ja. Boczkowski na to: Ja panią wyznaczam. — Dlaczego pani nie przysłała do mnie? — Nie przysłałam, ale rolę wiem. Proszę o jedną próbę, to zagram. I zagrałam z Ursteinem. Śpiewałam wtedy bardzo ładną piosenkę: „Podaj mi rękę, puls ci zbadać, chociaż to nie zajęcie dla dam”. I byłam śmieszna. Po przedstawieniu Urstein przyniósł mi czekoladki i dodał: Przepraszam cię mała, ty jesteś naprawdę zdolna. No i, proszę, drugą już barierkę przeskokczyłam. I tak mi się po trochu udawało.

Przyszło lato — wszystkie gwiazdy pojechały na urlop. Zostali Hanusz, Macherski, ktoś tam jeszcze. No i ja. Przez miesiąc mieliśmy grać nowy program. Nasze wielkie gwiazdy po miesiącu wróciły, ale programu nie zdejmowali, takie miał — mimo kanikuły — powodzenie. To już było pierwsze zwycięstwo.

W ogóle byłam zaborczą, chciałam jak najwięcej umieć. Nie dojadalam, ale uczyłam się. Zostało to zauważone. O, mała, tobie się głos zmienił. O, jak ty tańczysz! itd, itp. Tak się zaczęła moja kariera w Qui pro Quo.

Ale ciągnęło mnie do prawdziwego teatru. Poszłam marzycielka zdawać egzamin do „Reduty”. Zagrałam rolę z „Aszantki”. Powiedzieli, że jestem zdolna i zapytali: A co pani robi? Mówię, że gram w kabarecie Qui pro Quo. Osterwa mnie wtedy nie widział. Na egzaminie była jakaś pani, zdaje się Kuncewiczowa i Mieczysław Limanowski. Powiedzieli, że musiałabym rzucić kabaret. Zapytałam: A z czego będę żyła?

Marzyłam, żeby być w „Reducie”. Limanowski jeszcze powiedział, że tam trzeba wszystko robić samemu: sprzątać, szyc, nawet gotować w kuchni. Mówię, że na wszystko się zgadzam. Tylko musi pani rzucić kabaret — na to zgodzić się nie mogłam. (cdn)



nie otwierał, a potem jeszcze ta rodzina była zła, że tak późno przyszedłam, chyba o drugiej w nocy. I tak spędziłam wieczór po moim debiucie w Warszawie.

Ta mała od Sopockiego

Występowałam więc w owym „Mirażu”, grałam małą rolę i jakąś tam piosenkę śpiewałam. Któregoś dnia kolega Hanusz pyta mnie: Pani Mireczko, czy by pani nie poszła na kolację? Pomyslałam sobie: o, na kolację to chętnie bym poszła; żywiłam się wtedy przeważnie

Po spektaklu wsiadłam w tramwaj i jadę... Nagle zapomniałam na jakiej mieszkam ulicy. Jestem naprawdę bardzo mądra, tylko zawsze mi się pokręca ulice, albo numery. Do dziś dnia, kiedy mieszkam w rozmaitych hotelach, muszę mieć zapisane w ka-

³ Po raz pierwszy wystąpiła w warszawskim kabarecie „Miraż” 31.11.1920 r.



AUREA PRIMA...

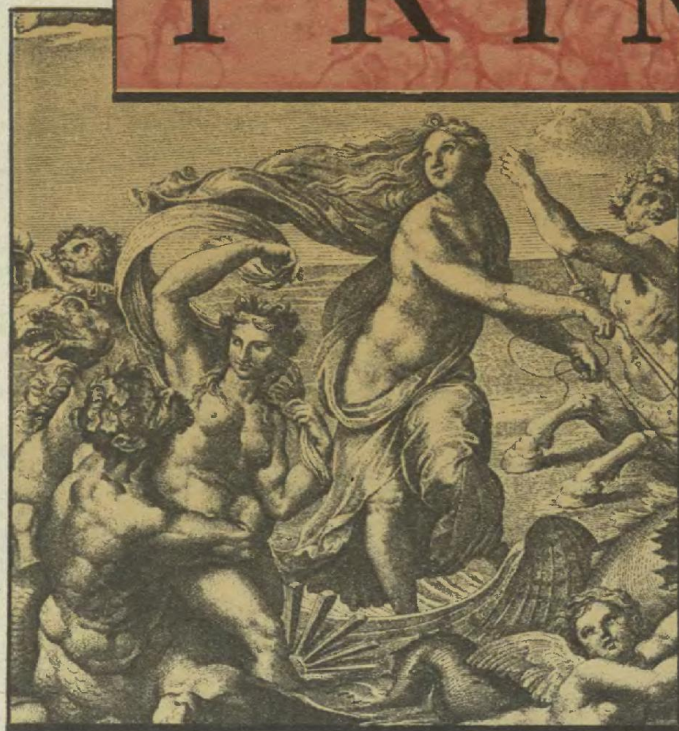
Według jednych wiek złoty już był dawno, dawno temu. Według innych dopiero będzie, względnie jeszcze powróci — choć nie wiadomo kiedy. Tamten pierwszy pogląd wyznawała cała starożytność grecka i rzymska, temu drugiemu hołdowali i hołdują Europejczycy wieków nowożytnych, niezachwianie wierzący w automatyzm postępu.

Kto ma rację? I kto jest tu pesymistą, a kto optymistą? Odpowiedź wydaje się łatwa i oczywista, całą zaś sprawę można by uznać za nieistotną, wręcz błahą, w każdym zaś razie za niesprawdzalną. Chodził przecież w przypadku wierzeń starożytnych o mity, poglądy zaś obecne — to raczej marzenia.

A jednak, śmiem twierdzić, jest to problem poważny, bardzo zasadniczy, na pewno wart zastanowienia. To bowiem, gdzie się wiek złoty umieszcza — w przeszłości czy też przyszłości — kształtuje podświadomie postawę i stosunek do rzeczywistości, i jednostek, i społeczeństw, ba, całych kultur i cywilizacji. Dzieje się tak nawet wtedy, jeśli uważa się opowieść o złotym wieku — minionym lub mającym dopiero przyjść — za poetycką bajeczkę.

Oddajmy, jak się godzi z racji starszeństwa, głos ludziom antyku. „Aurea prima sata est aetas” — „Złoty pierwszy wiek nastał”. Od tych słów rozpoczyna się opis w poemacie Owidiusza „Przemiany”. Żył ów rzymski poeta ponad 2000 lat temu, mógł więc coś więcej wiedzieć o owej szczęśliwej epoce — gdyby istniała naprawdę.

Przez ileż to wieków, ile pokoleń gimnazjalistów we wszystkich krajach należących do europejskiej wspólnoty kulturowej uczyło się skandowania tych wierszy pod batutą mniej lub więcej srogich profesorów łaciny! Zwykle było to pierwsze zetknięcie się z poezją antyczną w ogóle. Dopiero później przychodzili, jako trudniejsi języ-



kowo i tematycznie, Wergiliusz i Horacy. Jest pewną pociechą dla nas, a może nawet zapowiedzią zbliżania się wieku złotego, że po niejkiej przerwie wiersze Owidiusza znowu coraz częściej rozbrzmiewają w coraz liczniejszych liceach naszego kraju.

Ale to właśnie dzięki temu, że ów Owidiuszowy opis był tak powszechnie czytany przez tyle pokoleń, jego wizja błogiej, pierw-

szej epoki historii ludzkości została wszczepiona wszystkim; nawet tym, którzy łaciny nie znali i o rzymskim poecie nigdy nie słyszeli. Stąd szczególna rola tego obrazu w dziejach kultury.

Jakże więc wyglądał złoty wiek w wyobraźni rzymskiego poety? Poety, który żył w wielkim mieście, stolicy ogromnego imperium, i korzystał z wszelkich udogodnień cywilizacji oraz z poczucia bez-

pieczeństwa, jakie daje społeczny ład w praworządnym państwie? Słowa Owidiusza przytoczę w przekładzie Brunona Kicińskiego sprzed półtora wieku, znajomość bowiem łaciny nie jest jeszcze w naszym kraju tak powszechna, jak niewątpliwie to nastąpi, gdy złoty wiek powróci w pełni. A przy sposobności wypada wyrazić żal, że nikt z wydawców nie pokusił się o wydanie tego znakomitego przekładu w całości. I nikt też z polskich grafików nie wpadł na pomysł zilustrowania pieśni „Przemian”, choć czyniło to wielu najwybitniejszych artystów w wielu krajach.

A więc:

Złoty pierwszy wiek nastał. Nie z bojaźni kary,
Z własnej chęci strzeżono i cnoty, i wiary.
Kary, trwogi nie było. Groźnych nie czytano
Ustaw na miedzi wyrzytych. Ani się lękano
Sędziów ostrzych. Bez sędziów byli bezpiecznymi...
Hełmu, miecza nie było, a bez wojsk narody
Używały w pokoju bezpiecznej swobody.

Czyli: wzajem sobie życzliwi, uczciwi i prawdziwie pokój miłujący ludzie obywali się bez jakichkolwiek form przymusu i rygorów prawa. To interesujące i znamienne, że obywatel tak znakomicie zorganizowanego państwa, jakim było ówczesne rzymskie, właśnie w tym widzi cechę charakterystyczną i może najważniejszą ludz-

kości wymarzonego wieku złotego: egzystować zgodnie bez kodeksów, żyć w pokoju bez traktatów i zbrojeń.

Co prawda, mógłby ktoś rzec, łatwo było wówczas wszystkim wzajemnie nie wchodzić sobie w drogę, skoro

Radłem, broną nietkniętą, i
jeszcze spokojna
Wszystko z siebie dawała ziemia
w dary hojna.
Przystając na pokarmie
zrodzonym bez pracy,
Z drzew owoc, z gór poziomeki
zbierali wieśniacy.
Tarnki i glóg rosnący na
krzakach ciernistych,
I żołędzie upadłe z dębów
rozłożystych.

I działo się tak przez cały
okrągły rok, ziemia wciąż rodziła
obficie, albowiem

Wiosna była wieczysta. Zefiry
łagodne
Rozwijały tchem ciepłym kwiaty
samorodne.
Zboża na nie oranej rodziły się
ziemi
I łan ugorony kłosa polyskał
ważnymi.
Hojnym płynął strumieniem
i nektar, i mleko,
I z jedliny zielonej złote miody
ciekły.

Byłby to więc raj nierobów, a
zarazem raj ekologów, skoro
nikt w żaden sposób ani nie
chciał, ani nie musiał zakłócać
biegu przyrody. Nie istniały na-
wet żadne zabudowania. Albo-
wiem, jak przypomina tenże Owidiusz
w swym innym poemacie,
a mianowicie w tak dobrze zna-
nej „Sztuce kochania”:

srebrnym, nastaly pory roku, trze-
ba więc było budować domy i u-
prawiać ziemię, aby mieć zapasy
na zimę. Ale ludzie byli jeszcze
zadni, spokojni. Inaczej jednak
sprawowali się w wieku trzecim,
spiżowym, kiedy stali się skorzy
do wojny.

W końcu nastał wiek twardym
przezwany żelazem,
Z nim wszystkie na świat
zbrodnie wyległy się razem.
Wstyd, niewinność, i wiara,
i prawda uciekła,
Ich miejsce wzięła chytrłość,
zdrada, zemsta wściekła.

To jest wiek nie tyle i nie tylko
nasz, ale ten, który panuje w hi-
storii ludzkiej odgądam pamięć się-
ga. Albowiem żyjący prawie
osiemset lat przed Owidiuszem
poeta grecki, Hezjod — pierwszy
poeta europejski, o którego osobie
i losach możemy coś powiedzieć
— skarży się i biada, że wypadło
mu żyć wśród okropnych ludzi
wieku żelaza. „Obym umarł wczes-
niej lub urodził się później!” —
wola z gorczycą. Zresztą Hezjod
wyróżnia nie cztery, a pięć epok,
po wieku bowiem spiżowym, a
przed żelaznym, umieszcza ten, w
którym żyli mityczni bohaterzy.

Pogląd więc, że dzieje ludzkości
to stacanie się w dół, od rajskiej
błogości i uciwiwości, ku coraz
posępniejszemu czasom znoju, krwi,
okrucieństwa, jest tak dawny jak
antyczna, grecko-rzymska kultura
i filozofia życia. Powtarzają bo-
wiem ów mit niemal wszyscy
starożytni poeci, pisarze, myśli-
ciele. Co więcej i co może waż-
niejsze: wszedł on w obyczaj-
ność, stał się pretekstem i uspra-

siało, skoro ich opiekunem był sam
bóg Saturn, władca legendarnego
wieku złotego. Wierzono, że na ten
krótki okres powracają jego rządy.
Toteż nie wolno było wtedy
ani pracować, ani załatwiać spraw
urzędowych, miano tylko weselić
się i bawić, uczując radośnie i
obdarowując się wzajem podarun-
kami. Żadnych sporów i walk,
żadnych panów i niewolników!

Sam Saturn — Kronos tak tłumaczył
pewnemu kapłanowi, dla-
czego niegdyś ustąpił tronu Zeu-
sowi i dlaczego co roku powraca,
pod pewnymi warunkami:

— Nie mogłem sobie dać rady
z rozwieleniem łajdactwem.
Trzeba było z piorunem w ręce
gonić do góry, na dół, żeby palić
krzywokleńców, świętokradców,
gwałtowników, a to było bardzo
uciążliwe i młodych wymagało sił.
Ustąpiłem więc Zeusowi i nie żał
mi tego... Obecnie wiodę rozkosz-
ny żywot starego emeryta, piję
sobie nie rozcieńczony nektar i
bajdurę z rówieśnikami. Jedynie
te parę dni sobie pozostawiłem i
podejmuję władzę, żeby przypom-
nieć ludziom, jakie za mych rzą-
dów było życie, kiedy to ziemia,
nie obsiana, nie zorana, wszystko
im wydawała. I to nie jako kłosa,
ale jako gotowy już chleb i mięso
przyprowadzone! Kiedy płynęły rzeki
wina, strugi miodu i mleka, bo
ludzie byli dobrzy wszyscy i złoci.
To jest powodem tych moich krótkich
rządów i dlatego wszędzie —
klaskanie, śpiewy, zabawy, rów-
ność u wszystkich.

Tę zabawną rozmowę przytacza
grecki pisarz Lukian w swym
dialogu „Saturnalia”, przełożonym

cisną, czemu wtedy święta obcho-
dzisz?

Na to bóg nie odpowiedział nic
konkretnego, rozgniewał się tylko
i krzyknął:

— Pytasz mię i pytasz, człowie-
cze, a tu już dawno należało za-
brać się do picia! Zrabowałeś mi
moc czasu świętecznego swoimi
niewczesnymi, filozoficznymi re-
fleksjami! Daj temu teraz spokój!
Bawmy się, klaskajmy, zażywajmy
swobody, święta, a następnie po
staremu grajmy w orzechy, wy-
bierajmy królów biesiady i słu-
chajmy ich!

A przecież istnieje odpowiedź,
prosta i przekonująca. Saturna-
lia obchodzono się w grudniu, był
to bowiem czas, kiedy już ustawa-
ły wszelkie prace rolne. Zbiory w
domu, krótkie dni, długie wieczory,
zimno na dworze i śnieg —
to wszystko wręcz zapraszało, by
odetchnąć i odpocząć, bawić się
przy ciepłym ognisku wśród domo-
wników. To było pradawne święto
złączone z samym rytmem życia.

Nie trzeba żadnych uczonych
wywodów i dowodów, by odgad-
nąć, że nie umarło ono nigdy.
Przetrwowało upadek Rzymu i śmierć
dawnych bogów, jego ciepła, po-
godna, rodzinna atmosfera powra-
ca corocznie. Przynosi z sobą
echo, odbłask prastarych marzeń
o złotym wieku i nadzieję, że mo-
że jednak znowu przjdzie.

Starożytni byli niewątpliwie pe-
symistami twierdząc, że rajs-
ki wiek złoty skończył się, a od-
tąd jest i będzie coraz gorzej. Ale
skutkiem tej postawy mogli tamci
ludzie wciąż radośnie się dziwić,
widząc, że jeszcze nie jest tak źle,
jak być by powinno. Natomiast



Cała trudność mieszkaniowa
Nie istniała w owe czasy,
Gdy się wazy, że mieszkaniem
Ludzi owych były lasy.

Tak to brzmi w swobodnym
przekładzie Juliana Ejsmonda. By-
ło wtedy tak dobrze, światem bo-
wiem władał stary, dobry, mądry
i łagodny bóg, zwany przez Gre-
ków Kronosem, przez Rzymian zaś
Saturnem. Ale kiedy stracił go z
tronu własny syn Zeus, stopniowo
to i owo uległo zmianie na gor-
sze. Przede wszystkim w owym
nowym wieku, zwanym później

wiedliwieniem pewnych, corocz-
nych obrządków.

Corocznie i przez całe wieki
obchodzili Rzymianie święta zwa-
ne po łacinie Saturnalia, po grecku
zaś Kronia. Zaczynały się 17
grudnia, trwały najpierw dni
trzy, potem siedem, a wreszcie
połączyły się z zabawami zęga-
jącymi rok stary i witającymi
nowy. Były to więc święta długie,
a zarazem, jak świadczy mnóstwo
wypowiedzi, najmiłsze, najpogod-
niejsze, domowe i rodzinne.

Tak zresztą być powinno i mu-

na język polski przez Michała Bo-
guckiego, filologa bardzo popular-
nego przed kilkudziesięciami laty w
Krakowie.

Ale oto pytanie, które nasuwa
się każdemu: dlaczego Saturn wy-
brał na swe święta najmniej przy-
jemną porę roku. Mówi więc kap-
łan:

— Kiedy śnieg wszystko pokry-
wa, wiatr północny dmie, świat w
okowach mrozu drętwieje, drzewa
suche, nagie, bezlistne, łaki ohyd-
ne, zwiedle, ludzie zgARBieni, jak
stuletni starcy, do komina się

optymistę, ufnie wierzącego w ry-
chle przyjsie wieku złotego, wciąż
spotykają przykre niespodzianki.

Tak więc mądrość i doświadcze-
nie antyku skłaniają, by uznać
umiarkowany pesymizm za posta-
wę życiowo najzdrowszą, w prak-
tyce bowiem daje ona i odporność,
i pogodę ducha. Może zresztą ma-
ją rację ci, którzy ufnie oczekują
przyjsia wieku złotego. Ale tak
na własny użytek każdy z nas wie
dobrze, że minął on bezpowrotnie
— bo był to kraj i czas naszych
lat dziecińczych. □

S

I

K

E

O

Gdzie one są? Dokąd po-
biegły w głąb historii bli-
skiej nam, którzyśmy ją
przeżywali, a tak odległej,
gdy przejrzyć wszystkie sprawy, ja-
kie się tymczasem działy i zmieni-
ły oblicze świata, nade wszystko
ludzkie obyczaje tak gruntownie...
Owa, niezapomniana zabawa w te-
atr, fascynująca przygoda, nad któ-
rą w naszych wspomnieniach do
dzisiaj stoi luna blasku, cała wspa-
niała awantura zrodziła się z... na-
iwej wiary Mariana Eilego, że
przynajmniej tą jedną imprezą
uda mu się odwrócić bieg lat,
abyśmy znów mogli — grupa
„Przekrojowych” przyjaciół — od-
naleźć aurę dawnej Polski, spowie-
loną w ognjach drugiej wojny.

Eile był wtedy sekretarzem re-
dakcji dzisiaj legendarnego, zna-
komitego tygodnika „Wiadomości
Literackie”, który przez swych kil-
ku autorów — Tuwima zwłaszcza
i Słonimskiego — powiązany był
wieloma niemi interesów i senty-
mentów z porówni legendarną
w perspektywie dziejów Warsza-
wy nadscentką kabaretową „Qui
pro Quo”. Otóż, kiedy po II woj-
nie Eile znalazł się w Krakowie
i otworzył tygodnik „Przekrój”,
umyślił sobie odrodzić tutaj war-
szawskie owo „Qui pro Quo”,
a my — para wiernych jego pod-
danych: Kamyczek i ja — uwie-
rzyliśmy, że się to uda, jak zresztą
gotowi byliśmy wierzyć we wszy-
stko, co Marianowi wpadło do głow-
wy.

Nie byliśmy zdolni krytycznie zasta-
nowić się, jak wiele tymczasem się
wywróciło na nice, i że sam Marian
nie będzie chciał wskrzeszać mieszczań-
skich, przedwojennych rozkliczeń
w tangach z rodzaju „Jesienne róże”,
ani scenkach w gatunku „Dziewczyn-
ki z zapalnikami”. Że to wszystko teraz,
w naszym teatrze, będzie musiało wy-
glądać zgoła inaczej, obracać się w krę-
gu odmienionych problemów i całkiem
różnej, zwirowanej nieco estetyki, sko-
ro za literacką gwiazdę przewodnią ka-
baretu wzięliśmy Konstantego Gałczyń-
skiego, a teatr miał się nazywać „Zie-
lona Gęś”.

Zaczęło się tymczasem od pro-
stej sprawy pieniędzy, bo trudno
było liczyć, że młode państwo z ty-
loma kłopotami na głowie zechce
inwestować kapitały w satyrę, pio-
senkę i tym podobne dyrdymały.
Chyba że gotowi byłibyśmy z gó-
ry zaprzętać się jego propagan-
dzie, na co nie mieliśmy zbytniej
chęci... Ostatecznie imprezę oparto
na udziałach czwórki prywatnych
finansistów. Mnie dostarczała pi-
eniędzy niewyczerpane pobłażliwa
matka moja, sprzedając jedyny
ocalały z wojny pierścionek ze
sporym brylantem. Jakies swoje
oszczędności dodali w równym wy-
miarze Eile i Kamyczek (inaczej:
Janka Ipohorska), a na czwartego
przystąpił do spółki Roman Szy-
dlowski dziennikarz, co podówczas
pełnił funkcję... naczelnika cenzu-
ry na Kraków. W zdobyciu lokalu,
a było to niezmiernie trudne, po-
mógł chyba ojciec Mariana, puł-
kownik Eile, militarnymi koneksjami,
dzięki czemu wynajął mogł-
my salę teatralną z kulisami,
w budynku kasyna oficerskiego
przy ulicy Zybkiewicza 1: punkt
światny, tuż przy Plantach.

Hobule siedzieć ową we wspomnie-
niach, jaką zapamiętałem, bo później
nigdy już tam nie byłem. Z zewnątrz
nie szczególnie, wojskowy standard
w czerwonej cegle, aliści wewnątrz
przyjemnie! Dobre paradyne schody, roz-
widnione ku górze, garderoby wygodne,
sala ładna, parter na trzysta-cztery

 występują:

**HANKA BIELICKA, IRENA
KWIATKOWSKA, LUDWIK SEMPOLIŃSKI, TADEUSZ
OLSZA, ZDZISŁAW MROŻEWSKI, WIKTOR BIEGAŃ-
SKI, Chór rewelersów „Kwak” i wiele innych znakomitości
(w zależności od programu)**

może krzesel, nad czym z boku mały
balconik, zarezerwowany wyłącznie dla
redakcji „Przekroju” i naszych gości.
Krystyna Żelwerowicz (pierwsza bodaj
żona wielkiego Aleksandra) była reży-
serem i zarazem bardzo surowym ad-
ministratorem budynku, więc na parter
sali nas nie wpuszczała, rezerwując
wszystkie bilety do sprzedaży!

Pierwszy program z zapal-
em i tremą przygotowaliśmy w Śle-
dziejowicach, ślicznym starym
dworze, jaki udało nam się wy-
nająć od jeszcze nie usuniętych
właścicieli na coś, co później zwa-
no by „domem pracy twórczej
i wypoczynku „Przekroju”. Eile
gnębił nas bardziej jeszcze niż
w redakcji, niezadowolony, odrzu-
cający tekst za tekstem z nadsyła-
nych przez autorów, co zwyżyli
byli szybko nowe źródło zdobywa-
nia pieniędzy i chwały. Zresztą
brakowało wszystkiego!... Poczy-
nając od nazwy: jakże ten nasz
kabaret u diabła ochrzcić?! Za na-
mową Konstantego czy może Na-
talii Gałczyńskich zdecydowaliśmy
się na „Zieloną Gęś”. Kto ma być
czołową wedetą sceny, żeby nazwi-
sko dziewczę było, a talent
ogromny, wszystko razem dopiero
na deskach „Gęsi” narodowi przez
nas objawione.

Na tym etapie namysłów przy-
pomniałem sobie aktorkę, która
przed wojną ledwo zdążyła debi-
tować, i to na prowincji, a po woj-
nie dopiero od niedawna słysząc
ją było przez mikrofony Polskiego
Radia z Warszawy, w którego stu-
diach razem przygotowaliśmy
różne audycje, zanim się nie wy-
niosłem do Krakowa. Ta Irena
Kwiatkowska, po którą pchnęliśmy
specjalnego wystannika samolotem,

przyfrunęła natychmiast, odważnie
zdecydowana. Z partnerem dla niej
takim, żeby atrakcyjny był od razu
i stanowił dla Ireny tło korzy-
stne rozkwit, na wzór południo-
wego muru dla rozpiętej na nim
brzoskwini — udało się jeszcze lat-
wiej. Były to czasy powrotów
z emigracji wielu artystów, co mi-
mo wszystko niepewne gotowi by-
li ryzykować życie w uludowanej
ojczyźnie, a wśród koryfeuszów lek-
kiej muzy zjechał był Tadeusz Ol-
sza, przed wojną sławny amant
rewii „Morskie Oko” w Warsza-
wie, skąd pamiętano go dobrze ob-
nażonego do pasa, jak tańczył wespół
z rozebraną do zupełnego roso-
łu Zizi Halamą tango „Panterę”.
Wznowił telegraficznie przez Eilego,
zjawił się również w Krako-
wie bez zwłoki, gdy my tymczasem
pracowaliśmy w pocie czoła, każdy
nad wyznaczonym fragmentem
całości, która miała stać się teat-
rem.

Na mnie wypadło — sam się tego
lekkomyślnie podjąłem! — skompo-
nowanie szlagieru, który do wspólnie
ułożonego tekstu stałby się muzy-
cznym przebojem, marszem-fok-
strotem na finał programu, żeby
ludzie opuszczali naszą „Gęś” roz-
wibrowani rytmem, podśpiewując
narzuconą im przeze mnie melodię.
Niechaj mi Pan Zastępów wyba-
czy! Przypominałem sobie wszy-
stkie dawne przeboje finalne z „Ca-
sino de Paris”, „Folies Bergère”
i naszych rewii krajowych, pozbie-
rałem wspomnienia w jedną ca-
łość, siadłem do śledziejowickiego
fortepianu i z odwagą skazańca
pierwszy a także ostatni raz w ży-
ciu runąłem w kompozycję!

„Zielona Gęś” to teatr jest
wspaniały,
„Zielona Gęś” dziś dla Krakowa
gra.
„Zielona Gęś” najlepsze ma
kawały:
„Zielona Gęś, Zielona Gęś,
Zielona Gęś” — ha! ha!

To było arcydzieło, lecz ono jedno
nie załatwiało sprawy muzyki dla na-
szej sceny. Funkcję mastry di musica,
za radą wielu w tym doświadczonych,
oddaliśmy w ręce Andy Kitschmanna,
osoby groźnej i władczej, z różnych
względów zasługującej na obszerniej-
szą notę. Była córką także muzyka,
Adolfa Kitschmanna, który parą się
pisanem tekstów do pieśni i tłumacze-
niem na język polski librett opero-
wych, wszystko razem tak okropnie,
że — jak powiadano — od jego naz-
wiska miał pochodzić termin „kicz”.
Córka jego, Anna Maria, zwana Andą,
urodziła się w Wiedniu 1895 roku, za-
tem w opisywanym roku już nie Pań-
skim, a ludowym — 1946, była osobą
w latach, zaś uplasowała się w dzie-
jach muzyki ojczystej jako pierwsza
kobieta-dyrygent, z dyplomem wiedeń-
skiej Akademii Muzycznej, przeto dzi-
siejsze czołowe nasze panie z batutą:
Ewa Michnik i Agnieszka Duczmal win-
ny wspominać ją jako Babkę, że czcią!

Ewie i Agnieszce kariery poszły
jak z płatka. O ileż trudniej za-
czynała pani Andą! Kiedy zdobyła
dyplom, czyli A.D. 1911, nie było
mowy, żeby kobieta stanąć mo-
gła przed orkiestrą na poważnej
estrady. Natomiast, proszę bar-
dzo: w charakterze dyrygentki „ka-
peli damskiej”, czyli domu pu-
blicznego z muzyką. Dzielną Andą
wywojowała jednak sobie pozycję
na kilka lat dyrygenta szacownej
opereki Nowości w Warszawie,
a potem nawet Opery we Lwowie.
Później wszakże, zepchnięta z po-
dium przez mężczyzn, musiała kon-
tentować się nie odpowiadającym



T D O E W M

jej wyższym aspiracjom stanowiłskiem korepetytorki śpiewaków-solistów w Teatrze Wielkim w Warszawie. Zresztą i to nie trwało długo, po czym — w dwudziestolecie międzywojennym — było prowadzenie na Śląsku różnych chorów, zwykła dla owych czasów trudna walka o byt i chleb. Stąd może wyrobiła się u pani Kitschmann twardość charakteru, oschłość, zaś oczy krótkowidza za silnymi okularami okularów przypominały wypłasknięte spojrzenie żaby, w twarzy i bez tego pozbawionej uroku. W naszej „Gęsi” zabrała się do pracy z furją, co oznaczało piekielne awantury o byle co, zmykanie przed nią w popłochu wszystkich, z wyjątkiem Mariana, który potrafił być jeszcze straszniejszy, zaś u nieznoszącej pani Kitschmann cenil nie bez racji kompetencję muzyczną i talent, który zaczął przejawiać się w slicznej często muzyce, zwłaszcza do poezji Gałczyńskiego.

losu jeszcze dotkliwsze od tych, jakie odbierać musiało. Im bliżej otwarcia naszej sceny i przedstawienia pierwszym widzom pierwszego programu, zatytułowanego „Trzy razy miau”, co było jednak podlizaniem się władzom w związku z ogłaszanym referendum zaufania narodu dla rządu; im bardziej stawało się jasne, że nie unikniemy prapremiery — tym ciężiej chodziliśmy zdenerwowani i stremowani. Dlaczego „Trzy razy miau”?... No, bo Marian w ostatniej chwili przestraszył się konserwatywnej opinii Krakowa — społeczności, która nic a nic z awangardowej podówczas poezji Gałczyńskiego nie rozumiała — więc zmienił nazwę teatryku z „Zielonej Gęsi” na „Siedem kotów”,

czorami maszerowałem jak na ścieżce i prosiłem Boga, żeby się to rychło skończyło, co się i stało niebawem. Nie dlatego, żeby nasz pierwszy program był zły. Przeciwnie! Dla ówczesnej publiki był za dobry, a nade wszystko zbyt trudny w tekstach Gałczyńskiego, które dominowały nad całością. Nazbyt skomplikowana okazała się jego satyra w popisach Chóru rewelersów „Kwak” (Bielenia, Kasiewicz, Bieleński, Nowak), za finezyjna liryka w piosenkach Alicji Kamińskiej dla mieszczańskich odbiorców, co zawsze lubili i nadal lubią, żeby ich laskotać do śmiechu zgrzeblem, a do płaczu zmuszać prostactkami dawkami wzruszeń. Jedną Ireną Kwiatkowską umiała już pierwszą swoją piosenką do tekstu Ide-fonsa „Sierotka” podbić Kraków. Zresztą ludzie opuszczali teatr, niewiele rozumiejąc z tego, cośmy im proponowali, a prosty widz ma w podobnej sytuacji skłonność obrażać się, przekonany, że pozwolono sobie z niego zadrwić.

Za cenne związki poprzez scenę „Siedmiu kotów” z „Przekrojem”, tygodnik odzwierciedlał się teatrowi reklamą. Już w numerze 75 z 15 września 1946 znalazły się na okładce Kwiatkowska z Kamińską, efektywnie sfotografowane na Plantach, zaś po dwóch tygodniach można było przeczytać o imprezie bliźsze dane: Muzyczny Teatr Miniatur autorów i malarzy tygodnika „Przekrój” — SIEDEM KOTÓW, Kraków, ul. Zybkiewicza 1 (róg ul. Potockiego). Niektóre pozycje programu, dyrekcja, kierownictwo muzyczne. Dekoracje Mariana Eilego. A w tym samym numerze na ostatniej stronie prądu „Zaczarowanej do-rożki” Gałczyńskiego. Po następnym tygodniu, w numerze 78 z 6-12 października znalazł się już normalny in-serat o działającej nowej scenie, początek przedstawień o godzinie 19.30, w niedzielę dodatkowa popołudniówka o 17-tej. Musiała więc tymczasem odbyć się prapremiera uroczysta, po czym kolacja, ale gdzie i w jakim gronie?... Tyle ich było tych wspólnych spotkań na mieście, że pamiętać o kolejnych nie sposób! Od małych knajpek w bliskich redakcji suterenach, dokąd wpadało się na „jednego pod śledzia”, poprzez najbardziej lubiane kolacje na Sławkowskiej „Pod snopem” i później tancowanie w dancingu „Casanova” przy Floriańskiej. Jakże różne, barwne, ze wzruszeniem przywołane uciechy. Ale to były osobny, rozległy temat, wraz z bałem, wydawnym przez redakcję „Przekroju” w Grand Hotelu, bodaj w karnawale roku 1948?

Tymczasem już w numerze z 10 listopada 1946, czyli po miesiącu za-ledwie, ukazała się w naszym tygodniku reklama drugiego programu „Siedmiu kotów”, rewii „Od kankana do swinga”, ze znakomitą męską gwiazdą na czele zespołu — Ludwikiem Sempolińskim, którego numery zapowiadał nowy, tym razem z prawdziwego zdarzenia, konferansjer pełen wdzięku i wszelkich potrzebnych umiejętności — Stefan Sojceki. I to był dopiero wielki sukces, jakkolwiek zarazem częściowa rezygnacja z naszych wysokich, literackich ambicji. Publiczność płaciła, swego się domagała, subwencji państwowych nie było, musieliśmy! Scenariusz, pod okiem Eilego, wysmażyłem sam z cyklu wcześniejszych moich audycji radiowych „Historia piosenki”, nad muzyką czuwała Anda Kitschmann, dekoracje dał Marian, zaś kostiumy — bardzo piękne i zabawne, gdy trzeba — Jan Kamyczek. Cze-

góż w tym wieczorze nie było!... O ile w pierwszym programie górowała poezja Gałczyńskiego, o tyle w drugim — Kwiatkowska, dając popis swego wszechstronnego talentu. Dla szerokiej publiczności śpiewała i grała, zresztą wybornie, podwórzową balladę „Czarna Mańka”, lecz pobok recytowała z doskonałym wyczuciem fin-de-siècle’u „Stefanie” Boya-Zelenieckiego, a kulminacją jej sukcesu był klasyczny odtań monolog przy telefonie, powtarzany i naśladowany na wielu estradach, Gałczyńskiego „Kociubińska Hermenegilda”. Sempoliński wruszał piosenką śpiewaną u progu wojny — „Ten wąsik”, w której przebrany za Chaplina ostrzegał świat przed całkiem różnym, o ilez groźniejszym blaznem, Hitlerem. Alieci czarował także piosenkami ze swego dawniejszego, żelaznego repertuaru: „Madame Loulou” i „Szumiąły mu echa kawiaru”. Hanka Bielicka roześmiała, wtedy już zachwyconą jej czerstwym humorem, publikę w piosence „I namawia, i namawia...”. Była nieodparcie komiczna; zespółowa inscenizacja one-stepa „Salome” i parodia sztuki Przybyszewskiego „Dla szczęścia”, no i ulubione Eilego „blackouty”, czyli inscenizowane krótkie żarty angielskie, oparte na czystym nonsense. Oto jeden:

Na scenie, w salonie, zdenerwowany hrabia z przyjacielem, u drzwi lokaj w libelii. Hrabia: Za chwilę moja żona ma rodzić, a przepowiednia mówi, że jeśli będzie chłopiec, ojciec umrze. Pielęgniarka (wchodząc): Hrabina powiła dziecko pięć miesięcy! Lokaj: (pada martwy). Z obsady „Przekroju” kto żył starał się być codziennie na naszym balkonie nad salą. Uszczęśliwieni, nie byliśmy dość syści braw i śmiechów widowni pełnej po same wręby. Na tę naszą publikę spoglądaliśmy z tklivą czułością myśliwego, co po długich podchodach jednak w końcu ustrzelił dorodnego zająca. Niestety! Sempoliński wcześniej zaangażował się w Warszawie, do udziału w sławnym potem spektaklu „Królowej Madagaskaru”, gdzie obok niego, w roli Mazurkiewicza, porwała wszystkich talentem, urodą i temperamentem Mira Zamińska, śpiewając wspaniałą przez Sygietyńskiego starą piosenkę Bartka. Mówili: nie ma Warszawy, a tu jest Warszawa! Ofiarą tej „Królowej” padły nasze „Koty”, zmuszone do zdjęcia z afisza rewii „Od kankana do swinga”, w pełni niesłychanego powodzenia, gdy ludzie zamawiali bilety, nie tylko przyjeżdżając z bliskich Katowic, ale także z Warszawy.

Już w styczniu 1947 musieliśmy dać trzecią premierę według scenariusza Gałczyńskiego „Noworoczna wyborowa”, z udziałem nowej gwiazdy, głośnej przed wojną aktorki filmowej — Heleny Grossówny, której partnerował lubiany w Krakowie Wojciech Ruszkowski. W lutym posłała komedio-rewia „Moja żona Penelopa” Gozdawy i Stępnia. W kwietniu — „Historia świata, czyli od małpy do bomby atomowej”: widowisko rewiiowo-satyryczne Mariana Eilego i Jana Kamyczka, z piosenkami K. I. Gałczyńskiego, muzyką Andy Kitschmann. Na koniec wrzesień sezon, w czerwcu, była francuska farsa Hennequina „Pani Prezesowa”, z królującą na scenie Kwiatkowską, u której boków występowali Zdzisław Mrożewski oraz Wiktor Biegański.

Na tym był koniec naszej zabawy w teatr! Zamknęliśmy go, aktorzy się rozjechali, długów los oszczędził, chociaż z włożonych

teksty pióra samych MISTRZÓW opracowanie muzyczne: ANDA KITSCHMANN



dekoracje: MARIAN EILE kostiumy: JAN KAMYCZEK

Przed każdą premierą rozgrywały się te same sceny: pani Anda z krzykiem domagała się nowej toalety, Marian bronił się bezskutecznie, więc na koniec siadała do pierwszego z dwóch akompaniujących spektaklom fortepianów, spowita w złote lamy, szale tiulowe, z diademem i piorami we włosach, ale już nazajutrz po premierze jawiła się na przedstawienie w ciaglej samej, sfatygowanej czarnej kiccie, a jeśli — nie daj Boże! — ktoś na widowni gadał, przerywała grę, patrzyła okropnym wzrokiem spoza okularów na salę i pytała: „Może ja państwu przeszkadzam?” — na co wszyscy milkli przerażeni i było do końca wieczoru jak makiem zasiał. Nawet wybuchy śmiechu, po najlepszych dowcipach ze sceny, zrywały się raczej ostrożne, w każdym razie pełne szacunku.

Dopiero w wiele lat później, gdy pani Anda była starą, schorowaną kobietą, która przestała z życiem walczyć i się mu poddawa, konstatawałem — odwołując ją — że za pozorami oschłości i surowości kryła się jak za tarczą, żeby jej dobre serce nie było narażone na ciosy

choć po prawdzie winien był zmieścić na „Siedem szurów”, gdyż tych w Krakowie od Lokietka zawsze było najwięcej.

Ze względów wzajemnie-reklamowych postanowił natomiast bardzo zdecydowanie i widomie związać teatryk z „Przekrojem”. W pierwszym programie na scenie występował osobiście Gałczyński, recytując w bateldresie, w którym wrócił z niewoli, swoje wiersze: „Na dlonie Krystyny” i „Dwa paszkwile na Hermenegildę Kociubińską”, a robił to wspaniale! Konferansjerem zaś byłem ja, a robiłem to okropnie!... Później dopiero nabyłem pewności siebie w obcowaniu z audytoryum, a nigdy nie miałem w sobie bystrej gotowości replikowania na zaczępek z widzów, w czym tak celował przed wojną Fryderyk Jarczyński. Mczyłem się więc ogromnie, do „Kotów” wie-

KAMIEŃ

z Saint-Nazaire

Coetquidan *). Rok 1940. Początek czerwca. Ostatni obiad w kasynie oficerskim jemy w ponurym nastroju. W nastawionym na całą potęgę radia słychać płacz jakiegoś mężczyzny. To głos Paula Reynaud, premiera.

Jemy swoje porcje w milczeniu. Od czasu do czasu przerywa je grzecznie powtarzane: *kowalski... kowalski...* Towarzyszy każdemu ruchowi francuskiej kelnerki, której jakiś dowcipniś wmówił, że słowo to oznacza *przepraszam*. Zaskoczony tym kiedyś porucznik Kowalski nie zareagował, i tak już pozostało. Gorzej wypadł pewien starszy już major, który na słodkie zapytanie kelnerki czy *chcesz stary b...?*, zbleszczał okrutnie Bogu ducha winną dziewczynę i pozostał na zawsze w anegdocie rozniezionej po całym Coetquidan. Może i dziś to się tam jeszcze pamięta.

Podobne lekcje języka polskiego wywoływały zawsze salwy śmiechu. Pamiętam jak ładujących w Suez Polaków otoczył tłum Arabów, proponujących wśród wrzasków: *czarna gielda, oszustwo... czarna gielda, oszustwo* — wymianę funtów angielskich na egipskie, a w Iraku staruchy z zaropłatymi oczami zachwalały swój towar wołaniem: *mleko zaraza, mleko zaraza*.

W Coetquidan byłem pierwszym, który ze słowem *kowalski* na ustach wstał od stołu i w dwie godziny później stanął się w swojej macierzystej jednostce w Le Forche. Przywitali mnie głucho odgłosy uderzeń i trzasków, jakby łamanych kości. To korpus oficerski mojego trzeciego pułku artylerii rozbił na stołach młotkami i cegami skurpy ogromnych krabów.

Następnego dnia była niedziela, cicha i spokojna, ostatnia niedziela nadziei, że przecież zwyciężymy, bo jesteśmy silniejsi. Tak przynajmniej twierdziły propagandowe afisze francuskie, przedstawiające mapę świata, na której jaskrawoczerwonym kolorem zaznaczono wszystkie posiadłości brytyjskiego i francuskiego imperium.

Przez Le Forche, w idealnym porządku, przesuwali się zmotyrowane kolumny uśmiechniętych Anglików. Pozdrawiali nas podniesionymi w górę kciukami. Nikt wtedy nie przeczuwał, że było to początki ich Dunkierki, a w tydzień później naszego Saint-Nazaire.

Sielanka przeszła wraz z niedzielą. W poniedziałek zaczęły nadchodzić ponure wieści. Że Paryż zajęty przez Niemców, że ustał wszelki

*) Miejscowość w Bretanii, 45 km na południowy zachód od Rennes, gdzie mieścił się obóz ewidencyjny armii francuskiej, oddany z końcem września 1939 roku do dyspozycji formującym się we Francji polskim jednostkom wojskowym.

pieniędzy udziałowcy nie zobaczyli ani grosza. Przecież uciechy mieliśmy co niemiara, a wspomnień zostało promiennych aż do dzisiaj, kiedy nam oświecają życie szare i smutne. Mnie osobiście dało wszystko razem parę cennych doświadczeń, nie tylko w zestawieniu z teatrem. Jak można stwierdzić po datach, im bardziej obniżaliśmy poziom sceny, tym przedstawienia jednego programu szły dłużej, co zostało praktycznym dla mnie sprawdzianem filozoficznej tezy, że ludziom nie sztuka jest potrzebna do szczęścia, ale jej przeciwnieństwo — kicz, z czym trzeba się liczyć, szukając poklasku tłumów. Marian Eile przecież nauczył mnie jak dawkować porcje kiczu, żeby ocalić nie zawstydzającą przynajmniej resztę. W końcu: rewia „Od kankana do swinga” w sumie była dobrym przedstawieniem, zaś dzięki aktorom „Kotów” zyskałem inicjację w arkanach fascynującego zawodu. Dokładnie — dzięki parze: Kwiatkowska-Olsza.

W życiu prywatnym Tadeusz Olsza ze swymi kieszonkowymi trudnosciami, małymi zawiściami i kłopotami z trawieniem — nie był interesującym człowiekiem. Typ aktora kierującego się jeno intuicją, a nie rozumieniem sztuki.

ki. Gdy przecie zjawiał się w garderobie na trzy godziny przed rozpoczęciem spektaklu i zabierał do charakteryzowania, działać zaczynała w nim i wokół niego tajemnicza magia transformacji. Na podobieństwo dźwięków, jakie opowiadano o wielkim aktorze poprzedniej epoki, Kazimierzu Kamińskim. Podczas gdy Olsza, przy pomocy mastyki, szminki, peruki i włosów przyklejanych do twarzy, zmieniał swą fizjonomię całkowicie, a także korpułencję przez dodanie sztucznego brzucha — przemianie ulegała również, z godziny na godzinę, osobowość jego. Zaczynaj cichy i powolny w ruchach — taki, jakiego dzisiaj młodzi troglodyci nazywaliby „mieczakiem” — w garderobie aktor, w miarę przebrania i charakteryzowania się, w ruchach poczynął być gwałtowny, mówił teraz „przez nos, lekko sapiąc, kark mu nawet zdawał się pęcznieć i czerwienieć, dopóki nie powstała definitywnie wykonana w każdym szczególe postać sceniczną Augusta Bęć-Walskiego, symbolu wówczas zacoftanego posiadacza, który pod maską pewnego siebie głupca krył spryt zezwalający wyjść cało z każdej, niebezpiecznej sytuacji. Kiedy Olsza, tak przygotowany, czekał za kuliskami swego wyjścia na scenę i rozmawiał ze mną, musiałem za każdym razem upewniać sam siebie, że to jest przecież aktor Tadeusz Olsza, a nie ktoś zupełnie inny, kogo poznawałem też coraz lepiej, ale tylko w teatralnych kuliskach.

Kwiatkowska przeciwnie — umysł żywy i krytyczny — budowała postaci przy

opór francuski, że nasza pierwsza dywizja obudziła się pewnego pięknego poranka bez lewego skrzydła, które cichutko zwinęli Francuzi i odeszli pod ochroną nocy bez pożegnania. Anglicy nazywają to *to take French leave* — zniknął jak Francuz.

Nieprzyjemny kontrast tworzą francuskie „kamiony” (ciężarówki), pełne pijanego żołdactwa, które porzuciwszy broń wrzeszczy: *la guerre est fini!* — wojna skończona. Powoli zaczyna w nas wzbierać gniew. Ustawiali w poprzek szosy dwa cekaemy i czekamy aż nadjadą kolejne kamiony

— Stać!

Stanęli.

— Złazić! — ryczymy.

Nie rozumiemy.

— Złazić! Szybkiej!

Amunicyjni cekaemów potrząsają taśmami, celowniczo trzaskają zamkami i mierzą. Stanęli. Ladujemy się na dwa opróżnione kamiony, ale dla grupy oficerów miejsca zabrakło. Nadjeżdża taksówka.

— Stać! Dokąd jedziesz?

— Do Rennes.

— Nie. Ty jedziesz do Saint-Nazaire.

I podsuwamy Francuzowi zebrane wcześniej pieniądze. Nie chce. Ale wkrótce zaczyna rozumieć, że musi chcieć...

Późnym wieczorem dojeżdżamy do Saint-Nazaire. Miasto całe w światłach i szalejącej radości. W otwartych oknach odbiorniki różną z Paryża marsze niemieckie. Nasi żołnierze rozsiadają się wzdłuż krawężników i posilają się, czym kto może.

Wkrótce opuszczamy Saint-Nazaire i dochodzimy do polskiego lasu, aby rozłokować się w opuszczonych przez Anglików beczkach śmiechu. I przeżywamy piekło. Patrzmy, jak nadlatujące samoloty niemieckie miotają bomby w świetlną bryłę miasta, w rozdrgane muzyką radia, w rozwrzeszczane „la guerre est fini!”

Przed nami, omiatane krwawo polskującymi dymami, umierało Saint-Nazaire.

Szarym świtem ktoś wlaź na drewnianą skrzynkę, zasalutował i powiedział: *W imieniu Rzeczypospolitej dziękuję Wam za wierną służ-*

pomocy słów tekstu, z których długo bywała niezadowolona. Chociaż wiedziała, że w Gałczyńskim ma do czynienia z wielkim poetą, którego twórczość należy szanować — korzystała ze swej kobiecej bezkarności, żeby od Konstantego ciągle domagać się zmian w przyniesionym przez niego rękopiśmie. A on — w pracy równie rzetelny, a przede skromny — godził się na wszystkie jej wymagania, chociażby miały czechy kaprysowy. Kreślił, pisał zdania całe od nowa, jeszcze raz kreślił i rządził się aktorki tak długo, póki — z ich wspólnie męki nie narodziło się nowe mini-arydzielo piosenki lub monologu. Zostali mi tacy w pamięci: wzory odpowiedzialności u twórców za powstające i przekazywane ludziom słowo.

Likwidację „Siedmiu Kotów”, po jednym tylko sezonie trwania, rozmaito komentowano, zaleźnie od tego, kto mówił i jakie własne przy okazji zapatrywania szerszej natury chciał utwierdzić. Sądze, że przyczyn było kilka, także w podświadomości naszej. Ponieważ nie udało nam się stworzyć teatru na pełną miarę własnych marzeń i wymagań, byliśmy znużeni samą myślą o konieczności wystawiania bez końca takich tylko fars i rewii, żeby się podobali wielmożnej publiczności, gdyż spory z nią estetyczne mogły kosztować drogo, w dosłownym, finansowym tego słowa zna-

bę. Jesteście wolni! Potem zasalutował raz jeszcze i znikł. Towarzyszący mu mężczyzna, kulejąc, doszedł do stojącego obok samochodu i też znikł. Żołnierz otworzył głowę i zapytał oficera: *Co to znaczy, że jesteście wolni?* Ale oficer nie miał dla niego odpowiedzi.

Kiedy wyszliśmy z przegodnym kolegą na szosę, natknęliśmy się na dwóch żołnierzy belgijskich. Dali nam do zrozumienia, że są w lepszej od nas sytuacji, bo mogą udawać Francuzów. A my? Wskazali nam na dwa rozbite samochody pełne waliz z cywilnymi ubraniami. Nie zastanawiamy się długo. Wygrzebując jakąś czarną bluzę i spodnie w prażki. Wersal. Pasują. I kiedy tak stoję w cywilnej skórze, dostrzegam nagle na stosie rozbitych waliz mój własny zielony kapeluszy tyrolski. Kupilem go na Węgrzech, w Lengyelotli. Chronił moją głowę w wędrówce przez Jugosławię i Francję. Poświęciłem mu później sentymentalny artykuł *My Hat*. Drukowało go pismo studentów „Lincoln College” w Oxfordzie. Niestety, moja hiszpańska żona nie podziela moich sentymentów i kapeluszy jest teraz na stryszku. Ale jest...

Teraz usiłujemy zawartość „zarekwizowanych” walizek zamienić w najbliższym domu francuskim na rower, ale Francuz na widok Polaków nawet wody odmawia i ucieka przestraszony. Nie wiemy, co robić. Nieliczni w naszej grupie, ci z jaką taką francuszczyzną, radzą ukryć się w Paryżu, ale reszta marzy o ewentualnym azylu w Hiszpanii.

Rozchodzimy się, by znaleźć coś do jedzenia. W jakiejś uliczce dopada mnie głos kobiety: *Polo-nais? Przytakuję. Prowadzi mnie do domu i obdarowuje dwiema omszałymi butelkami wina. Jedną z nich (były to półlitrowki) opróżniłem jednym tchem przed domem dobrej Francuzki.*

czeniu. Coraz też bardziej naciskała potrzeba wyboru między „Przekrojem”, nieco zaniedbywanym, a nie dopieszczonymi „Kotami”. Nareszcie władze, które od początku przyglądały się nam kosym okiem: co mają koty wspólnego z socjalizmem?

Najpotężniejszy lewicowy autorzytet ówczesnego Krakowa, poseł dr Bolesław Drobner, gwałtownie domagał się bezpłatnych biletów na każdą premierę, ale sam nigdy nie przychodził, tylko — jak podejrzewaliśmy — wysyłał swą pobożną gosposię, która mu potem relacjonowała, że na Zyblikiewicza „obraza boska. nagie dziwki po scenie latają”, co znaczy poseł grzmiało przenosił na zebrania Rady Miejskiej tak długo, aż koncesji w nowym sezonie teatrykowi odmówiono.

A teraz wszystkie tamte sprawy i ludzie, na czele z siódmką kotów o zadartych ogonach, cwałują coraz szybciej w głąb historii. Jak powiadała Kazimiera Ilakowicz: to było tak dawno, że aż nieprawda!

JERZY WALDORFF



Pierwszy dzień w Szkocji. Niedziela w czerwcu 1940, po mszy w kościele św. Augustyna w Coatbridge.

A na razie gnijemy w Crawford. Bez słońca, bez YMCY, bez żadnego kontaktu z londyńską Polonią, na którą potracą nam z poborów solidnie i regularnie.

Któregoś dnia wyrwała nas z monotonii zapowiedź o przyjeździe generała Sikorskiego. Na „wielkie” manewry z artylerią i czołgami, choć prawdę mówiąc, mieliśmy ledwie przywiezione z Francji karabiny i kilka cekaemów. Artylerię miałem robić ja. Dano mi chlebak, pelen jakichś czarnych, śmierdzących kulek, z ojcow-

Idę przed siebie i jest mi teraz wszystko jedno. Przez chwilę wydaje mi się, że waląc ulicą kamiony z naszymi chłopcami są zwiędniętym pijackim. Ale nie. Macham do nich rękami. Jadą dalej. Zaczynam rozumieć, że jestem dla nich zwyczajnym Francuzem, nakładam na łeb furazerkę z orzełkiem i ryczę: Bateria stój! Stanęli. Była to moja bateria. Wcisnąłem komuś butelkę wina i jedziemy teraz na zbity łeb, aby spotkać się z Anglikami. Podobno ich kontrtorpedowce stoją już w portach Croisic i Le Tourbal. Mówią, że Sikorski to załatwił z Churchilllem, aby nas uratować przed Niemcami.

Dobijamy do portu w Le Tourbal. Wzdłuż wybrzeża słoczono nowiutkie samochody, czołgi, działa angielskie. Nie, tego nie wolno Niemcom zostawić. Pod ciosami dragów i siekier zamieniają się w złom błyszczące limuzyny. Natomiast my, chłopcy z artylerii, z wprawą dentystów otwieramy działom paszce, wyciągamy z nich iglice i ciskamy w morze.

Po tym dziele zniszczenia ustawiamy się grupami po dwadzieścia osób. Anglicy zapowiedzieli, że wpuszczać będą na okręt tylko grupy, w których wszyscy się znają. Żadne „obce ciało” nie może się przedostać na wyspę. Wlazimy w ciskające nami okrutnie szalupy. Z wysokiej burty statku spuszcza nam sznurową siatkę w duże kraty, po których wspinamy się jak małpy. Z tobołami i karabinami. Niektórzy taszcza nawet cekaemy.

Na pokładzie staje przed nami oficer angielski. Czyści, wygolony. Pewnie śniadanie jadł w domu u mamy, a my, wygłodzeni, nie ogoleni od paru dni i brudni... Jesteśmy wściekli na łalusia, ale dostrzegamy wkrótce, że on sam nie wie, co robić z rękami i jest wyraźnie zażenowany swoim nobliwym wyglądem. Za chwilę zacznie nas, oficerów (było nas chyba piętnastu), przeproszać, że nie od razu odpłyniemy do Anglii, że nie za wiele jest miejsca w kabinie oficerskiej i będziemy musieli spocząć na podłodze wysłanej kocami, i że jedyną rzeczą, jaką nas może uraczyć, to herbata.

— Sy git — wołamy — dawać tę herbatę. Była najłepsza, jaką mi się w tym kraju pic zdarzyło.

Destroyer, którym mieliśmy odpłynąć do Anglii, eskortował statki z węglem. Przewoził teraz naszych chłopaków. Umorusani pyłem węglowym robili wrażenie wojsk kolonialnych.

Nareszcie odpływamy. Zygzakami, by zmylić niemieckie łodzie podwodne. I żegnamy nieszczęśliwe Saint-Nazaire, wciąż jeszcze nekane samolotami z czarną swastyką.

Dobijamy do Plymouth, gdzie czekają już na nas wagony kolejowe i Angielki podające herbatę, czekoladę, papierosy i... uśmiechy. Później przyzwyczailiśmy się do tych uśmiechów, zaczynaliśmy cenić zawarte w nich ciepło i szczerość. Nawet dżdżyste i brzydkie Glasgow było nam dzięki nim miłe. Dostrzegali to brytyjscy żołnierze i marynarze, okazując nam uznanie znaczącym mrugnięciem oka i zawiadającym przechyłem głowy.

W sielankowym nastroju przejechaliliśmy całą Anglię, aż do Liverpoolu. Tu wsadzono nas na nowy pociąg i dojechaliliśmy do jakiejś stacji. — Szkocja — zawrzeszczał któryś, zobaczysz policjanta w czapce ołoczonej białoczerwona krata.

Przespaliśmy się w jakiejś szkole. Obudził nas poranek niedzielnym w miasteczku małym,

szarym, brzydkim. Jakiś chłopak, zapytany w języku migów, pokazał mi na mapie gdzie jesteśmy i powiedział: — Coatbridge.

W dwie godziny później była msza w kościele św. Augustyna, którego imię nosiła również nasza szkoła. Po mszy nasz dowódca (był mi zupełnie nieznany) zebrał na dziedzińcu to szemrające, rozgoryczone wojsko i odważnie rzucił: Kto nie czuje się żołnierzem — wystąp! Wystąpił Staszek Kasprzyk z Rzeszowa, towarzyszył moich zabaw dziecińczych z ulicy Bernardyńskiej. — Bo mnie — powiedział — rozwiązań w lasku pod Saint-Nazaire. Bo mi za wierną służbę podziękowano w imieniu Rzeczypospolitej. I powiedziano, że jestem wolny.

Ożywiły się szeregi. Wystąpił ktoś drugi, trzeci... dwudziesty...

Zaskoczony niebawem w polskiej armii sytuacją pułkownik wybelkotał coś tak bezsensownego, że nie sposób było utrwalić to w pamięci.

— Rozejść się!

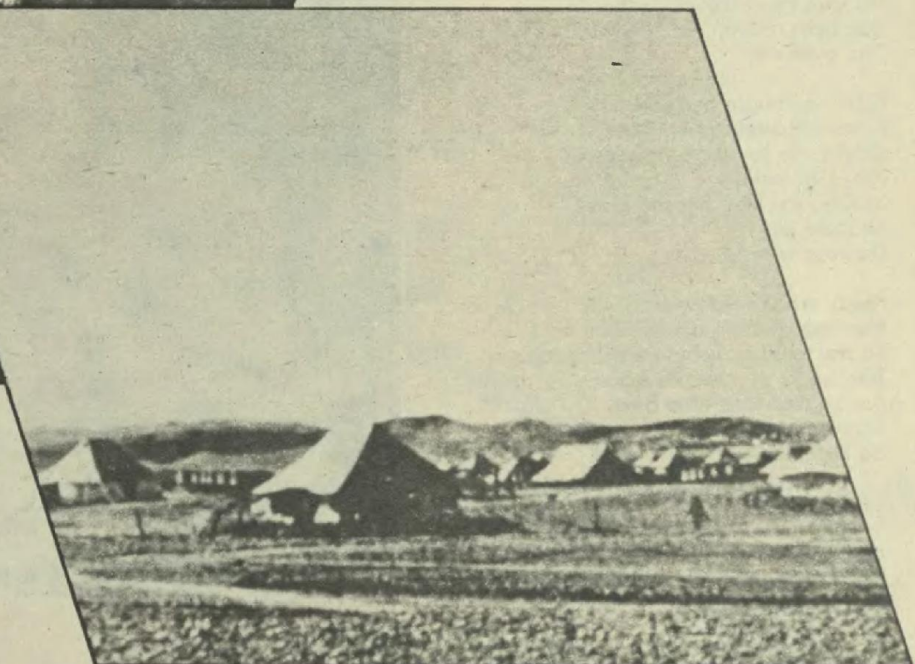
— Co teraz będzie?

Wyjechaliliśmy do Crawford. Z każdego niemal namotu dochodziły odgłosy kłótni. Pole zasiane było francuskimi hełmami. Służyły nam jako naczynia nocne, miast zafasowanych kubłów, nowych i eleganckich. Nie znając ich przeznaczenia, nosiliśmy w nich strawę z kotłów — ku wielkiej radości brytyjskich oficerów i podoficerów łącznikowych.

Na szczęście, każdego dnia o godzinie szesnastej przyjeżdżał samochód „Cioci imci” (YMCA). Przemiłe panie i panienki, które z każdym dniem wydawały nam się piękniejsze, zapowiadały swoje przybycie w najczystszej polszczyźnie: Herbata gotowa. Później każdy dzień był jak co dzień, zwłaszcza gdy lalo bez przerwy. Wtedy trzeba było zdejmować wieczorem ciepły mundur i włożyć do zimnego mokrego łóżka po to, by rano opuścić ciepłe łóżko i wcisnąć się w zimne i mokre szmaty munduru. Słowem — monotonia i niemal wyłączanie towarzystwo owiec, które tu w okolicy chowano.

Świat był mały jak Crawford. Tylko jeden z nas zdołał wydebić przepustkę do Londynu, gdzie spotkał się z naszą Polonią w postaci bardzo dystygnowanej pani (jej nazwisko, niestety, pamiętam), która wyciągnęła doń dystygnowaną rączkę do pocałowania i powiedziała: Zawsze mile witam panów ze Szkocji — aczkolwiek tak różnie o was mówią. Przez długi czas nikt z nas do Londynu nie wyjeżdżał.

Kiedyś, a było to w St. Andrews, podczas służby nocnej przy działach, w oczekiwaniu na niedosłownie, próbowałem wgłębić się w tekst Biblii. Ale dopiero niedawno, już w Grenadzie, zapoznałem się uczciwie ze Starym i Nowym Testamentem. Na tyle, że mądrość tych ksiąg służy mi w rozmowach z tułaczami zaryzowanymi katolikami. Jestem pewny, że co najmniej 85 procent spośród nich nie czytało nigdy Biblii, a niewielu więcej Don Kichota, podobnie, jak 70 procent Anglików nigdy nie zaglądało do Szekspira.



ską przestroga: Nie ciskaj się z tym za bardzo, bo ci na d... wybuchnie.

Widowisko musiało być żalosne, bo gdy po tych ćwiczeniach skupiliśmy się wokół generała, aby usłyszeć jego opinie, powiedział dosłownie: O manewrach nie mówmy, bo nie ma o czym mówić. A co do tego rozwiązania waszej dywizji w lasku pod Saint-Nazaire, to dziwię się, że nie znalazł się nikt, kto by temu panu w łeb strzelił.

Po chwili ciszy słyszałem łoskot kamieni spadających nam z serc i staczających się po szkockich pagórkach. Pomyśleliśmy, że wreszcie można będzie pogadać z prawdziwym żołnierzem w jego własnym języku. Obok mnie stał kapitan Adam Rosiek z Krakowa. Generał podszedł do nas i zaczął rozmawiać z kapitanem, jak ze starym, dobrym znajomym. Mnie podał rękę, i gdyby nie to, pomyślałbym, że w ogóle mnie nie zauważył.

Od tego czasu wiele się zmieniło wokół nas i w nas. Ale we mnie, gdzieś na dnie artyleryjskiego serca, wciąż jeszcze leżał jakiś kamień. Pozbyłem się go w dwa lata później. W Palestynie.

Było Boże Narodzenie. Opróżnialiśmy właśnie w niewielkiej bojowej kompanii którąś z rzędu butelkę, gdy do namiotu wszedł nasz stary. Miał opinię znakomitego bajczarza, a że świąteczny nastrój sprzyjał wspomnieniom, z zaciekawieniem słuchaliśmy go, zwłaszcza gdy opowiadał, jak to któregoś dnia w kraju zasadzał się na cietrzwia, i jak zdarzyło się, że stłukł sobie kolano. Tak nieszczerliwie, że kuleje jeszcze niekiedy i dzisiaj.

Coś mnie nagle olśniło i usłyszałem łoskot kamienia spadającego mi z serca.

— Panie pułkowniku — zawałalem. — Panie pułkowniku, pamiętam jak pan kulał pod Saint-Nazaire.

Byłem w tym czcigodnym gronie najmłodszy. Zrozumiałem, że moja zbyt czytelna odzywka musiała zrobić na obecnych, a zwłaszcza na pułkowniku, duże wrażenie.

W jakiś czas potem zostałem przedstawiony do raportu. Stałem przed generałem Karoszewiczem Tokarzewskim. Nigdy nie powiedział mi, o co chodzi. Nie pamiętam też, o czym generał ze mną rozmawiał. Tylko na moment zamajaczyła mi ta skrzynka drewniana w lasku pod Saint-Nazaire, na którą ktoś wyskoczył, zsalutował i powiedział: W imieniu Rzeczypospolitej...

Jedna Lidka

W uroczym domku koło Zaradna
Mieszkała sobie jedna Lidka.
Gdy była dobra, to była ładna,
A zła gdy była, to była brzydka.
Na swe nieszczęście Lidka ta
Raz była dobra,
Raz była zła.

Królową mogła być piękności,
Cudem Zaradna i w ogóle,
Gdyby nie te jej ciągle złości,
Które zmieniały ją w brzydulę.
Inaczej mówiąc własna złość
Urodziła jej
Dawała w kość.

Kiedy zrobiła dobry uczynek,
Pomogła babci, czy też mamie,
To najcudniejszą była z dziewczynek,
Tak, że ją wieszać na ścianie w ramie.
Ale za moment, albo dwa
Brzydła okropnie,
Bo była zła.

Wszyscy myśleli, co to się dzieje,
Wszyscy okropnie się dziwili,
Że panna nagle tak brzydniej
Na oczach wszystkich, w jednej chwili?
Nie przypuszczali, no bo skąd,
Że to w niej samej
Tkwi ten błąd.

Aż dnia pewnego popatrzyła
W lustro, dostownie w tym momencie,
Gdy złość jej właśnie przechodziła
I wtedy to właśnie stwierdziła,
Że pięknym robi się dziewczęciem.
I zrozumiała, późno dość,
Że jeśli brzydnie,
To przez złość.

Dziś w małym domku koło Zaradna
Mieszka, jak dawniej, jedna Lidka.
Ta Lidka jest nadzwyczaj ładna,
Choć dawniej czasem bywała brzydka.
Jest zawsze dobra,
A nigdy zła,
I na tym kończy się bajka ta.

NIESTETY

Gdy księżyc na niebie zaświeci beztroski,
Ja zaraz rozmyślam o Panu Twardowskim.

I oczy po prostu wypatrzyć chcę sobie,
Czy gdzieś go nie ujrzę na srebrnym tym globie

Lecz mimo że patrzę i w nowie i w pełnie,
To jakoś go dojrzeć nie mogę zupełnie.

Więc myślę, jak głupi, codziennie od nowa,
Czy on się przede mną przypadkiem nie chowa?

Czy nie są to chwytły starego szlachcica,
Co hyc! i się kryje za tarczę księżycą?

Ja sobie bym chętnie tam zajrzał od tyłu,
Jeżeli to tylko możliwe by było.

Niestety,
Niestety,
Niestety,
Niestety,
Mój tato nie kupił mi jeszcze rakiety.



Świąteczny BUKIE T



Spotkanie z panem

dzięciołem

Panie Dzięciole,
Czego pan szuka,
Że tak pan ciągle po lesie stuka?

Jodła czy sosna,
Czy świerk zielony,
Pan stuka w drzewo, jak szalony.

Czy pan wizyte
Chce złożyć komu?
Puka się wszak przed wejściem do domu.

A może, mając
Ptasią postać,
Telegrafistą chce pan zostać?

Panie Dzięciole,
Panie Dzięciole,
Czy pana tego uczono w szkole?

Bo pierwsze widzę
Taką osobę,
Która nie ręką stuka lecz dziobem.

Pragnę więc spytać,
Gdy pan pozwoli,
Czy pana czasem dziób nie boli?

Ja tam prywatnie
Myślę sobie,
Że musi boleć, jak się tak dziobie.

A to dziobanie
Z tego wynika,
Że pan ma ciągle smak na kornika.

Choć, czy nie lepsza
Kura w rosole,
Panie Dzięciole?



PSIA KARUZELA

Koło Kielc,
W miejscowości Białogon,
Pewien pies
Chciał się złapać za ogon.

Gonił go godzinę blisko.
Zrobiło się widowisko.

Ludziom potrzeba niewiele,
Ot, mieli psią karuzelę.

Zaraz zebrali się gapie:
— No jak, złapie się?
Czy się nie złapie?

— Ciekawe, kto szybszy jest,
Czy ogon psi?
Czy pies?

Pewien pan, co bardzo sapał,
Powiedział:
— Gdyby przyspieszył, panie,
To by się złapał.

Szkopuł był jednak cały w tym,
Że pies przyspieszał,
A ogon z nim.

Pies w końcu stanął,
Bo się zniechęcił
Lecz w głowie do dzisiaj
Psu się kręci.

Głupi pomysł

Od psa każdego,
Nawet od doga,
O wiele więcej nóg ma stonoga.
Warto więc może by, swoją drogą,
Skrzyżować doga
Ze stonogą?
Bo, gdyby on miał
Tyle nóg,
To jeszcze szybciej biegać by mógł.
Ach, jakby wtedy stoma nogami
Gonił polami
Za zającami!
Tylko czy czasem,
W tym pędzie całym,
Nogi by mu się nie poplątały?
Straszna rzecz jak się noga popląta
Z trzydziestą czwartą
Siedemdziesiątą.
Albo dziesiątą
Z czterdziestą drugą —
Trzeba by rozplątywać długo.
A wtedy zając,
Przez ten czas,
Śmiejąc się głośno,
Wpadłby w las.



PODRÓŻ

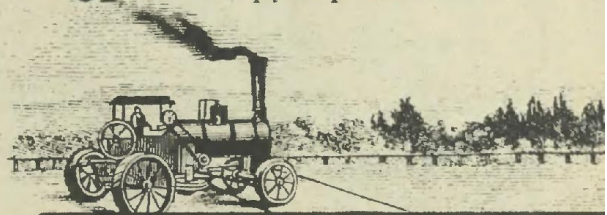
SŁUŻBOWA

Jedzie pociąg po torze,
Jedzie z bardzo daleka.
Z jednej strony jest zboże,
Z drugiej strony jest rzeka.

Z bardzo, bardzo daleka
Pociąg ciągnie wagony,
Jest już śpiący troszeczkę
I troszeczkę zmęczony.

Bardzo dobrze by było
Po tej drodze dalekiej,
Albo w zbożu się zdrzemnąć,
Albo wskoczyć do rzeki.

Ale pociąg, broń Boże,
Tego zrobić nie może,
Jest w służbowej podróży,
Musi pędzić po torze.



MISTRZ

Jeśli chodzi o gumę do żucia
Nie ma mistrza większego od Gucia.
Gucio gumy z ust nie wyjmuję,
Tylko żuje
I żuje
I żuje.

Chociaż dwójce wciąż wiszą nad Guciem,
Gucio strach uspokaja tym żuciem.
I dwójkami się nie przejmuje,
Tylko żuje,
I żuje
I żuje.

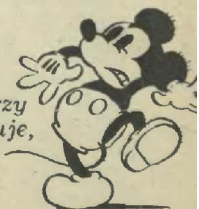
Nawet obiad potrafi czasami
Zjeść z tą gumą pomiędzy zębami.
W jego mamie aż coś się gotuje,
A on żuje,
I żuje
I żuje.

Cała bliższa i dalsza rodzina
Z żucia Gucia już śmiać się zaczyna.
I dziadkowie i ciotce, i wuję,
A on żuje
I żuje
I żuje.

Jakieś takie są smaki w tej gumie,
Że porzucić jej Gucio nie umie.
I w dodatku śmieszności nie czuje,
Tylko żuje,
I żuje
I żuje.

Co najgorsze, to gumie tej dzięki
Rozkładały Guciovi się szczęki.
Tego nikt mu już nie zreperuje,
A on żuje,
I żuje
I żuje.

Nawet, gdy się do łóżka położy
I sny różne nadleca z przestworzy
I on w którymś z nich wystartuje,
To też żuje,
I żuje
I żuje.



WYLICZANKA

Jeś-li masz tro-chę
Si-ty i krze-py
Chodź do nas,
Chodź do nas,
Do sia-nia
Rze-py.
A jeś-li rze-py
Nie u-miesz siać,
To do o-gon-ka
Pój-dziesz
Śtać.



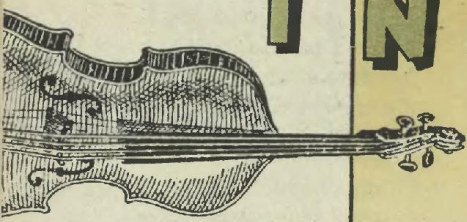
W CIEMNYM POKOJU

W ciemnym pokoju
Dzieci się boją,
Bo różne strachy po kątach stoją.

Groźnie się wtedy robi szalenie,
Po ścianach chodzą okropne cienie,
Zegar w ciemności tyka złowieszczo,
Meble stękają,
Podłogi trzeszczą,
Szafa wygląda całkiem jak zwierzę,
Coś groźnie warczy w kaloryferze
I gdyby dłużej potrwał ten mrok,
To wszedłby pewnie smok.

By nie dopuścić do tego faktu,
Trzeba podskoczyć
Do kontaktu,
Zrobić malutkie,
Cichutkie
Pstryk!
I cała ciemność znika w mig.

INSTRUMENTÓW KOŁĘDOWYCH



Przybieżeli do Betlejem pasterze, grając skocznie Dzieciątka na lirze... — niesie się przy niej jednym świątecznym stole. Nie o stole wszakże, nie o tradycji koledowania chcemy: interesuje nas owa „lira”, o której śpiewamy, a na której skocznie pieśni wygrywano.

Oto krótka encyklopedia instrumentów, jakie pojawiają się w tekstach kołęd polskich.

BANDURA: na bandurze, ba, i na skrzypczkach, graj dudka... — ukraiński instrument ludowy, należący do grupy instrumentów strunowych (chordofonów) z chwytakiem, pochodzący od starogreckiej kitary, zachowujący pewne cechy średniowiecznej cyтары (a więc nie w pełni rozwiniętej gitary).

BAS: ryczcie, beczcie, bas grajcie, weselu pomagacie... — nieprecyzyjne określenie, które oznaczać może tubę basową lub kontrabasową, najniższy głos męski — lecz w tym przypadku najprawdopodobniej znaczy mały kontrabas, stosowany w kapelach ludowych (np. góralskiej — obok dwójga skrzypiec, czyli prymu i sekundu).

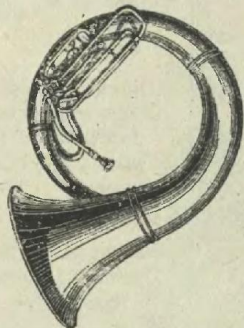
CYTRA: na puzonie, cytrze i wioli, niech się Panię nacieszy do woli... — najmłodszy strunowy instrument szarpany, który pojawił się w XVIII wieku w krajach alpejskich, jako swoiste połączenie gitary z małą harfą. Na płaskim pudle naciągnięte jest 5 strun melodyjnych (skręcanych palcami dla wydobycia dźwięku o określonej wysokości) oraz 13 strun akordowych, 12 basowych i kilka kontrabasowych. Dźwięk wydobywany przez szarpnięcie metalowym pierścieniem, osadzonym na kciuku prawej ręki.

DUDKI: aniołowie Mu śpiewali, my na dudkach przygrywali... — lub DUDY: (Przybiegnęć ja do Walkowej budy, a przyniesę tamte większe dudy...) — średniowieczny instrument dęty (aerofon), znany w Polsce już w późnym średniowieczu. W okresie renesansu dudy, instrument o 1-3 piszczałkach melodyjnych i 1-2 piszczałkach burdonowych, określano też mianem KOZŁA lub czasem KOZY. W tekstach kołęd także jako KOZŁOWE DUDECKI lub KOZŁOWY RÓG. W Polsce dudy rozwinęły się jako instrument ludowy, choć w Europie zachodniej istniały też dudy profesjonalne. Dudy charakteryzują się sposobem wydobywania dźwięku przy pomocy skórzanego młota z powietrzem. Dopływ tego powietrza do piszczałek jest „napędem” dźwięków (tu pokrewieństwo — z całym zachowaniem proporcji — do organów).

FAGOT: przy takiej o chacie Wach na oboi, Grześ skrzypce stroi a Stach na fagocie... — instrument dęty podwójno-stroikowy, należący do rodziny obojowo-fagotowych, pochodzący od greckiego aulos, obok kitary najpopularniejszego instrumentu antycznego. Budowany w różnych wielkościach od XVI wieku, dawniej składał się z dwóch równoległych rur połączonych kolanikiem (skąd nazwa włoska „fagotto” — czyli „wiązka drzewa”).

FUJARKI: pastuszka niebożęta, z fujarkami, z piszczałkami — prymitywny ludowy instrument dęty. Nazwa pochodzi najprawdopodobniej od spolszczonego słowa „fujare” (macedońskie) „fujera” (albańskie) bądź „fioira” (rumuńskie).

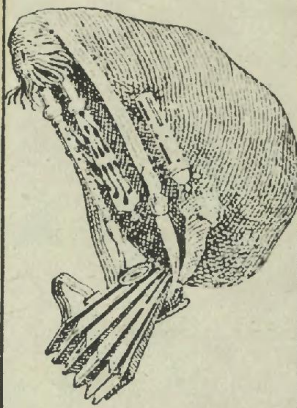
KLAWICYMBAŁ: w szalamaję i w klawicymbały, aż Panięciu będą nóżki grały... — mało używana nazwa dawnego chordofonu klawiszowego, swoistej odmiany klawesynu. W inwentarzu kapeli Batorego z roku 1586 znajdujemy „klawicymbał, al-



bo unison”. W XVII wieku znany również „klawicymbał z fletem”, czyli specyficzna kombinacja chordofonu z aerofonem.

KOTLY: bijcie w kotły, w trąby grajcie, a Jezusa przywitajcie — instrumenty membranowe, uderzane; jedynie w swej grupie instrumenty o określonej wysokości dźwięku. Strojenie przez naciąganie membrany rozpiętej na obręczy. Dźwięk wydobywany przy pomocy pałeczek zakończonych główkami różnej wielkości. Zwykle używane w zestawie przynajmniej dwóch (stąd nazwa w liczbie mnogiej). Przypadek „kottów” kołędowych — to jednak raczej ogólne określenie instrumentów perkusyjnych...

LIRA: oto lirnik stary, śpiewną lirę stroi, niechże zagra na niej, pastuszkowie moi... — stary instrument strunowy. W VII w. n.e. grecki historyk Theophilactos Simokaites wymieniał lirę jako ulubiony instrument Słowian. Przede wszystkim jednakże był to instrument popularny w Grecji (jako chordofon szarpany). W IX w. upowszechniła się w Europie lira o innej



konstrukcji, z jedną tylko struną, do której używano smyczka. Ona to rozwinęła się później w odmiany: lirę korbową, lirę ramieniową, kolanową — aż po wiolę.

MULTANKI: pasterze się uwrzają i na multanekkach grają... — jeden z najstarszych dętych instrumentów muzycznych. W Przemyślu koło Zawiercia znaleziono kiedyś dziewięć kościanych rurek o długości 3-9 cm, pochodzących z przełomu epok brązu i żelaza. Kurki te, razem związane, tworzyły rodzaj dawnej „fletni Pana”. Instrument ten nosi jednak nazwę „multanek z Przemyśla”. W Polsce multanki były instrumentem ludowym, pasterskim, bliższym funkcji sygnałowym niż muzycznym. Nie osiągnęły tak dużej rangi, jak na Bałkanach ich odpowiedniki — właśnie „fletnie Pana”. Popularność multanek w repertuarze kołędowym świadczy o plebejskiej genezie wielu pieśni bożonarodzeniowych.

OBOJ (por. cytaty przy FAGOCIE): — instrument dęty podwójnostroikowy, ukształtowany w XVII wieku we Francji, w okresie baroku czołowy instrument orkiestralny. Ma kształt drewnianej stożkowej piszczałki (ok. 65 cm), wyposażonej w ustnik ze stroikiem (dwie dopasowane płytki trzcinowe, między którymi tłoczono się powietrze). Stosowany ciągle w orkiestrach, pełni funkcję ich kamertonu (oboista podaje ton, do którego dostrajają się inne instrumenty).

PISZCZALKI (por. cytaty przy FUJARCE): — ogólne określenie prymitywnego instrumentu dętego, od gwizdka poczynając. Rozwój piszczałki doprowadził do powstania całej grupy instrumentów dętych czyli aerofonów.

REGAŁ: na organkach, na starym regale, graj dudka graj... — instrument dęty z rodziny miechowych, jedna z pierwotnych form organów. Niewielki, wyposażony w piszczałki językowe, klawiaturę i dwa miechy w kształcie ksiąg (stąd nazwa „regal ksiązkowy”).

RÓG: jam dobył fujary a Kuba rogu, grałszy co żywo na chwałę Bogu.

— Odlamany róg zwierzęcy pozwala na wydobycie dźwięków, stąd róg stał się jednym z najstarszych instrumentów muzycznych. Na wzór prymitywnego, naturalnego rogu zaczęto potem wprowadzać podobne urządzenia z kości, drewna i wreszcie metalu. Metalowe imitacje rogu rozwinęły się w instrumenty dęte blaszane. W Europie używane były rogi sygnałowe (pasterze, wojskowi), a później rogi myśliwskie, od nazwiska ich konstruktora zwane Dampierowskimi. Z rogów Dampierowskich wykształcił się róg leśny, czyli waltornia.

SKRZYPCE (por. cytaty przy BANDURZE): — czyli po prostu skrzypce. Bodaj najpopularniejszy instrument muzyczny, zarówno w praktyce artystycznej, jak i muzyce ludowej. Wywodzące się z wioli ramiennych należą do grupy strunowych, podgrupy smyczkowych — rodziny skrzypcowych. Mają pudło rezonansowe wzmacniające drgania strun na nim rozpiętych. Dźwięk wydobywa się przez prowadzenie włosianego smyczka po strunie. Poza tym jakie są skrzypce — każdy wie.

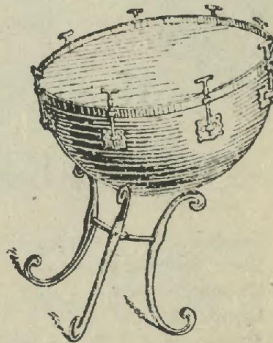
SZALAMAJE (por. cytaty przy KŁAWICYMBALE): — instrument dęty drewniany o podwójnym stroiku, który rozwinął się w Europie w późnym średniowieczu pod wpływem arabskiego zamru. W owym czasie była szalamają rodzajem dyskantowego pomortu. Z szalamaj rozwinął się obój.

TRĄBY (por. cytaty przy KOTŁACH): — ogólne określenie instrumentów dętych blaszanych. W Europie trąby wykonywano (od chwili ich pojawienia się) z metalu. Składały się z prostej rury, lejkowatej czary i metalowego ustnika, przez który wdmuchiwano powietrze. Z czasem z formy prostej wykształciła się praktyczniejsza forma zygzakowatej, bądź płasko zwiniętej, rury — dobrze znanej ze współczesnych trąbek.

TUBA MARINA: i do tuby-maryny zamierze, w trąby, w kotły na ułwat uderzę... — prawdziwa ciekawostka występująca w tekście jednej z pastorałek ludowych.

Właściwie „tubmaryna” (od „tuba marina” — „tuba marmarska”), instrument pokrewny lirze, potomek celtyckiej chrotty. Miał spore rozmiary, wielokształtny wydłużony korpus i jedną strunę, przy pomocy której przy użyciu smyczka wydobywano głośne buczenie. Była raczej instrumentem sygnałowym niż muzycznym, stosowanym w klasztorach żeńskich.

WIOŁA (por. cytaty przy CYTRZE): — „z syntezą wszystkich znanych w Europie pierwotnych instrumentów smyczkowych zaczął się u schyłku średniowiecza wytwarzać coraz bardziej ujednolicony typ artystycznego instrumentu smyczkowego, dla którego

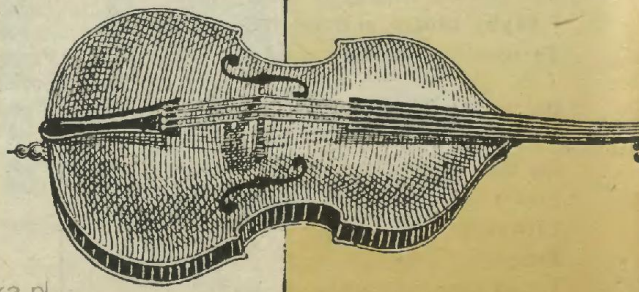


używano nazwy wiola” — głosi podręcznik instrumentoznawstwa. „Był to instrument posiadający ścianki boczne, łączące obie płyty, wcięty korpus, otwory rezonansowe oraz 4 lub 5 strun, strojonych w kwartach, kwintach i oktawach. Z czasem z wioli rozwinęły się inne instrumenty smyczkowe, na przykład skrzypce, o których jakie są — każdy wie.

Najładniejsze wszakże instrumenty wymienia ta znana kołoda:

Słowik zaczyna
dyskantem
szczygiel mu dobiera
altom
szpak tenorem krzyknie
czasem
a gołąbek gruchnie
basem,
gruchnie basem...
Instrumenty się zmieniają,
a ptaszkiwie śpiewają,
jak kiedyś śpiewali...

JAN POPRAWA



Nie jestem przeciw szpinakowi

Z MARIANEM EILE ROZMAWIA *)
LUDWIK JERZY KERN

KERN: — Co ci zostało z tych lat? —
Chodzi mi o pierwsze lata redagowania
„Przekroju”?

EILE: — Prawie nic. Pamięć mam —
trzeci gatunek. Nie potrafię ani dokła-
dnie, ani z datami.

— Wystarczy, że odpowiesz jak ty dziś
to i owo pamiętasz.

— A może damy zastrzeżenie, jak
w kryminałach, że „wszystkie postacie,
nazwiska i wydarzenia są całkowicie fik-
cyjne i nie mają nic wspólnego z rzeczy-
wistością”?

— Nie przesadzaj. Mnie nie chodzi tyle
o anegdoty, że Mrozek miał rogi i jedno ko-
pyto, lecz o „sprawy zasadnicze”. Co według
ciebie było dla redagowania „Przekroju” w
tamtych czasach charakterystyczne?

— Awantury.

— Z zespołem? Z Czytelnikami?
Z drukarnią?

— Nie, skądże, ze zleceniodaw-
cami. Znoszenie awantur było in-
tegralną częścią pracy zespołu. Te
większe, z pogrozkami wyrzuce-
nia redaktora, a nawet w ogóle zam-
knięcia tygodnika, miały miejsce
dwa, trzy razy do roku. Mniejse-
niemal co miesiąc. Pierwszy nu-
mer „Przekroju” ukazał się 15
kwietnia 1945, a pierwsza poważ-
na awantura była już w począt-
kach maja tegoż roku.

— To trzeba opowiedzieć.

— Do Krakowa specjalnie przy-
jechał sam prezes „Czytelnika”. Ta
spółdzielnia wydawała wówczas
nie tylko książki, jak obecnie, ale
i czasopisma w całym kraju, zwane
„Czytelnikowskimi”, w przeci-
wieństwie do prasy czysto partyj-
nej. A więc także krakowski
„Dziennik Polski” oraz „Przekrój”.
Gdy tam-tam doniósł mi, że rano
przyjechał prezes Jerzy Borejsza
z awanturą, uciekłem z redakcji.
Skrzyłem się w Teatrze Słowackie-
go. Jeśli mają mnie zdejmować,
to mówi się: trudno, ale lepiej bez
mojego udziału. Po co w dodatku
jeszcze wysłuchiwać? Szukano
mnie przez parę godzin po całym
mieście, bezskutecznie. Borejsza
musiał wracać do Łodzi, czy do
Warszawy, więc ustalili, że na ra-
zie konsekwencji nie będzie, tylko
niech mi Putrament, mój przelo-
żony, da naukę i weirc. O co
wtedy chodziło, oczywiście, już nie
pamiętam, tyle potem było na-
stępnych awantur, znacznie groź-
niejszych. Podobno prezes wykrzy-
kiwał wielokrotnie, a głos miał po-

tężny, a propos przewin „Przekro-
ju” — my nie prowadzimy wojny
z Japonią!

— Poszedłeś do teatru przed połu-
dnem? W powszedni dzień?

— W Teatrze Słowackiego odbywały
się próby nowej (wtedy) komedii Mor-
stina „Penelopa”. Grali: Zofia Jaro-
szewska i Jerzy Leszczyński (Odysa).
Reżyserował oraz kostiumy rysował
osobiście dyrektor Karol Frycz, znako-
mity scenograf. Ja projektowałem de-
koracje, zaszczyt duży, w takim to-
warzystwie. Do gabinetu dyrektorskie-
go, w którym Frycz omawiał ze mną
jakis szczegół inscenizacji, nie tyle
wszedł, co z rozmachem wtargnął bez
pukania, Ludwik Solski. Był tego tea-
tru dyrektorem w latach 1905–1913, a
także już wówczas legendarnym mi-
lącym Starym Wiarusem na prapre-
mierze „Warszawianki”, debiucie tea-
tralnym Wyspiańskiego, 28 listopada
1898.

Frycz (lat 70) wstał i w czasie całej
rozmowy mówił do Solskiego per panie
dyrektorze, zaś Solski (lat 91), w fo-
telu pod ścianą, do Frycza: Karolku.
Solski proponował, że wyreżyseruje
„Śluby pańskie”. „Niestety, panie
dyrektorze, nie mamy dość dobrego
młodego aktora na Gucia” — nieśmiało
protestował Frycz. Solski zdziwił się:
„A Jurek? (Jerzy Leszczyński, miał
wtedy lat 62).

— Borejsza rzeczywiście bywał
taki strasznie groźny?

— Raczej udawał. Wiedział ja-
sno czego chce i jak to osiągnąć.
Równocześnie był przyjazny i bro-
nił ludzi. Sekretarki i stażystki się
w nim podkochiwały. Miał duży
urok osobisty. Przemawiał pory-
wająco. W ferworze czasem mu
się zdarzały gafy. Kiedyś na od-
prawie „Czytelnikowskich” redak-
torów oznajmił, że naczelnym no-
wego terenowego miesięcznika spo-
łeczno-kulturalnego mianuje kole-
gę Iksa. Kolega Iks bronił się, że
jest tylko poeta, że to nie jego
fach, że nie potrafi. Borejsza kle-



Fot. Wojciech Plewiński

pnął go porządnie po plecach i za-
wołał: „Nic się pan nie bój, nie
z takiego gówna ja redaktorów
robiłem!”

Ogromny talent organizacyjny,
jego dziełem był „Czytelnik”, z
rozmachem rozbudował go, szalał
na jego punkcie. Gdy popadł w
polityczną nielaskę, zdjęto go z je-
go ukochanego „Czytelnika”. Iro-
nia losu — zasłużony, oddany dzia-
łacz, współtwórca i sekretarz ge-
neralny sławnego międzynarodowe-
go Kongresu Intelktualistów w
Obronie Pokoju we Wrocławiu,
wyleciał, a ja zostałem. Odwieczny
mechanizm: ministrowie odcho-
dzą, woźni i referenci pozostają.
Ci, którzy z nim pracowali byli
wstrząśnięci niesprawiedliwością.
On mówił, że to nic, ale załamał
się. W 1952 roku Borejsza umarł.

— Te dekoracje w Teatrze Słowackie-
go to było dorabianie sobie, co? Swego
rodzaju fucha?

— Krążył dowcip o tych kilku re-
daktorach, za którymi nie stał nikt,
żadna organizacja, ani partia, ani ku-
ria biskupia, że oni tańczą na linie,
a ta linia rozpięta jest nad kryminałem.
Aż tak źle nie było. Jednak na wszelki
wypadek ewentualnego wylecenia z re-
dakcji, bezpiecznie było być wprowa-
dzonym w swój drugi, podstawowy
fach. Mnie chodziło też o to, żeby nie
prześć malować, a i trochę waluty,
nawet tej niewymienialnej, nikomu je-
szcze nie zaszkożdziło. Ważne też, że
gdy się ma inną możliwość w zanadru,
człowiek nie tak bardzo boi się i dba
o aktualny stólek.

— Nigdy nie siedziałeś?

— Jakoś mnie ominęło. Nie lu-
bię pomieszczeń zbyt ciasnych.
A byłem obywatелеm austriackim,
polskim, radzieckim i generalno-
gubernialnym. Ten miecz Damo-
klesa, wiszący na cieniutkiej nitce
nad głową „Przekroju” i redakto-
ra, miał dziwne uboczne skutki.
Redaktor nie tylko musiał dbać
o to, żeby tygodnik był inteligent-
ny i atrakcyjny, lecz przede wszyst-
kim, żeby w dalszym ciągu
istniał. Żeby wszystko nie poszło
na marne, a zespół się nie rozle-
ciał. Trzeba było tę baręk prze-
prowadzić przez fale błędów, wy-
paczek oraz kultów, i to w stanie
możliwie nienaruszonym. Zabawa
dość nerwocłonna.

Przyznaje, że w tych warunkach nie
miałem już czasu i siły na zajmowanie
się osobistymi i bytowymi kłopotami
koleżanek i kolegów. Panie sekretarki

i niektórzy współmłynarze lawirują-
cej barki mieli mi często za złe, że
nie orientuję się kto w ich rodzinie
przechodził gripę, jak ich dzieci mają
na imię, kiedy przystępuje które do
pierwszej komunii, a która z pań za-
trudnionych lub żona zatrudnionego
jest w trzecim miesiącu. Dziś dyrektor
przedsiębiorstwa jest w znacznie lep-
szym położeniu. Może sprawom socjal-
nym i bytowym załogi poświęcić wię-
cej czasu i pieniędzy.

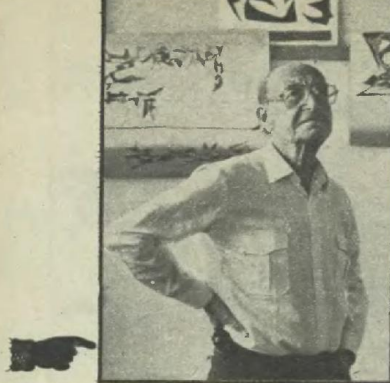
— Mnie interesuje, jak to się
działo, co to był za cud, że nie
mając pieniędzy, zdobywaliście
współpracowników z całej Polski
o najwybitniejszych w Polsce na-
zwiskach w tym czasie. Czym ty
ich namiliłeś, czym żeś ich zdoby-
wał, czym ich nęciłeś, co było tą
marchewką? Pismo było nieznanne,
dopiero raczkowało.

— Pierwsi firmowi autorzy, to
byli znajomi sprzed wojny, jeszcze
z „Wiadomości Literackich”, bądź
autorzy, którzy mnie znali z „Wia-
domości”. Oni przyszli chętnie po-
móc po przyjaźni, a jak się pierw-
sze dobre nazwiska ukazały, to na-
tychmiast inni zaczęli doskakiwać.
Bo tu obowiązuje prawo lokomoty-
wy. Gdy lokomotywa jest dobra,
to za nią wszystkie wagony jadą.
Najtrudniej o dobrą lokomotywę.
Jak masz butik, na przykład, i kupi-
coś u ciebie kilka najbardziej szla-
lowych dziewczyn w mieście, to
za nimi zaraz inne przylecą. Trzeba
zdobyć te kilka egzemplarzy pier-
wszej klasy. Otóż pierwszych au-
torów, jeśli można tak powiedzieć,
ściągnąłem do „Przekroju” sprzed
wojny.

— Jak to było z tymi pieniąd-
mi? Pieniądz nawet w czasach
największego rozkwitu „Przekro-
ju” nigdy nie było za dużo. Inne
pisma miały o wiele więcej, mogły
przeplacać, a jednak ci autorzy
przychodzili do nas.

— No tak, bo gdy w piśmie był
Gałczyński, Tuwim i Iwaszkie-
wicz, to inni też chcieli być. Na-
wet za darmo. Ja to samo potem
spotkałem w moich paryskich cza-
sach. Poszedłem do „France-Soir”.
Powiedziałem, że chciałbym tam
pracować. Co pan potrafi zrobić dla
francuskiej gazety? — zapytał re-

*) Rozmowa odbyła się w początkach listopada,
a redaktor MARIAN EILE zmarł 2 grudnia 1984.



— Tak, jak goniec Gać w „Wiadomościach Literackich”. Ten Holender, już nawet nie pamiętam jak on się nazywał, to był jeden jedyny facet, który wziął od Picassa rysunek, kiedy Picasso był w redakcji „Przekroju”. Popatrz, jaki przytomny. A wiesz, po co Picasso przyszedł? Poznałem go w Paryżu, następnie spotkaliśmy się na Kongresie Intelektualistów we Wrocławiu, a potem on przyjechał specjalnie do Krakowa, bo wtedy miał tę dziewczynę z końskim ogonem i musiał jej i sobie kupić polski góralski kożuszek. Ale nie wiedział gdzie pójść, więc nasza naczelna sekretarka, Merka Ziemińska, z nim pojechała do Zakopanego, czy do Nowego Targu i tam te kożuszki nabyli. On potem przyszedł podziękować mnie i Merce, kożuszki bardzo mu się podobały, ale nikt nie miał odwagi prosić go, żeby coś narysował, no bo nie wypada przecież robić takich rzeczy. Ale ten goniec, ten Holender, on chyba miał na imię Michałek, nie miał takich skrupułów. Śmiało przyniósł blok, kredki i powiedział — niech pan coś mi narysuj. Picasso był na tyle inteligentny, że nawet nie rozumiejąc po holendersku, domyślił się o co chodzi, skoro mu się wypycha do ręki takie rzeczy i zrobił mu śliczny akt. Rysunek, który teraz wart jest pewnie ciężkie pieniądze. Jeśli on nie dał przypadkiem tego dzieciom do zabawy.

— Jeszcze coś o propos Picassa.
— Tylko pośrednio. Cenzor Z. zaprosił mnie kiedyś na kolację do Wierzyńska, mówiąc, że chce ze mną o czymś zupełnie szczerze pomówić. Siedłem z duszą na ramieniu, bo wolałem urzędowe awantury, niż pseudoprywatne wypominki. Wiesz o co mu chodziło? Chciał się ode mnie dowiedzieć całkiem prywatnie, ale szczerze, od serca, czy ten cały Picasso jest naprawdę coś wart. A ja powtórzyłem dowcip starego Franca Flisera, mówiąc: „Daję panu słowo honoru, że tak”. I to go kosztowało luksusową kolację.

— Antoni Uniechowski? Jaki ci pozostał w pamięci?

— Tonio? Wysoki, chudy, mocno lisyawy, w swoisty sposób bardzo elegancki. Fenomenalna znajomość epok, strojów, mebli, lamp, naczyń, zegarów, całej kultury materialnej. I ta oszałamiająca łatwość i urzekająca lekkość rysowania! A wszystkie te rysunki, setki ich, albo i tysiące, w swoich krakowskich czasach wykonywał w kawiarni Noworolskiego. Tylko raz widziałem go przynębionego. Gdy wrócił od lekarza. „Pan doktor powiedział mi: Panie Uniechowski, od dzisiaj z męskich rozrywek tylko golenie!”

— „Przekrój” miał rękę do rysowników.

— Bo to byli najbliżsi koledzy. Z Paryża przywoziłem pozwolenie na druk bez ograniczeń Topora. Wycyganilem w ambasadzie amerykańskiej zezwolenie na druk za darmo Steinberga i też bez ograniczeń. Ale nigdy nie dostatek pozwolenia i drukowaliśmy na lewo Adamsa. Autora niesamowitych rysunków z pogranicza kosmaru oraz o niesamowitej rodzinie (Synek buduje na dnie wanny z klocków domki, a potem z sadystyczną radością puszcza wodę i topi całe miasteczko. Mama do tego synka: „Ugrzyż tatę w nogę na dobranoc i idź już spać”).

Z polskich rysowników tylko na literę „M” rysowali: Macedoński, Miklaszewski, Mroček, Marczyński, Mikulski, Mróz, Kamyczek...

— Kamyczek nie jest na „M”.

— Nie szkodzi, ale świetnie tyśowała.

— A ty teraz rysujesz?

— Brigitte Bardot mawiała: „Nikt z nas nie jest bez wad — mój przyjaciel potrafi uścisnąć w fotelu i przez godzinę czytać książkę”. Ja maluję obrazy. I to na domiar liryczno-abstrakcyjne.

— Wiele w „Przekroju” okazali autorów przegapić?

— Wszyscy byliśmy dumni z tego, że mieliśmy redakcyjnego nosa. Żaden autor, który do nas przyszedł i któregośmy odrzucili, nie zrobił potem nigdy wielkiej kariery. Gdy ktoś przyniósł coś dobrego, to myśmy to zawsze z miejsca brali z pełnym entuzjazmem.

— Ale miałeś słabość do dziwactw i dziwaków.

— Miałem słabość do dziwaków, ale redakcja nie popełniła nigdy błędów, jakie popełnia wiele wydawnictw. Adam Macedoński! To nie to, że on pierwszy rysował kwadratowych ludzi, ale nikt nie docenił, że Macedoński — to pierwszy batalista w dziejach rysunku humorystycznego. Cała jego twórczość nie dotyczy prawie nigdy poszczególnych jednostek, tylko grup ludzkich. Powiedziałbym, że jest to rysownik socjolog. On się wyłącznie zajmuje grupą. Czy to będą żołnierze, czy zakonnice prowadzące dzieci parami, ogonek, dziś zwany kolejką, czy szara ulicowa, czy pochod — u niego bohaterem jest grupa ludzka, a nie człowiek pojedynczy. To było wielkie novum. I dla swoich tłumów wynalazł bardzo specyficzną formę tych kwadratowych ludzi.

— Przekoczmy na zupełnie innego autora. Zofia Nałkowska. Jak ona została zwerbowana?

— Nałkowska to gdzieś napisała w swoich „Dziennikach” dokładnie.

— Ale mnie interesuje to od twojej strony, a nie od jej.

— To było w Krynicy. Spotkał się się i posłaliśmy na kawę. Pytałem przedtem, jak zdobywałem autorów. Właśnie tak. Zaczęłam ją namawiać, żeby napisała coś do „Przekroju”. Ona była jakas jakby zalamana wtedy, takie odniosłem wrażenie. Jej się wydawało chyba, że w tej nowej rzeczywistości jej wytworny styl, jej sposób bycia, no, bo ona była ta grande dame, wielka pani, wielka dama i w sposobie ubierania się, zachowania, mówienia w towarzystwie, że ta jej proza nie będzie już nikomu potrzebna. Przekonywałem ją, więc wreszcie się zgodziła, że napisze artykuł do „Przekroju” raczej tak po przyjacielsku. Na to ja, jak zwykle, powiedziałam: nie, nie zgadzam się. Wtedy ją zatkalo. Bo powiedziała Nałkowskiej, że się nie chce, że ja tego nie będę drukował! Dosłownie ją zatkalo! Coś takiego! Przecież była wtedy już sławna! Stanowczym głosem oświadczyłem, że nie chcę jednego felietonu, lecz cały cykl. Nie po to kawę funduję, żeby mieć jeden artykuł. No i tak powstały „Charaktery”.

— Był autor, dziś trochę już zapomniany, a doskonały i chętnie czytany, Janusz Makarczyk. Z nim chyba nie miałeś żadnych trudności, żeby mieć go w „Przekroju”?

— Gdy się zgłosiłem w ostatnich dniach sierpnia 1939 na Rakowiecką, tam był I pułk artylerii przeciwlotniczej, o ile się nie mylę... Ale od początku to było tak: pod koniec sierpnia jechałem z Hemiarem jego samochodem na Kalatówki. On jechał z wizytą do Tuwima. Tuwim mu powiedział, że może i mnie zabrać, a on, Tuwim, funduje mi trzy czy cztery dni na Kalatówkach. Z żarciem.

Gdy nadjeżdżaliśmy, to na schodach prowadzących do schroniska stał już Tuwim i machał ręką, w której trzymał jakiś papier. Okazało się, że to jest telegram, że w Warszawie czeka już karta mobilizacyjna dla mnie. Zrobiłem niezwłocznie, już jako żołnierz, w tył zwrot i pojechałem najbliższym autobusem z powrotem do Warszawy. Tyle miałem z tego zaproszenia.

Zgłosiłem się w Warszawie do macierzystej jednostki i okazało się, że moim dowódcą jest Janusz Makarczyk, znany literat, wówczas kapitan, gdy ja byłem zaledwie podporucznikiem. On był dowódcą baterii, ja dowódcą plutonu działek Boforsa 40 mm. Najbardziej mnie wtedy zaszokowało, że kiedy ruszaliśmy z Warszawy pod Sandomierz, bo nasz I pułk miał za zadanie obronę przeciwlotniczą Sandomierza, to Makarczyk na cięzarówkę, pełną amunicji do działek, załadował gigantycznej wiel-

kości, chyba na cztery osoby, żółtą, jedwabną, mieniącą się w słońcu koldrę. W wojsku takie coś robi duże wrażenie, zwłaszcza że każdy z nas miał jeden kokcyk. Ale on spokojnie baterii wyjaśnił, że był już w artylerii podczas I wojny światowej i że ta wojna też potrwala cztery lata.

Tylko dwa razy tak się zdarzyło, że nie powstałem normalnie na widok ważnej osoby wchodzącej do mego gabinetu. Raz nie wstałem, a podskoczyłem pod sufit, bo Picasso wszedł bez zapowiedzenia. Drugi raz poderwałem się na baczność, gdy wszedł Makarczyk.

— Kariere dyplomatyczną Makarczyk zaczął robić dopiero po wojnie?

— Chyba nie, już był dyplomatą przed wojną. W wojsku był kapitanem, ale rezerwy.

— Czasami, rzeczywicie, wejście do twojego pokoju było trudne. Przeważnie czekało pod drzwiami sporo ludzi. Pamiętam nawet taki okres, kiedy kazali zainstalować czerwony żarówkę nad drzwiami. Żeby nie wchodzić, jak się świeci.

— Tylko że ta żarówka świeciła się stale, a nikt się z tym nie liczył.

— Mogła się palić czerwona żarówka, mogło w przedpokoju czekać paru prezydentów, a jako pierwszy zawsze i tak wchodził pan Piotruś. Pan Piotruś, to był mechanik rowerowy. Mówiliśmy o tym, że wszyscy mieliśmy w tych czasach rowery. Ty zdejście się miałeś jakiś zagraniczny, z przrzutkami i innymi szyskanami?

— Nie, polski, przedwojenny, firmy Redzia. To były najlepsze polskie rowery, już z przrzutką. Z trzema biegami. Rzeczywiście, pan Piotruś mógł do mnie w każdej chwili wejść. No, a potem, jak zaczęły się samochody, to miejsce pana Piotrusia zajął pan mechanik samochodowy.

Pierwsze nasze samochody, to były włoskie Fiaty 600. Napisałem z Janką Iłkowska powieść humorystyczną „Czar czterech kółek” o przygodach i kłopotach posiadaczy samochodów. Z powodu tej powieści miałem poważne przejścia z władzami wyższymi i nawet byłem wyzywany do Warszawy, i zmuszony do wcześniejszego zakończenia drukowanej w odcinkach powieści, ponieważ była to szkodliwa działalność antypaństwowa, polegająca na propagowaniu prywatnej motoryzacji.

Wtedy była taka koncepcja, że państwo będzie miało wszystkie samochody i będzie ludziom wypożyczać na weekendy z tego wielkiego automobilowego parku. Wyobrażasz sobie, jak by wyglądały te wyszabrowane samochody, z podmielionymi częściami, które by w poniedziałek oddawali wypożyczający użytkownicy?

— Po erze pana mechanika samochodowego nastąpiła era pana Sobiesława Zasady. To on mógł teraz wchodzić do ciebie o każdej porze i przed wszystkimi.

— Sobka Zasadę poznałem po linii kumoterstwa samochodowego. Jeszcze znacznie wcześniej, zanim wygrał pierwsze mistrzostwa Europy w 1966 na samochodzie Steyr-Puch 500. Następnie w 1967 powtórzył ten sukces! To jest dzisiaj nie do wiary. Bo to był przecież Fiat maluch. Zasada umiał jechać, ale wygrał trochę także dlatego, że nikt go nie traktował poważnie i żaden zawodnik nie zamierzał się z nim ścigać. Rano, przed startem, miałem małe kłopoty, bo mu koledzy rajdowcy dla śmiechu przenosili malucha w inne miejsce i on nie mógł go znaleźć.

Ktoś ze znajomych przyprowadził Zasadę do redakcji i powiedział: „Panie Marianne, pan Sobek to tak cudownie opowiada o swoich podróżach, że to trzeba wydrukować”. Zasada nagrał na magnetofon kawałek swoich przeżyć, wystuchaliśmy, i z miejsca zamówiliśmy u niego cały cykl reportaży. Do dzisiaj twierdzi, że to są jedne z najlepiej napisanych reportaży przygodowo-podróżniczych. Wysły w książce — 260 stron, rozchwytywane. Tytuł: „Samochód Rajd Przygoda” (nie mylić z podręcznikiem tegoż autora „Szybkość bezpieczna”).

Ukazało się potem drugie wydanie, dlaczego nie ma następnych, nie rozumiem. Jest to przecież idealna lektura dla dorosłych, i dla dorastającej młodzieży. A wiadomo, że dla tej młodzieży mamy w Polsce chroniczny brak lektur.

To był przykład długodystansowej umowy na wariackich papierach. Stawiano na ludzi, którzy dotąd nie pisali, ale u których wyczuwa się, że

maja coś do powiedzenia, że potrafią to powiedzieć. Ponieważ Sobek wszystkim, czego się tknie, robi znakomicie, jasne dla nas było, że potrafi pisać reportaż.

— Skłonność do dawania poważnych zamówień dziennikarskich zupełnym niefachowcom miałeś zawsze?

— Od samego początku. Jest to gra niebezpieczna. Można się uwickłać w straszne nudziarstwo. Ale nam się jakoś udawało. Ukazało się zaledwie kilka pierwszych numerów „Przekroju”, kiedy wiosną 1945 roku przyjechał na kilka dni do Krakowa nieznamy mi osobnik z pozdrowieniami z Łodzi od Jerzego Jurandota. Powiedział, że Jurandot bardzo się cieszy, że przeżyłem wojnę, itd. Przy sposobności wysłannik zaznaczył, że przewoził już ważniejsze wiadomości, bo był emisariuszem z Londynu do okupowanej Warszawy. Tak to opowiadał, że z miejsca zorientowałem się, że mam przed sobą nie tylko harcerza (o czym oczywiście wspominał), ale i urodzonego dziennikarza, publicystę i polemistę. Świetnie i trafnie zorientowanego w tym, co się dzieje nie tylko w Londynie, ale przede wszystkim tu i teraz. „Przekrój” zamówił u niego zbeletryzowany reportaż o jego przygodach i perypetiach. Tak powstała „Szczotka do butów” Koźniewskiego, 20 odcinków, jego pierwszy wielki wyczyn dziennikarski.

Tak samo na ślepo długofalową umowę zawarłem z Mrożkiem.

Mira Michałowska (Maria Zien-tarowa), autorka mnóstwa felietonów, przekładów i słynnej stelowizowanej „Wojny domowej”, była dziennikarką profesjonalną wysokiej próby — więc nie było sprawy. Natomiast jej mąż, Jerzy Michałowski, był dyplomatą; ambasadorem w Londynie, potem naszym przedstawicielem w ONZ. A i jego namówiliśmy do pisania rozmaitych sensacyjnych pod pseudonimem Stefan Wilkosz, a nawet powieści, którą „Przekrój” drukował. I to mu zostało. Potem wiele pisywał, a także tłumaczył takie szlagiery, jak „Dzień szukała”. „Czy powiemy prezydentowi?” i sporo innych.

— Może trzeba postać specjalnego redaktorskiego rentgena w sobie?

— Na tym to chyba polega. Powołanie redaktorskie? Przede wszystkim przemożna potrzeba przekonania innych, że się ma rację i potrzeba narzucenia im swego poglądu. Nawet ludzie na imieninach rozmawiają nie zeby słuchać co inni mówią, i szukać wspólnie obiektywnej prawdy, lecz przede wszystkim po to, żeby drugiego przekonać do swojego widzenia rzeczywistości. Otóż dobry redaktor musi te cechy mieć jeszcze zwielokrotnione. Właściwie do tygodnika „Przekrój” nie ma ludzi do pisania. W pismach literackich piszą literaci, krytycy literaccy i eseisci. W gazetach piszą dziennikarze. A kto ma pisać w „Przekroju”?

— To się nie bardzo zgadza z tą całą listą tych znakomitych nazwisk, jakie się przez łamy „Przekroju” przewinęły.

— Zgadza się. Te nazwiska nie tylko miały nazwiska, ale też akurat umiały pisać dla „Przekroju”. Nie wiem, czy powinienem o tym mówić, bo to jest może zbyt wielka pochwała dla pisma, ale kilkakrotnie mówił Iwaszkiewicz, którego przecież wszędzie drukowali i miał swoje „Nowiny Literackie”, a potem własną „Twórczość”, że najwięcej ma satysfakcji, gdy wydrukuje wiersz w „Przekroju”. Bo od sprzątaczkii w redakcji „Twórczości” do konduktora kolejki EKD mu mówią: „O, pan wiersze pisuje!”. W „Przekroju” pana drukują”. To Jarosław opowiadał.

— Odnoszę takie wrażenie, że redaktor naczelny na ogromne możliwości lansowania tego, co lubi.

— Nie. Redaktor nie lansuje tego, co osobście lubi. Aprzede wszystkim nie to co lubią Czytelnicy.

Lansuje to, co w jego przekonaniu jest dobre i wartościowe.

— Czy ty na przykład lubisz literaturę fantastyczną?

— Raczej nie.

— Ale drukowaliście Lovencrafta, Bradbury'ego, Lem'a...

— Trzeba wyczuć, czy ktoś jest coś wart. Nawet jeśli redakcji to nie odpowiada. Na przykład nie lubię osobiste greckiej rzeźby. Jest mecząca, zbyt wypracowana, zbyt wyglądzona, ale czuję jednocześnie, że to są arcydzieła. Nigdy nie występowiałem przeciwko szpinakowi, choć nie lubię szpinaku.

— Była cała grupa ludzi, którzy stale, właściwie co tydzień, zamieszczali „Przekroju” swoje materiały, ale nie byli członkami zespołu. Jednym z nich był profesor Miksztajn, sławny filatelista.

— Ładnych paręset kącików filatelistycznych wydrukowałem w „Przekroju”.

— Sam nie byłeś filatelistą?

— Nie. Odkąd za karę tata zamknął mi na niedzielę album ze znaczkami, jak miałem jedenaście lat, to się obraziłem na znaczki pocztowe.

— Ale uważałeś, że takie pismo jak „Przekrój” powinno mieć kącik filatelistyczny?

— Koncepcja „Przekroju”, to była w dużej mierze koncepcja relaksu. Człowiekowi potrzebny jest śmiech, rozrywka, krzyżówka, bo inaczej będzie mu się smutno i nerwowo żyło. Może nawet popaść w choroby psychiczne. Zwierzęta też się bawią, dokazują.

Długo, bardzo długo „Przekrój” nie drukował krzyżówek. Po kilku latach istnienia zdecydowaliśmy się. Czy byliśmy przeciwko krzyżówkom? Nie, byliśmy przeciw banalowi krzyżówek. Dopiero, gdy nam się udało wymyślić nowy sposób formułowania hasel — wtedy krzyżówka zjawiała się na łamach.

Dla czego sportu było tak mało? Przede wszystkim dlatego, że sport bardzo szybko się starzeje i w tygodniku jest zawsze spóźniony. Ale także dlatego, że ci dziennikarze sportowi tak banalnie pisali. Dopiero Roman Burzyński, co warto podkreślić, wpadł na pomysł, że nie będzie pisał sprawozdań z meczów, ale będzie przedstawiał wyniki meczów, które mają być dopiero rozegrane. I wtedy wprowadziliśmy małą rubrykę sportową.

— „Profesor Tutka” Jerzego Szaniawskiego, cykl znakomitych, króciutkich opowiadań?

— Z Szaniawskim była trochę podobna historia, jak z Nalkowską. Też uważał, że nie ma po co pisać, nie chciał pisać, bronił się niemal dosłownie rękami i nogami. Mieszkał tuż po wojnie w Krakowie, w Domu Literatów na Krupniczej. Chodziłem do niego wielokrotnie. I znowu się wszystko powtarza, bo mechanizm był zawsze ten sam. Wreszcie zgodził się napisać opowiadanie, ja się obraziłem, że nie chce opowiadania tylko cykl opowiadań. To był mój chwyt. Jak był dobry autor, to z miejsca odrzucałem, ku jego osłupieniu, jego propozycję, że on coś tam napisze i żądałem cyklu. Tak powstały „Opowiadania profesora Tutki”.

Zarówno „Charaktery” jak i „Tutka” nigdy by nie powstały bez inspiracji „Przekroju”. Nalkowska i Szaniawski byli bardzo załamani.

W związku z Szaniawskim miałem dość niezwykle kłopoty. Była jakaś kontrola finansowa. Zakwestionowali Szaniawskiego. Dlaczego dostaje najwyższe honoraria, jak najlepsi autorzy, a nigdzie nie ma mojego załącznika uzasadniającego, że to jest naprawdę dobry autor. Dlaczego należą mu się najwyższe stawki? Żądał także, żeby Szaniawski zmienił maszynę do pisania. On miał jakąś starą, rozklekotaną, z olbrzymimi czcionkami i dwoma palcami na niej stukał. A tymczasem autor, według panów kontrolerów, powinien dostarczać redakcji maszynopis, 32 wiersze na stronie po 70 znaków. Mówiliśmy, że u nas to się przepisuje przed posłaniem do drukarni, na co pan główny kontroler powiedział, że to niedobrze, bo przecież szkoda czasu maszynistek, żeby przepisywały teściuki pana Szaniawskiego.

— Zdarza się, że urzędnik nie zawsze rozumie sztukę...

— Urzędnik, to pół biedy. Gorzej, jeżeli sztuki nie rozumieją ludzie sztuki. Tu miałbym coś do powiedzenia o skandalicznym, nawet nie

wiem sam jak to nazwać, powiedzmy delikatnie, stosunku krytyków i kolegów do bardzo wybitnego pisarza. Myślę o Choro-mańskim. Po wojnie Choro-mański był przez środowisko literackie i przez krytyków w ogóle nie uznawany. Autor jakiejś szmyry. „Za-zdrość i medycyna”. Nikt go nie drukował. Nikt nie chciał go wydawać po powrocie z emigracji. Słuchaj, to było koszmarnie. Przecież on dosłownie nie miał z czego żyć. Jego żona, tancerka, Ruth Sor-el, udzielała lekcji chyba francuskiego. Mieszkałi gdzieś kątem. I znalazły się tylko dwie instytucje, które wyciągnęły Choro-mańskiego, że tak powiem, niemal z nędzy. Wydawnictwo Poznańskie, które zaczęło mu wydawać, bo żadne z warszawskich wydawnictw się do tego nie kwapiło, no i „Przekrój”. A stosunek kolegów i krytyki środowiska literackiego do Choro-mańskiego, to jeden wielki hanbiący ten zawód skandal. „Przekrój” zaczął go drukować namiętnie i do dzisiaj twierdzi, że jedno z najlepszych polskich tekstów, jakie „Przekrój” w ciągu czterdziestu lat drukował, to teksty Choro-mańskiego. Długo trwało nim go wreszcie uznano.

— W okresie bezpośrednio po wojnie, gdzieś do początku lat pięćdziesiątych, zjawiała się od czasu do czasu w redakcji postać bardzo charakterystyczna i uciążliwa niejako „Przekrój” z bardzo odległymi już epokami polskiej kultury, literatury i czasopiśmiennictwa. To był Ludwik Szczepański.

— Ojciec Jaszcza. Tak. Jeśli o niego chodzi, to jest to jeden z nielicznych wypadków, że mam wyrzuty sumienia. Bo ten stary wówczas Szczepański, to był założyciel i redaktor „Życia”, olbrzymi wkład do kultury polskiej. Ale my mieliśmy pewne opory w drukowaniu go. On przed wojną w „IKC” był redaktorem dodatku metamorficznego i to trochę do niego zniechęcało. Muszę powiedzieć, że nie bardzo potrafiliśmy go wykorzystywać. Gdybyśmy wpadli na pomysł, żeby on pisał pamiętniki, wspomnienia lub coś w tym rodzaju, to by coś z tego mogło być. A on przynosił te metempsychiczne kawalki, które nie bardzo się do „Przekroju” nadawały. Chcieliśmy mu raczej pomóc, a nie potrafiliśmy z niego zrobić przeboju, a był to człowiek na przeboju, jest to jedyny w dziejach „Przekroju” wypadek, że nie potrafiliśmy wykorzystać człowieka do którego mieliśmy dostęp.

— Czy hasło Melchior Wańkowicz wywołuje u ciebie jakieś skojarzenia?

— Mogę powiedzieć to, co Wańkowicz mnie powiedział. Że jedynym czasopiśmiem na kuli ziemskiej, któremu on pozwala robić skróty i poprawki bez jego wiedzy, jest „Przekrój”. Bo z Machejkiem, to się nawet procesował o poprawki i skróty w „Życiu Literackim”. A nigdy nie miał żadnych zastrzeżeń do „Przekroju” i dał nam carte blanche. Ale Wańkowicz — to była stara znajomość sprzed wojny.

— Czy żałujesz, że coś się ukazało gdzie indziej, a nie w „Przekroju”?

— Żal mi, że nie było reportaży Kapuścińskiego i że nie my drukowaliśmy „Cesarza”. No i, że kroniki sądowe Urbana były w „Kulisach”, a nie w „Przekroju”.

— Ale Wiecha potrafiłeś zachęcić. To był dosyć szatański pomysł, żeby w krakowskim piśmie drukować Walerego Wątróbkę, typowo warszawskiego cwaniaka i w ten sposób przeplancować faceta z Targówka na galicyjskie szpalty.

— Byłem człowiekiem w Warszawie. W 1945 roku pierwszy raz w życiu przyjechałem do Krakowa. Przedtem byłem w Krakowie tylko z podchorążówką na sypaniu kopca Piłsudskiego. Ale akurat nie wyszedłem na miasto, bo na mnie wypadła warta. Stałem na bocznicę i pilnowałem wagonów. Otóż jednym z osiągnięć „Przekroju” było, że z miejsca postanowił, iż nie będzie tygodnikiem terenowym, dawniej mówiło się — prowincjo-

nalnym. Dlatego był w nim Wiech. „Przekrój” miał ambicje pisma ogólnopolskiego, które chwilowo tylko jest wydawane w Krakowie, bo tu ocalały maszyny. Ale potem bardzo szybko zacząłem przeciwstawiać się przeniesieniu pisma do Warszawy, bo zdawałem sobie sprawę, że tam byłoby je o wiele trudniej redagować.

— O ile pamiętam, to tych projektowanych przeprowadzek było kilka. Ale żadna nie doszła do skutku. Bo albo nie było drukarni, albo nie było mieszkan, albo lokatu na redakcję, albo nagłe następowała zmiana etapu.

— To była cała skomplikowana gra. Jak już sprawa wyglądała groźnie, to wtedy zadalismo takiej ilości mieszkań dla zespołu, że tym w Warszawie opadały ręce. No i jakoś czterdziści lat „Przekrój” się w Krakowie uchwalał.

— Czy robili na tobie wrażenie negatywne opinie na temat „Przekroju”?

— Nie docierały do mnie. Pamiętam ważne zarządzenie, jakie wydałem: nigdy listy krytykujące „Przekrój” nie mogą zawędrować na moje biurko. No, bo gdybym chciał się kierować gustami Czytelników, to byśmy robili pismo na poziomie, wiesz jakim. Dobrze pismo robi się przeciw Czytelnikom, o stopień wyższe niż Czytelnicy. Oni się powoli podciągają i kochają swój tygodnik. A że i ukochanej czasem się to i owo przygani, na to nie ma lekarstwa. Choć Czytelnicy się buntowali, to w końcu wszystko akceptowali. Nawet rysunki Mrożka, choć to wymagało czasu i uporu redakcji.

— „Przekrój” był i jest pismem rubryk. Jak powstaje nowa, dobra rubryka?

— Trzeba wyczuć, jakich informacji Czytelnicy szukają, jakie im są naprawdę potrzebne. Często pomocne bywały listy do redakcji. Po kilku notatkach o modzie dostaliśmy setki listów z dziesiątkami pytań każdy. To był sygnał. A ponieważ Basia Hoff miała na ten temat zawsze morze do powiedzenia i w dodatku sama chodziła szalowo ubrana (szczególnie frapowała na fioletowo, a na to ogromny koronkowy czarny szal) — powstała rubryka „Moda”. Do dziś wielce atrakcyjna, ba, nie prześcigniona przez konkurencję.

— Basia, czy moda?

— Jedna i druga.

— A „Demokratyczny savoir vivre”?

— Podobny początek. Janina Iphorska pod pseudonimem Jan Kamyczek napisała w 1947 roku kilka felietoników o dobrym zachowaniu się. Przysłano worek, dośłownie worek listów. Więc w setnym, jubileuszowym numerze, zainaugurowała swój cotygodniowy wykład i odpowiedzi Czytelnikom o grzeczności na co dzień.

Przez 30 lat była filarem redakcji, a „Savoir'ów” napisała około 1800. Ukazały się potem w trzech zbiorach książkowych, w wielu wydaniach, były tłumaczone na różne języki. Największe nakłady osiągnęły wydania radzieckie.

Janka Iphorska przed wojną, prócz romanistki na UW, ukończyła też Akademię w pracowni prof. Kowarskiego. Stąd malowna, scenografia i paręset rysun-



Zrozumieć mowę zwierząt
— to marzenie stare jak
sama ludzkość...

K. FABRY



Prawie we wszystkich baśniach zwierzęta mówią. W baśniach człowiek rozumie ich mowę i sam z nimi rozmawia. A jak wygląda to w rzeczywistości?

Skoro zwierzętom dane są głosy, i to aż tak różnorodne, to chyba głos jest im potrzebny, by mogły porozumiewać się ze sobą. Ale o czym sobie opowiadają? Co myślą o nas, ludziach, jeśli można, nie posuwając się za daleko, założyć, że posiadają zdolność elementarnego rozumowania?

Język zwierząt to pojęcie bardzo złożone. Ważną rolę w ich porozumiewaniu się ze sobą odgrywa „leksykon” ruchów i pozycji ciała, a także bogaty „słownik” zapachów. Sygnalizacja dźwiękowa natomiast ma dla zwierząt znaczenie szczególnie, pozwalając nawiązywać kontakty na odległość, czasami bardzo znaczną.

Jedną z najważniejszych cech języka zwierząt jest jego podłoże emocjonalne, druga zaś — nie mniej istotną — zależność podawanych sygnałów od konkretnej sytuacji.

Czy mogą zwierzęta przemawiać ludzkim głosem? Okazuje się, że tak. Sensację wywołała ostatnio foka z ogrodu zoologicznego w Bostonie, wabiąca się Hoover. *How do you do?* — wita Hoover gości, po czym przedstawia się bardzo uprzejmie, wymieniając swoje imię. A gdy wzruszeni goście nie posiadają się z zachwytem, Hoover, wybałuszając oczy i strosząc sumiasty wąs, grzmi potężnym basem: *Wynocha!* Zdaniem zoologów jest to przykład bez precedensu, zwłaszcza że próby naśladowania ludzkiego głosu Hoover podjął samodzielnie, po ukończeniu szóstego roku życia. Obecnie ma on lat 10 i można powiedzieć, że jego talent jest w fazie szczytowej. Zasób słów ma wprawdzie ograniczony, ale nie pomniejsza to rangi jego nadzwyczajnych osiągnięć.

O CZYM WYJA WILKI?

Wilki wyja zazwyczaj o świecie lub o zmierzchu, ale bynajmniej nie codziennie. Partię solową prowadzi zawsze przywódca stada — jego głos różni się wyraźnie od reszty chóru. Jaką informację niosą te koncerty, dla kogo są przeznaczone? Nie ulega wątpliwości, że tego rodzaju „twórczość zbiorowa” jest jakimś symbolem życia w gromadzie, ale co poza tym oznacza i o czym mówią ten tęskny śpiew?

Kanadyjski przyrodnik, etnograf i pisarz, Farley Mowatt, przez długie lata badający życie wilczych stad, napisał pasjonującą książkę pt. *Nie krzycz — wilki*. Autor stwierdza, że przy pomocy głosu wilki przekazują sobie bardzo złożone wiadomości — na przykład informację o zbliżaniu się stad reniferów lub o napotkanych w tun-

drze myśliwych, z podaniem dokładnej lokalizacji obiektu.

Są ludzie, dla których mowa wilków jest zrozumiała. Taką zdolność posiadał Eskimos, Utek, którego Mowatt poznał w tundrze. Oto opis zdumiewających faktów, zaczerpnięty z książki Mowatta:

Pewnego dnia spędziliśmy długie godziny w pobliżu legowiska wilków, ale nie działało tam nic ciekawego... Poczulem, że za chwilę zasną, gdy nagle Utek przyłożył obydwie dłonie do uszu i zaczął uważnie nasłuchiwać. Nie słyszałem żadnych dźwięków i nie mogłem zrozumieć, co przykuwało jego uwagę. Wreszcie szepnął: „*Słuchaj, wilki rozmawiają!*” — i wskazał na grzędę wzgórz oddaloną od nas o jakieś 7-8 km.

Wyteżyłem słuch, ale jeśli wilki rzeczywiście nadawały jakieś sygnały — to widocznie nie na mojej

częstości. Naraz duży wilk z naszego stada, spokojnie odpoczywający dotąd na pagórku, nastawił uszu i odruchowo pisk ku północy. Po chwili podniósł głowę i zaczął wyć; to wycie, początkowo wibrujące i niskie, zakończyło się na najwyższej nucie, jaką zdolne jest odebrać ludzkie ucho.

Utek łączył mnie z ręką:

— Wilki mówią, że idą karibu!

Wyłumatczył mi, że wilk z sąsiedniego stada, obobującego na północ od nas, nie tylko przekazał wiadomość o tym, że karibu ruszyły na południe, ale wskazał dokładnie, gdzie znajdują się w tej chwili. Ponadto — co najbardziej mnie zaskoczyło — wyjaśniło się, że wilk sąsiad sam nie widział reniferów, tylko przekazał informację otrzymaną od innych wilków, zamieszekujących północne okolice. Nasz wilk, który wszystko to słyszał, przekazał dobrą nowinę dalej.

Mowatt pisze, że informacja, którą przekazywały sobie wilki i którą zrozumiał Utek, potwierdziła się co do joty: Eskimosi, udając się na polowanie, rzeczywiście znaleźli stado karibu dokładnie w tym miejscu, jakie wskazał wilk z oddalonych wzgórz.

GADAJĄCE RYBY

Nowa nauka — bioakustyka — udowodniła niezbicie, że tylko ludzka niewiedza mogła zrodzić legendy o martwej ciszy panującej w głębi mórz i oceanów. Zanurzając w wodzie hydrofony — przyrządy do rejestracji i nagrywania podwodnych dźwięków — badacze stwierdzili, że ta „kraina wiecznej ciszy” rozbrzmiewa tysiącami najrozmaitszych dźwięków. Każda ryba śpiewa na swój niepowtarzalny sposób: kogut morski gdać i pieje, ostrobok szczeka, ryba zwana doboszem

wybija werbel, miętus morski warczy, i chrząka.

Sila dźwięku wydawanego przez ryby może być czasami tak potężna, że powoduje wybuchy min akustycznych, jak to bywało w okresie drugiej wojny światowej.

Nie brakuje też takich ryb, których głosy daje się słyszeć bez pomocy hydrofonów. Przypomnijmy sobie, co pisał Arkady Fiedler w swej książce *Ryby śpiewają w Ukajali*. Niedawno na Amazonce prowadził badania austriacki bioakustyk, Friedrich Schaller, którego zdumiała siła i różnorodność głosów śpiewających ryb. Pisze on, że ryba pirara — odmiana amazonskiego suma, sięgająca metra długości i ważąca do 100 kg, wydaje przeraźliwe dźwięki, które przypominają ryk słonia i są słyszalne na odległość do 100 m (!). Jedną z głównych ryb przemysłowych Amazonki — *haraki* — w okresie tarła wydaje straszny ryk, podobny do warkotu motocykla. Można sobie wyobrazić, co się dzieje nad brzegami rzeki, gdy setki samców *haraki*, zgromadzone w miejscach tarła, „zapuszczają silniki swych motorów”.

Każdy rybak wie, że ryby gadają ze sobą — twierdził rosyjski pisarz, Aleksander Kuprin. — Poświadczają nam o różnych podstępach i niebezpieczeństwach, toteż nieudolny, niedoświadczony rybak może na długo popuścić szczęśliwe miejsce, jeśli pozwoli rybce umknąć z sieci i ostrzec innych, by tego miejsca unikały.

PSZCZÓŁKA PSZCZÓŁCE POWIEDZIAŁA...

Dźwięk w życiu owadów odgrywa olbrzymią rolę, ale jego funkcje nie są na razie dostatecznie zbadane. Oto fragment notatki, zamieszczonej w jednym ze

starych czasopiśmie przyrodniczych: W Japonii często można spotkać śpiewające owady i w Tokio co najmniej kilkudziesięciu handlarzy uprawia ich regularną sprzedaż. Wiosną i latem na werandach japońskich domków widzi się malutkie bambusowe klatki, z których dobiega dziwny poświs, monotonne bzyczenie, czasami nieskończenie długie trele, wypełniające wieczorny zmierzch niepowtarzalną muzyką. Ulubionym śpiewającym owadem jest u Japończyków pewien rodzaj chrząszcza o długim i płaskim ciele; nazywają go „siuziumuszi”, co oznacza „żuk dzwoneczek”. W istocie, owad wydaje dźwięk przypominający brzęczenie srebrnego dzwoneczka.

Szarańcza „gra na skrzypcach”; rolę skrzypiec pełnią pokrywy skrzydeł, smyczka zaś — tylne nogi, wyposażone w specjalne zgrubienia. U koników polnych i świerszczy funkcję smyczków pełni same skrzydełka. Co się tyczy cykad, mają one specjalną membranę dźwiękową, a także rezonatory, zapewniające bardzo intensywne metaliczne dźwięki. Południowoamerykańskie cykady wydają dźwięki przypominające gwizd lokomotywy. Są wśród owadów takty, że dobosze — na przykład termity w obliczu niebezpieczeństwa zaczynają zgodnie uderzać głowami o podstawy termity, obwieszczać wszystkim członkom owadziej społeczności, że obowiązuje stan alarmowy.

Całkiem odrębny sposób wydawania dźwięków mają pszczoły, które drogą częstych skurczów mięśni nadają swemu ciału wysokoczęstotliwościową wibrację. W odróżnieniu od innych owadów, pszczoły mogą wydawać dźwięki różnej częstotliwości i różnych tonów, wykorzystując te zmiany do przekazywania różnego rodzaju informacji.

Starzy pszczelarze wiedzą o tym, że pszczoła rodzina w ulu zmienia ton swej pieśni w zależności od stanu fizjologicznego całej gromady. Pszczeli chór zaczyna brzmieć inaczej, gdy rodzina odczuwa chłód, gdy brakuje jej pokarmu lub zapada decyzja o wydaniu roju. Badania bioakustyczne pozwalają na tej podstawie kontrolować stan

ków (często nie podpisanych) o panu Karafce.

Mawiała chętnie: „Brak mi jedenastego przykazania — bądź to tolerancyjny!”, a także „Czy to aż takie ważne, żeby być w życiu rozumianym?” Na jej pogrzebie wszyscy plakali. Nie wiem, czy wiesz, że Janka jest autorką tego dziś już oklepanego dowcipu o pen-tencie, który przychodzi do urzędu i na pytanie: „Panie naczelniku, czy to się da zrobić?” — słyszy odpowiedź: „Jak się da, to się zrobi”.

— Jedną z pierwszych reklam zamieszczonych w „Przekroju” też była Janki. Na rysunku figurowały dwa koty i taki podpis: JAK SIĘ POBIERZEM, TO SIĘ OKOCIM. To była reklama browaru w Okocimiu.

— A dlaczego? Bo dyrektorem browaru w Okocimiu był wtedy autor późniejszych „Dziejów głupoty w Polsce”, Aleksander Bocheński.

— Aleksander Bocheński? Jesteś pewny?

— Tak jest. Ja bym był szczęśliwy, gdybym się pomylił, bo wtedy byśmy mieli list od Bocheńskiego! (O, tak się, widzisz, robi pismo!). Stąd myśmy byli w przyjaźni z Okocimiem. On wtedy był wykłety za swoje poglądy. Nigdzie go nie chcieli drukować, a żyć musiał.

— To ciekawe. Ciekawe też, czy będziemy mieli list od Bocheńskiego ze sprostowaniem? A może skrzynkę piwa z Okocimia? Ale wracajmy do rubryki. Czy do powstania rubryki sądowej także przyczyniły się listy Czytelników?

— To zupełnie inna historia. W owych czasach panowała jeszcze milcząca umowa, że u nas nie drukuje się kronik sądowych. Wszystko gra tu idealnie, więc przepiękność bieżąca w ogóle nie istnieje. Czasem wyskakiwała wielka pokazówka polityczna, ale kryminały nie. Nawet Wiech zaniechał swych przezbawnych felietonów o niewinnych pyskówkach przed warszawską sprawiedliwością. A przecież nimi zasłynął przed wojną.

Jest lato 1958 roku. Jastarnia, stary Dom Zdrojowy na plaży, księżyc, szum morza, dancing na parterze, na pierwszym piętrze bufet dla stojących. Przy bufecie znakomity adwokat krakowski, Karol Buczyński, z uroczą żoną Rutą, także mecenasem. I jeszcze jedna przystojna niewiasta. Buczyński mnie przedstawia i po chwili mó-

wi: „Pani Wanda jest adwokatem w Warszawie, a także świetnie pisze, może by co napisała dla „Przekroju”? Wszyscy byliśmy już po paru głębszych, więc ja odważnie: „Od dawna w redakcji marzymy, by wskrzesić stały felieton sądowy”. Pani Wanda: „To ja napiszę coś na próbę i przyślę do Krakowa”. Wezbrała we mnie wisielcza fantazja: „Nie potrzeba żadnych prób, zamawiam u pani cotygodniowy felieton”, i wszyscy wybuchliśmy śmiechem.

U nieznanej autorki, o której nikt nie wie, czy potrafi coś składnie napisać według wymogów czasopiśma, zamawiam w ciemno całą serię felietonów na temat praktycznie nie dopuszczanego do druku! Naprawdę, można się było z czegoś takiego tylko uśmieć.

— Ale po wakacjach nadszedł pierwszy felieton. Wydrukowaliśmy ten, i co tydzień potem następne. I tak Falkowska

WIELRYBIE

ula, czyli wydawać diagnozy o samopoczuciu pszczoły rodziny.

SPIEWAM — WIĘC JESTEM

W życiu ptaków dźwięk odgrywa rolę niezmiernie ważną — zaisle głos został ptakom dany po to, by mogły przetrwać. Specjaliści wyróżniają dziesiątki sygnałów, przy pomocy których ptaki przekazują sobie najróżniejszą informację.

Ważną cechą ptasiego języka jest jego specyfika: to, o czym mówi konkretny ptak, jest zrozumiałe wyłącznie dla jego krewnych. Nawet tak wspinały wokalista, jak słowik, nie może swą koloraturą podbić serca samiczki wróbla, dla której ćwierkanie jej niepozornego amanta jest słodsze od słowiczych treli. Często ptaki bardzo bliskich odmian dają się rozpoznać wyłącznie na podstawie ich śpiewu, co ułatwia zoologom klasyfikację. Ciekawe, że znaczne oddalenie geograficzne miejsc stałego pobytu u ptaków tej samej odmiany prowadzi do powstawania „dialektów”, utrudniających, lub wręcz uniemożliwiających wzajemne zrozumienie. Tak francuskie wrony i mewy zupełnie nie reagują na przyzywy swych krewnych rodem z Ameryki.

Mimo tej „specyfiki narodowej” istnieje u ptaków coś, co można by określić jako język międzynarodowy. Na przykład wszystkie ptaki w lesie doskonale rozumieją krzyk sikorki, która znalazła kryjówkę sowy, lub trąkociną sroki, stwierdzającej obecność myśliwego.

Ptaki, wyposażone w doskonale skonstruowany aparat głosowy, odznaczają się wprost fenomenalnym słuchem muzycznym, co pozwala niektórym z nich odtwarzać nie tylko rozmaite melodie, ale także

zasyłane dźwięki — między innymi głosy zwierząt i ludzi. W Ameryce żyje cała rodzina kosów kpiarzy nosząca nazwę *Mimidae*, co oznacza — imitatorzy. Najciekawszy z nich ptak — *Mimus polyglotus* — posiada fantastyczne zdolności imitatorskie: żyjąc w lesie, naśladuje głosy leśnych ptaków, w pobliżu zaś ludzkich osad włącza do swych śpiewów pianie koguta, gdakanie kur, miauczenie kota, szczekanie psa, a ponadto wiernie odtwarza cały szereg dźwięków technicznych, takich jak warkot silnika czy gwizd pociągu.

Wykorzystując zdolności imitatorskie ptaków, człowiek od dawna podejmował próby uczenia ich rozmaitych słów. Wśród ptaków mówiących pierwsze miejsce zajmują, oczywiście, papugi. Uczona papuga, mająca w swym leksykonie do 100 słów, nie powtarza ich mechanicznie — zauważono, że pewne wyrazy ptak ściśle kojarzy z konkretną sytuacją. Co najciekawsze — papugi nierazko poszerzają swój leksykon samodzielnie, wzbogacając go w wyrazy, których ich nie uczono. Opisany jest przypadek, gdy pewna papuga, widząc jak ogrodnik spłyna na trawnik, powiedziała nieoczekiwanie: „Stary niechluj”. Nikt jej tych słów nie uczył, musiały być po prostu słyszeć w sytuacji podobnej. Innym razem ta sama papuga zobaczyła osła, którego przywiązano do słupa i który ryczał na całe gardło. „Co ci jest, kochany?” — zapytała czule... W Ameryce otwarto niedawno szkołę dla papug mających spełniać funkcję przewodników dla ludzi ociemniałych. Papugi uczy się zasadniczych wyrazów: „Stój”, „Idź”, „W prawo”, „W lewo” — używanych w zależności od zmian światła sygnalizacyjnych, rozmaitych przeszkód na drodze, itp.

ARIA DELFINA Z WIELORYBIEJ KANTATY

Co delfiny i wieloryby mają sobie do powiedzenia? Przyroda nie poskąpiła im nadzwyczaj urozmaiconych warunków głosowych. Popularne amerykańskie czasopismo „National Geographic” opublikowało swojego czasu duży artykuł o tajemniczym śpiewie wielorybów humbaków, opatrując artykuł intrygującymi nagłówkami i dołączając do niego płytę długogrającą z nagraniem wielorybich choraków.

Śpiew humbaka jest niezwykle melodyjny — głosy poszczególnych osobników przypominają to dźwięki oboju, to melodie prowadzoną przez klarnet czy okarynę. Nawet muzyków zafascynowały te tajemnicze pieśni, śpiewane a cappella. Humbaki zmieniają i uzupełniają swój repertuar: jeden z badaczy pisze, że pieśni nagrane w latach 1964 i 1969 są równie do siebie niepodobne, jak muzyka Beethovena i utwory Beatlesów.

Humbak ważący 40 ton wydaje czasami potężne dźwięki, służące prawdopodobnie do sygnalizacji dalekiego zasięgu. Jak pokazują dane bioakustyczne, w warstwie wody oceanicznej, na głębokości ok. 1000 m, przebiegają tak zwane kanały dźwiękowe, którymi dźwięk rozprzestrzenia się na tysiące kilometrów. Można zakładać, że wielorybom znany jest fakt istnienia owych kanałów i że wykorzystują je do „rozmów międzykontynentalnych” z interlokutorami pływającymi w dalekich morzach. Zdaniem niektórych zoologów, wieloryby mogą porozumiewać się na odległość do 1000 km (!).

Największym entuzjastą w kwestiach dotyczących delfinów był znany amerykański badacz, John Lil-

ly. W swej książce pt. *Człowiek i delfin* Lilly pisał: *Przyjdzie czas, kiedy ludzie będą mogli rozmawiać z przedstawicielami innych gatunków biologicznych*. Doszedłem do tego wniosku po szczegółowej analizie wyników naszych doświadczeń z delfinami. Lilly twierdził, że delfiny, posiadając rozwinięty intelekt, porozumiewają się ze sobą w języku gwizdów, a ponadto naśladują mnóstwo dźwięków zasyłanych od człowieka, i co najciekawsze — powtarzają te dźwięki w sposób zdumiewający „świadomy”. Od delfinów Lilly słyszał na przykład takie wyrazy i całe zdania: *Three — two — three (Trzy — dwa — trzy), It's six o'clock (Już szósta), This is a trick (To podstęp)* — itd. Lilly nauczył delfina Elvara szeregu angielskich słów, przy czym uczony delfin potrafił specjalnie obniżać tembr głosu, by zbliżyć go do brzmienia głosu człowieka. Badaniem języka delfinów zajmowało się wielu specjalistów z różnych krajów. Skonstruowano przyrząd elektroniczny,

przetwarzający dźwięki wydawane przez delfiny na sygnały, które może odbierać ludzkie ucho, i na odwrót — ludzki głos na sygnały zrozumiałe dla delfinów. W rezultacie nauczono delfiny wielu słów-rozkazów, po których ma następować konkretna czynność. Delfiny ćwiczyły z wielkim zapalem i wyniki miały nie gorsze, niż tresowane psy służbowe. Największym ich osiągnięciem było to, że niektóre rozkazy powtarzały natychmiast swym wysokim świszczącym głosem.

Dodajmy jeszcze na zakończenie, że sposób przekazywania informacji przy pomocy gwizdów znany jest również człowiekowi od zarania ludzkości. Do dziś posługują się nim mieszkańcy trudnych dostępnych górskich regionów w Turcji, na Kaukazie, w Pirenejach czy Kongo. Język gwizdów pozwala na zakodowanie i przekazanie informacji o charakterze nie tylko emocjonalnym, lecz także abstrakcyjnym, na tej samej zasadzie, na jakiej działa telegraf przy użyciu rytmów. W przypadku delfinów główna zagadka polega jednak na pytaniu: w jakim stopniu mają rozbudowaną zdolność „myślenia abstrakcyjnego”? Fakt, że zwierzęta o wysokiej organizacji mózgu mają elementarne podstawy logicznego rozumowania, jest obecnie podkreślany przez wielu wybitnych biologów.

JĘZYK WSPÓLNY DLA WSZYSTKICH

Jesteśmy tylko częścią przyrody — i nasza mowa, podobnie jak rozmaite sposoby porozumiewania się dźwiękowego u zwierząt, powstała z potrzeby wyrażania głosem określonych emocji. Język emocji jest wspólnym językiem dla wszystkiego, co żyje na Ziemi. Językiem tym nasi przodkowie władali na długo przedtem, nim nabyli umiejętności mowy abstrakcyjnej. Istnieje wiele dowodów potwierdzających to, a najlepszym przykładem jest sam człowiek, ściślej mówiąc — jego rozwój indywidualny w okresie niemowlęstwa i wczesnego dzieciństwa. Dziecko, nie znając jeszcze znaczenia wielu słów, porozumiewa się ze światem dorosłych, reagując na odcień emocjonalny głosu rodziców i wyrażając głosem własne odczucia. Stąd badania nad rozwojem mowy u dzieci dają klucz do zrozumienia historii ludzkiego języka.

Uniwersalność języka emocji ma swoje podłoże we wspólnocie podstawowych procesów fizjologicznych u człowieka i zwierząt. Język ten w ciągu milionów lat swego istnienia ulegał i ulega zmianom ewolucyjnym, ale jego specyfika i przyroda dopiero zaczynają być przedmiotem wnikliwych i jakże pasjonujących badań.

(Oprac. as)

pięła przez ponad 20 lat. Co ciekawe — nikt wówczas na ten temat nie powiedział „Przekroju” jednego złośliwego słowa, a inne pisma poszły naszym śladem i zaczęły drukować swoje sądówki.

— Podobno 19 razy byłeś w Paryżu?

— Możliwe. Życzliwi za mnie policzyli. W tamtej epoce z Paryża przywoziło się dla pisarzy najciekawsze wiadomości, książki i prawa autorskie. A nietłumaczone było zaprosić taką Saganę choćby na kawę. Strach, a nuż zamówi dodatkowo ciastko lub kielliskę winą! Samemu żyło się głównie bułkami, mlekiem i jajkami na twardo. Przecież nie mogę umówić się z nią na ławce w parku i w dodatku żądać, żeby zgodziła się bezpłatnie lub za polską walutę na druk „Witaj smutku”, już wówczas głośnej powieści. Zgodziła się,

ale według przepisów francuskich nawet bezpłatne odstąpienie praw autorskich wymaga papierka z podpisem autora lub agenta. A papierek taki wymaga znaczka stemplowego, w ich pojęciu groszowego, bo około 10 dolarów. Jak ja tę zawrotną sumę miałem wygospodarować z chudych diet? Ale gdzieś w kogoś francuskiego pożyłem, wydrakowaliśmy, a w kraju miałem kłopoty, bo powiedzieli w dyrekcji „Prasy”, że przepłaciłem.

Roczniki „Przekroju” pokazują ile przez dwadzieścia pięć lat praw autorskich za walutę niewymienialną i za „merci beaucoup” udało się wyganić. Nawet na słynne opowiadania Borgesa. Bo Kafki „Przemianę”, to po prostu ukradliśmy. Nie mogliśmy sobie odmówić radości druku arcydzieła. Był to pierwszy u nas Kaf-

ka po wojnie, przy czym w nakładzie półmilionowym, a więc wówczas największym chyba na kuli ziemskiej.

— Ale przywoziłeś także różne nowinki. Teatralne, filmowe, plastyczne, jazzowe...

— Do teatrów tak zwanych eksperymentalnych chodziłem, bo i ciekawe, i stosunkowo tanie. O ile pamiętam, to w 1953 roku pewien mój mało-znajomy zresztą student irlandzki, coś tam studiujący w Paryżu, gorąco namawiał mnie, aby pójść następnego wieczora do teatru na debiut nikomu nieznanego irlandzkiego poety, piszącego także po francusku. Według tego studenta, autor był bardzo zdolny i szalenie awangardowy.

Idąc do kasy spotkałem innego młodego człowieka, bardzo dobrze

zapowiadającego się aktora z Polski, którego ja z kolei namówiłem na to przedstawienie. Kupiliśmy bilety. Wieczorem, w niewielkim teatrze, mocno pustawym, uczestniczyłem wraz z Tadeuszem Łomnickim w światowej prapremierze sztuki, która potem zrobiła nawet sporą karierę, choć zbyt dużo za te nasze ciężko wysuplane franki nie odegrało. Na scenie było też pusto, a pod chudym drzewkiem siedziało dwóch włóczęgów, rozmawiali i darennie czekali na przyjście niejakiego Godota. Ot, i wszystko.

— A ten Godot wreszcie przyszedł?

— O ile mi wiadomo, to na razie jeszcze nie.

KONIEC

N A J S Ł A W N I E J S

Architektura jest przemienioną w kształty historią kultury i cywilizacji. Budowanie zawsze oznaczało postęp i dostatek, tworzyło warunki duchowego i materialnego rozwoju. Ale ci, którzy trudzili się tym zajęciem wcale nie byli sobie równi.

Budowniczości dróg, domów, mostów czy murów obronnych uważali się zawsze za zwykłych rzemieślników. Ich wiedza i umiejętności sprawiały, że tworzone przez nich dzieła trwać miały przez stulecia. Ale ich wysiłek bywał najczęściej bezimienny.

Natomiast twórców katedr i świątyń traktowano od wieków jak artystów. To przecież oni wznosili najpiękniejsze z kształtów na jakie stać było architekturę. W ich rękach powstawała romańszczyzna, spod ich dłoni wylaniały się gotyk, renesans, barok. To oni posiadali tajemną wiedzę osadzania kolumn, spajania sklepień, wznoszenia ku niebu strzelistych wież. To oni tworzyli style, otwierali i zamykali epoki.

Zapraszamy dziś naszych Czytelników do kilku spośród najslawniejszych świątyń Europy. W każdej z nich, na ceglach i na kamieniach, odcisnięte zostały umówione znaki. Gwiazdki, trójkąty, koła, prostokąty, rysunki kielni, młotków i toporków. Tak właśnie podpisywali się pod swą pracę dawni budowniczości. Za pomocą podobnych figur powiadamiali się o jakości używanego materiału, o wymaganym sąsiedztwie poszczególnych kamiennych bloków, o miejscach, w które kłaść należało każdą z cegieł. Te tajemne symbole są wyznacznikami autorskimi twórców.

Utrwalone w kamieniu piękno to świadectwo czasów minionych. Każda z przedstawionych tu świątyń jest pomnikiem architektury. Każda, w sposób niepowtarzalny, wzbogaca kulturalne dziedzictwo świata.

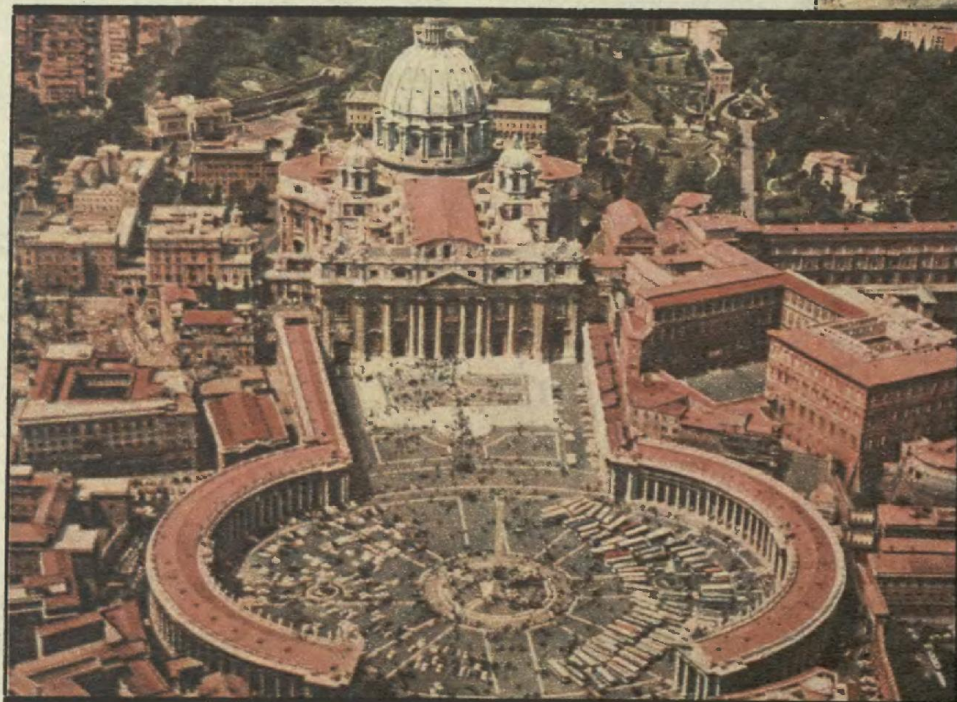
Pierwszą, oficjalną listę obiektów dziedzictwa światowego UNESCO ogłosiło w 1978 roku (w tej pierwszej dwunastce, znacznie już dzisiaj powiększonej, znalazło się zabytkowe centrum Krakowa i Kopalnia Soli w Wieliczce). P. od początku towarzyszy akcji UNESCO i działalności powstałego w 1979 r. Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Krakowa. Pisaliśmy więc zarówno o tej pierwszej dwunastce, jak też o najwspanialszych na świecie rezydencjach królewskich, o najslawniejszych uniwersytetach, wieżach i placach Europy, przypominając o ich wartościach, a zarazem o konieczności zachowania ich dla przyszłych pokoleń. Dziś zapraszamy do najsłynniejszych europejskich świątyń. Wśród nich do katedry wawelskiej, integralnej części zamku, który w monumentalnym wydawnictwie włoskim, zatytułowanym „Sto cudów świata”, zaliczony został do ośmiu najwspanialszych rezydencji królewskich.



W porównaniu ze wspaniałymi kościołami wschodniego i rzymskiego chrześcijaństwa, świątynie reformującego się od początku w. XVI chrześcijaństwa zachodniego, z którego wyłoniło się z biegiem lat wiele lokalnych wierceń protestanckich, miały spełniać inne funkcje i dlatego także ich architektura i wystroj mierzały ku racjonalnemu rozplanowaniu wnętrza z nielicznymi akcentami wystroju plastycznego, jak np. ambona, chrzcielnica.

Wyrosły z opozycji do zastygłego w formalizmie Kościoła rzymskokatolickiego, Kościoł reformowany zmierzał do odnowy moralnej swych wyznawców, stąd zainteresowanie architekturą i wystrojem świątyń było sprawą drugorzędą. Chodziło w tym Kościele przede wszystkim o człowieka, a nie o dbałość o oprawę miejsca zgromadzeń członków reformującego się w opozycji do papieństwa wyznania.

KOŚCIÓŁ ZAMKOWY W WITTENBERDZE



BAZYLIKA ŚW. PIOTRA

Na posadzce bazyliki zaznaczono kolejno długości innych największych i najslawniejszych budynków kościelnych świata. Trzeba przejść kilkadziesiąt kroków od bramy, prawie 30 metrów, by napotkać pierwszy znak: kościół św. Pawła w Londynie — 158 m. Potem idą kolejno: katedra we Florencji — 149 m, w Mediolanie — 148, w Kolonii — 134, w Sewilli — 132, bazylika św. Pawła za murami w Rzymie — 127, a św. Zofia w Konstantynopolu — 110. Dla porównania: kościół Mariacki w Krakowie — około 90 m.

Tak więc bazylika św. Piotra przewyższa tamte, i to dużo, skoro ma długość 187 m, a licząc z przedsionkiem i grubymi murami — ponad 211. Szerokość nawy środkowej wynosi ponad 27 m, poprzeczną zaś 137. Do szczytu kopuły jest 119 m, a licząc z krzyżem nad nią — 132. Mając powierzchnię ponad 15 000 m kw., bazylika mieści około 60 000 osób. Imponujący pomnik potęgi papiestwa.

Swój obecny ogrom i kształt zawdzięcza pracom, które trwały długo. Rozpoczęto je w r. 1452, po kilku latach przerwy na pół wieku, ale od r. 1506, od pontyfikatu Juliusza II, nie doznawały już większych przeobrażeń. Ostatecznie poświęcił

bazylikę papież Urban VIII w dniu 18 listopada r. 1626.

Jest to dzieło kilku pokoleń sławnych i świetnych architektów. Wyróżnili się wśród nich: Bramante, Rafael, Peruzzi, Sangallo Młodszy, Michał Anioł, Maderna. Chyba największy wkład wnieśli: Bramante, twórca i realizator pierwszego planu, oraz Michał Anioł, projektodawca kopuły, pięknej w swym kształcie, ale jakby przesłoniętej, gdy patrzy się z placu, zbyt rozbudowaną fasadą, dziełem Maderny. I jeszcze ciekawostka: przekątna kopuły jest o metr mniejsza od przekątnej kopuły Panteonu, wzniesionego za cesarza Augusta!

Lecz to nie tylko największy kościół chrześcijański. Należy również do najstarszych, przynajmniej w sensie miejsca, na którym stoi. Wznosi się bowiem, jak utrzymuje tradycja, nad grobem św. Piotra, przy dawnej rzymskiej via Cornelia. Wykopiska ostatnich dziesięcioleci w podziemiach bazyliki odsłoniły tę drogę i pobudowane obok niej rzymskie groby; przy jednym z nich miał zostać pochowany apostoł.

Cesarz Konstantyn Wielki budował na via Cornelia bazylikę, poświęconą w dniu 18 listopada



Z E W E U R O P I E...

NOTRE-DAME DE PARIS

Budowano wtedy i tworzone beznamiętnie *ad maiorem Dei gloriam*. Nieznane jest przeto nazwisko genialnego architekta, który dał projekt katedry. Kronikarze utrwalili natomiast spór, który na jej temat wyłonił się między inicjatorem budowy, biskupem Maurice'em de Sully, a świętym Bernardem. Ten ostatni miał powiedzieć: „Kościół złotem pokrywa swoje kamienie, a swoich synów pozostawia bez przyodziewku”. Aktualność tak postawionego dylematu przetrwała do dziś, wykraczając daleko poza sferę układów Kościoła-wierni.

Świętych rzadko słuchano za ich życia. Tak więc Maurice de Sully podjął gigantyczną budowę w roku 1163 w nadziei, że doczeka się jej konsekracji. Żył długo, ale nie doczekał. Nie wziął bowiem pod uwagę tzw. rozdziału frontu inwestycji, która to wada krótkowzroczności także i dzisiaj się tafia, nawet w systemie gospodarki centralnie planowanej. Wzorem bowiem Paryża udzielni biskupi innych diecezji też chcieli się Panu Bogu wykazać. I nie gorzej, niż diecezja paryska. Tak powstały jednocześnie pyszne katedry w Chartres, Amiens, Reims, Soisson, Laon i w wielu, wielu innych jeszcze miastach.

Wskutek czego nie dopinał się bilans materiałów i środków. Wskutek czego budowa Notre-Dame trwała blisko dwa wieki. Ludwik Święty widział jej mury w stanie surowym w r. 1250. Ale prace wykończeniowe trwały do roku 1345.

W ten sposób powstała jednak najwspanialsza symfonia gotycka. Aż dźwięk bierze, iż zachowała spójność stylu, który w tym czasie podlegał przeobrażeniom — od form surowych przechodząc do zlagodzonych. Inne świątynie we Francji są większe,

wyższe, pojemniejsze. Inne uchodzą za koronacyjne — ta w Reims, inne są miejscem sarkofagów królewskich (ta w Saint-Denis). Ale ta paryska jest najslawniejsza właśnie przez czystość stylu. Przez zwycięstwo myśli nad materią.

Dzieliła losy Francji, jej wznioły i upadki. Popadła w stan zaniedbania w połowie XVIII wieku, a Rewolucja Francuska dołożyła ręki do jej dalszej dewastacji: sankiuloci, czyli właśnie ci ludzie bez przyodziewku, ściągali z fasady rzeźby królów Judy i Izraela, w namiętnej pasji niszczenia wszystkiego, co królewskie. Odnaleziono te rzeźby parę lat temu, przypadkowo, w czasie robót ziemnych. Ale wcześniej, w połowie XIX wieku, słynny architekt i konserwator zabytków, Viollet-le-Duc, któremu polecono jej renowację, uzupełnił także i te braki. Nie wszyscy są jednomyślni w ocenie dzieła tego architekta, zwłaszcza w jego zapachach przekraczających zasady dochowania wierności pierwowzorowi. (Dodał Viollet-le-Duc katedrze strzelistą wieżę nad transeptem).

Stępiły się liczne pióra nad opisem tej katedry. Victor Hugo poświęcił jej kilkadziesiąt stron. Był zwierzły przewodnik zawiera obszerne o niej wzmianki.

Pozostaje więc tylko miejsce na osobistą refleksję, co widzę w Notre-Dame: widzę po prawej stronie transeptu Madonnę Notre-Dame de Paris, z XIV wieku, o pięknej buzi i zalotnym przegięciu w biodrze pod wpływem trzymanego na ręku Dzieciątka: boską i ludzką zarazem.

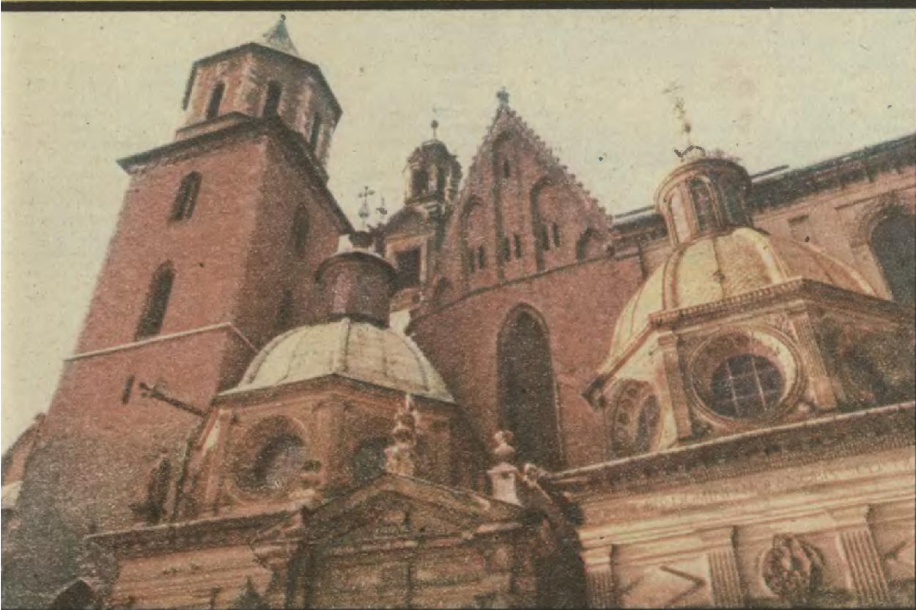
LESZEK KOŁODZIEJCZYK



OPACTWO WESTMINSTERSKIE

Edward Wyznawca był władcą pobożnym, leniwym i kapryśnym. Pobożność nakazywała odbycie pielgrzymki do Rzymu, lenistwo przemawiało przeciwko miłej podróży. Zwyciężył kaprys: miast odbyć pielgrzymkę, Edward zbudował za miastem opactwo benedyktyńskie, by modlić się w nim za życia i spocząć po śmierci. Obok opactwa zbudowano pałac,

żeby władca miał blisko na modły. Ośrodek ten nazwano Westminsterem (west — zachód, minster — kościół klasztorny), bowiem leży na zachód od City. Kaprys miał następstwa polityczne: Westminster stał się stolicą, siedzibą parlamentu i rezydencją monarchów, natomiast City mogła zachować autonomię.



KATEDRA WAWELSKA

Królewska katedra na Wawelu jest trzecią z rzędu świątynią stojącą na tym miejscu. Biskupstwo krakowskie powstało w roku 1000 i jeszcze za panowania króla Bolesława Chrobrego przystąpiono do budowy pierwszej katedry, której nikt fragmenty zachowały się pod zachodnim skrzydłem zamku. W drugiej połowie XI w., przypuszczalnie za rządów Władysława Hermana, rozpoczęto prace przy budowie drugiej katedry, zwanej Hermanowską. Roboty trwały do roku 1142, kiedy świątynię konsekrowano. Miała kształt trójnawowej, wieżowej bazyliki z dwoma chórami i kryptą pod chórem zachodnim. W połowie XIII wieku, na środku katedry wzniesiono grobowiec-ołtarz św. Stanisława, kanonizowanego w 1253 roku. Katedra Hermanowska mieściła także skarbiec królewski, a w nim insygnia koronacyjne wraz ze słynną wicznicą św. Maurycego, którą cesarz Otto III ofiarował Bolesławowi Chrobremu w roku 1000 podczas pamiątkowego zjazdu gnieźnieńskiego. Na początku XIV w. katedra spłonęła. Do dzisiaj z katedry Hermanowskiej zachowały się krypta św. Leonarda i część wieży Srebrnych Dzwonów. W tej zniszczonej świątyni odbyła się w roku 1320 koronacja Władysława Łokietka i jego żony Jadwigi. Od tej pory wszyscy nasi królowie, wyliczywszy Stanisława Leszczyńskiego i Stanisława Augusta, koronowali się na Wawelu.

W roku 1320 biskup Nanker wraz z królem Władysławem Łokietkiem wstąpili do budowy obecnej gotyckiej katedry, w znacznej mierze wykorzystując fragmenty poprzedniego kościoła. Prace budowlane trwały do r. 1634, tj. do momentu

SOBÓR SOFIJSKI

Ten okazały pomnik architektury sakralnej XI-wiecznego Kijowa rósł wraz z nim, by stać się symbolem potęgi i wspaniałości staroruskiego państwa. Kazał go wzniesić na podziękowanie św. Zofii (Mądrości) konstantynopolskiej, Jarosław Mądry. Stał w miejscu, w którym ten wielki książę na czele wojsk słowiańskich rozgromił w ciężkim boju Pieczyngów — groźnych nomadów z Azowskiego.

Był rok 1037, kiedy rozpoczęto wraz z „grodem Jaroslawa” budowę lynnego w świecie soboru. Mówią o nim, że nie ustępuje w niczym pomnikowi architektury światowej tamych czasów, choć historia była dla wórców tego monumentu okrutna. Nie zachowała bowiem imion ani wspaniałych budowniczych soboru, ani autorów jej zdumiewających nozai i fresków.

Niemal 950 lat temu, pośród pynnych pałaców książęcych i monasterskich tumów wylaniał się nad Dnieprem, w wieńcu podwójnych wież, otwarty arkad i galerii, rzyznastogłowy ołbrzym. Był wier-

nym odbiciem wielkości i przepychu ówczesnego Kijowa, stolicy państwa, „matki grodów ruskich”. Ten metropolitarny chrám Rusi stał się politycznym i kulturalnym centrum staroruskiego państwa, symbolem siły i władzy książów kijowskich, triumfu zwanej z Bizancjum wiary chrześcijańskiej.

W tej świątyni odbywały się sobory biskupów ruskich. Tutaj przejmowali i składali swą władzę książowie, chylili się głowy posłów. Stąd w chorałach nabożnych wyruszał w bój wojownicy i tu wznosili modły dziękczynne, gdy wracali zwycięsko. W soborze sofijskim przed władzkami, w obliczu „Sposu” i „Bohorodicy”, wypowiadali swoje skargi i żale mieszkańcy grodu.

Znaczenie soboru było ogromne. Tłumaczono tu i przepisywano foliały ksiąg. Ich najwcześniejszy, znany na Rusi zbiór nazwano pierwszą biblioteką ruską.

Zwiedzających tę świątynię zniwala klimat epoki, utrwalony w mozaikowej postaci Chrystusa Wszedzierżającego, Marii — „Oranty”, po-



NAJSŁAWNIEJSZE W EUROPIE...

KOŚCIÓŁ ZAMKOWY W WITTENBERDZE

W Niemczech, gdzie wczorąm 31 października 1517 r. dr Pisma Świętego Marcin Luter, zakonnik klasztoru Augustynów w Wittenberdze, przybił do drzwi kościoła zamkowego 95 tez do dyskusji o wartości odpustów, miejscem zgromadzeń dyskutujących były m. in. kościoły rzymskokatolickie, które, wobec utraty wiernych, a często także duchownych, trzymały się tylko wyznawcy. Tak było także z kościołem Wszystkich Świętych na zamku w Wittenberdze, siedzibie elektorów sasko-wittenberskich.

Świątynia początkami swymi sięga w. XIV. Pod koniec w. XV, z woli elektora Fryderyka Mądrego, staje się jednym z najbogatszych w relikwie święte miejscem w Niemczech. Siałową budowlę późnogotycką, z emporami między kolumnami wspierającymi sklepienie sieciowe, wznosił architekt Konrad Pfleger, który rozpoczął pod koniec w. XV (1496) gruntowną przebudowę kościoła. Niestety, kościół z tamtych lat nie zachował się (poza murami oraz częściowo portalem) w stanie pierwotnym. Po pożarze, większe

zmiany w wyposażeniu wnętrza przeprowadzono w latach 1760-70. Runglo wtedy sklepienie. Prace, które wówczas podjęto, miały za cel uratowanie najważniejszych miejsc dla zreformowanego Kościoła, miejsca działalności Lutera i Melanchtona.

Obecny wygląd kościoła pochodzi przede wszystkim z lat 1883-92, a więc z przebudowy dokonanej wg projektu architekta Fryderyka Adlera, który na zlecenie księcia pruskiego, Fryderyka Wilhelma, ukształtował świątynię w trzynawową halę, z emporami nad na-

wami bocznymi. Wówczas także urządzono na nowo wnętrze. Drzwi, na których Luter przybił swe tezy do dyskusji, spłonęły w r. 1760. Znajdowały się w trzecim przęśle północnego muru kościoła, w portalu z datą 1499. Obecne drzwi odlano w brązie w r. 1858. Powtórzono na nich słynne tezy Lutera. Wówczas także dodano nad portalem posagi elektora Fryderyka Mądrego i księcia Jana, a w tympanonie August v. Kloeber namalował Ukrzyżowanie z kłęczą-

cymi po bokach Lutrem i Melanchtonem, z panoramą Wittenberga w tle. Nadto w kościele znajdują się groby Lutera i Melanchtona, oznaczone niewielkimi tablicami inskrypcyjnymi, wykonanymi w brązie, a przed ołtarzem — nagrobki księżące. Kościół w Wittenberdze jest więc nie tyle wielkim dziełem sztuki, lecz przede wszystkim najcenniejszym miejscem w historii Kościoła reformowanego.

FRANCISZEK STOŁT

OPACTWO WESTMINSTERSKIE

Kościół konsekrowano 28 grudnia 1065. Zaledwie w tydzień później Edward wyznosił ducha. Złożono go do grobu w Opactwie Westminsterskim, a w sto lat później, po kanonizacji, uczczono okazałym sarkofagiem. Nie minął jeszcze rok jak pochowano w Opactwie jego następcę, Harolda, który poniósł śmierć w bitwie pod Hastings, a w Boże Narodzenie koronowano tutaj pierwszego króla Anglii — Wilhelma Zdobywcę. Stało się odtąd zwyczajem koronować i grzebać monarchów w Opactwie Westminsterskim.

Ceremonie pochówku monarchów i koronacji następców tak przypadły Wypisarzom do gustu, że dla ich przyspieszenia uprawiali nawet królobójstwo. Zaniechali tego z biegiem lat i jest to jeden z nielicznych wyjątków w brytyjskiej tradycji. Ale czy można dziś przyjąć Brytyjczyków do tradycji, jeżeli jej siedziskiem jest przewspaniała świątynia Opactwa West-

minsterskiego? Od czasu Henryka III, który ją przebudował, Opactwo upiększono przez stulecia nowymi kaplicami, pomnikami i sarkofagami. Kościół koronacyjny, królewską nekropolię, pałac narodowy, Grob Nieznanego Żołnierza skupiono tutaj razem w strzelistych, gotyckich nawach, nadając świątyni charakter świętości narodowej.

W 1540, na tle matrymonialnych awantur Henryka VIII, który zerwał z Rzymem, ogłosił się zwierzchnikiem Kościoła anglikańskiego. Dokonał kasacji zakonu. Mnichów, którzy osiem wieków wcześniej przywodził tu z Monte Cassino, upamiętniono w ten sposób, że tradycje świątyni nazywano jest nadal Opactwem, chociaż oficjalnie jest katedrą św. Piotra i jako bazylika kościoła anglikańskiego podlega samemu monarche.

Oprócz kilkudziesięciu głów koronowanych w Opactwie Westminsterskim

spoczęli licznie i ci, których głowy były uwieńczone trofeami jeszcze cenniejszymi — laurem wielkości i sławy: wielcy poeci, pisarze, politycy, podróżnicy i uczeni. Oczywiście, „nie każdy poeta ma tutaj własny pomnik i nie każdy pomnik ma poetę”, ponieważ niektórzy z wielkich, gdzie indziej pogrzebani, tu zostali uczczeni pomnikiem, kamieniem lub płytą nagrobną. Lecz najsłynniejsza z płyt nie jest jedynie symbolem: spoczywa pod nią żołnierz nieznany z nazwiska i stopnia, który poniósł śmierć na polach Francji i tu został złożony na wieki 11 listopada 1920, w drugą rocznicę zakończenia Wielkiej Wojny.

Najbardziej uroczystym zakładem wspaniałej świątyni jest kaplica Edwarda Wyznawcy. Tu znajduje się Kamień Scone, największą świętość narodową Szkotów (którzy stale próbują go wykraść), wprawiony w debowy tron koronacyjny monarchów. Zaka-

tkiem najpiękniejszym jest kaplica Henryka VII, sycają oczy barwnymi pysznymi sztandarów herbowych kawalerów Orderu Łaźni i kolorowym witrażem, przedstawiającym plakiety 68 szwadrów myśliwskich, które w Bitwie o Anglię okryły się wielką sławą. Są wśród nich, oczywiście, symbole świętych polskich dywizyjów. A 150 metrów na zachód od witrażu, na drugim końcu pięknej i przegromnej świątyni, u wejścia do głównej nawy, o kilka zaledwie kroków od Grobu Nieznanego Żołnierza wmurowano w posadzkę płytę ku czci Winstona Churchilla.

Opactwo Westminsterskie daje czytelnikowi przekrój całej historii Anglii — od normkańskiego podboju po czasy nieudanej inwazji Trzeciej Rzeszy, odpartej z polskim udziałem.

ANDRZEJ S. NARTOWSKI

KATEDRA WAWELSKA

uroczystej konsekracji. Gotycka katedra jest budowlą wieżową, bazylikową, trójnawową z transeptem i prezbiterium okolonym ambitem. W trakcie budowy świątyni i później otoczono katedrę kaplicami, przebudowywanymi w ciągu wieków stuleci. Tym samym powstał kościół o urzekającej bryle, w którym każda epoka

przysłała niepośledniej miary dzieła sztuki (np. Kaplica Zygmuntowska), a nazwiska mecenasów, królów, biskupów i kanoników kapituły krakowskiej, obok imion twórców, na zawsze weszły do dzieł kultury polskiej, stwarzając z katedry wawelskiej najwspanialszy w Polsce monument historyczny i artystyczny.

Niejednokrotnie tę świątynię grabili wojska nieprzyjacielskie; dwukrotnie (1655—1657, 1702) zniszczyli ją Szwedzi; panoszył się także hitlerowski najazd, który na czas okupacji zamknął katedrę, wywołując wiele dzieł sztuki.

Królewska katedra na Wawelu ma dla polskiej kultury olbrzymie znaczenie. Jest

szczególnym miejscem, gdzie królów koronowano, a po śmierci prochy ich składano w katedralnych podziemiach (tak powstała druga po Westminsterze, największa nekropolia królewska w Europie). A gdy królów nie stało, grzebano w katedrze Wieszczów i przywódców narodowych. W latach zaborów w katedrze wi-

dziano symbol polskości, świątynię, której pomniki pokazywały wielkość Narodu, wyznaczały historyczną ciągłość pokoleń. Katedra była wówczas — podobnie zresztą jak dziś — pomnikiem narodowych dzieł, streszczeniem historii ojczyzny, wyrażającą naszą tożsamość.

MICHAŁ ROZEK

BAZYLIKA ŚW. PIOTRA

roku 326. Odtąd służyła ona światu chrześcijaństwu, bogacąc się we wszelkie dzieła sztuki przez ponad 1100 lat, aż do piętnastego wieku. Wtedy to, gdy zaczęła już chylić się ku upadkowi, wszczęto prace nad nową, większą i okazałą.

Lecz ten rejon Watykanu ma jeszcze inną tradycję. Oto tuż przy via Cornelia i częściowo tam, gdzie dziś roz-

ciąga się plac przed bazyliką, okolony kolumnami — dzieło Berniniego — znajdował się prywatny cyrk cesarza Nerona. Właśnie tam, w roku 64 n.e., rozegrał się pierwsze przesładowanie chrześcijan. Ich niemy świadkiem jest obelisk, obecnie stojący na środku placu, a niegdyś zdobiący tamten stadion.

ALEKSANDER KRAWCZUK

SOBÓR SOFIJSKI

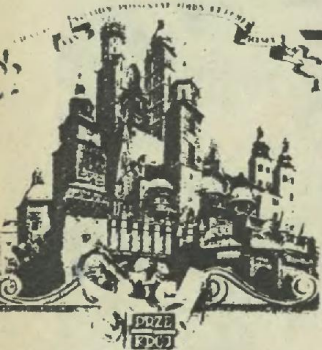
chodzie apostołów, Eucharystii i Zwiastowaniu Najświętszej Marii Panny. Oddech epoki ował freskami ściany i sklepienia. Opowiadają o poganiach zwyczajach, harcach, łowach na dzikiego zwierza, blaznach księżych. Freski rodzinne Jarosława przypominają, że książę ten władał państwem o niebywałym autorytecie międzynarodowym. Ożenił się z córką króla Szwecji, a jego siostra wyszła za mąż za Kazimierza I, monarchę polskiego. Jarosławowe córki dzieliły tron z władcami Norwegii, Francji i Węgier, synowie żenili się z bizantyjskimi carewnami. Na dworze Jarosława znajdowali azyl polityczny słynni wikingowie norwescy:

święty Olaf, Magnus Dobry, Harald Śmiały.

Mijały wieki. W burzach historii zatraciły się niektóre pierwotne kształty soboru Sofijskiego. W XVII i XVIII wieku wzbudowano sześć nowych kopuł, przybyły liczne frontony i ornamenty w stylu ukraińskiego baroku.

W Sofii Kijowskiej, bo i takie miasto nosi ten sobór, stoi marmurowy sarkofag Jarosława Mądrego. Prosty, niemal nie tknięty dłutem mistrzów, mówi równie wiele o czasie, który się tu zatrzymał, co niesamowita uroda tej świątyni.

ZBIGNIEW TUREK



LUB ODNOWICIELI
KRAKOWA

218. Peter Wirz i Wojciech Grabowski Szwajcaria 500 dol.	221. Mieczysław Bładek Kanada 20 dol.	224. Richard Bittner Chicago, USA 1000 dol.	227. Teatr Groteska Kraków 282 dol.
219. Polsko-Niderlandzkie Towarzystwo Kulturalne Nijmegen, Holandia 63 dol.	222. Polski Związek Kulturalny w Belgii 338 dol.	225. Jacek Michalski Kraków 60 dol.	228. Firma PSAL Antwerpia, Belgia 491 dol.
220. Józefa Schönbass Kraków 1000 dol.	223. Maria Holowacz Toledo, USA 100 dol.	226. Polish Heritage Club of Syracuse USA 100 dol.	229. Michael J. Rojko 35 dol.

BANK POLSKA KASA OPIEKI SA

Oddział w Krakowie — Przekrój 327974-60008

© digitalizacja: mbc.malopolska.pl

BORISLAV
PEKIĆ

CUD W JERUZALEM

BORISLAV PEKIĆ, prozaik i dramaturg serbski, zadebiutował w 1965 r. znakomitą książką pt. *Czas cudów*, która od razu stała się światowym bestsellerem. Akcja książki osadzona jest w Judei, prowincji Imperium Rzymskiego, w latach trzydziestych po narodzeniu Chrystusa.

Zamieszczamy fragment książki Pekicia *Czas cudów*, która ukaże się w całości nakładem Wydawnictwa Literackiego w Krakowie.

I wyrzucał czarta, a on był niemy; a gdy wyrzucił czarta, przemówił niemy; i dziwowały się rzesze.

(Ewangelia według św. Łukasza, 11.14)



Palec wskazujący Waleriana Gratusa, ozdobiony owalnym skarabeuszem z Krainy Kedma, niedbale wskazywał kontury budowli jerozolimskich, które, niby pociemniałe skały, unosiły się w błękicie dogorywającego zachodu. Palec był szybki, na żadnej nie zatrzymał się dłużej niż było trzeba, by odwołany namiestnik prowincji wypowiedział właściwą nazwę.

Obok niego na dziedzińcu Pretorium stał nowy prokurator, świeżo przybyły z Rzymu. Nazywał się Poncjusz Pilat. Jego twarz barwy maki, nie spalona jeszcze śródziemnomorskim skwarem, miała ponury i niechętny wyraz, a obojętność, z jaką słuchał rozmówcy, była zaledwie na granicy uprzejmości. Co prawda czuł się zmęczony podróży morską z Ostii do Jaffy i niewygodną jazdą na koniu z Jaffy tutaj, poza tym pyszałkowane świętości, które wzdłuż tej drogi pojawiały się na przemian z jeszcze bardziej pyszałkowatymi śmietnikami zrobili na nim wstrząsające wrażenie.

„Czy w tym mieście jest kanalizacja?” — myślał zatroskany, podczas gdy uprzedzając uprzejmy Gratus opowiadał mu dzieje proroka, którego imieniem nazwano jedną z synagog. To żałosne życie, skłębione z samej goryczy i nędzy, wymyślnych przekleństw i pokornych modłów do Boga wie jakiego boga, miast swoją malowniczością zadziwiać gości — budziło w nim obrzydzenie.

„Gdzie się myją?” — myślał, słuchając jednym uchem drobiazgowego opisu drugiej synagogi.

„Gdzie się gimnastykują?” — zastanawiał się, śledząc palec wskazujący eks-namiestnika, który jakby podskakiwał, przesuwając się nad placem zwanym Gabbata.

W istocie myślał o swoim Rzymie, o lodowatym północnym wietrze, co zdzierza się z wstęchnieniem morza z Ostii, o świeżych deszczach, siekających

miękki grzbiet Tybru, o starych garbach świętych wzgórz; myślał o nienaruszalnych budowach, których znaczenie raz na zawsze określił senat, a nie przewrotna i zabobonna wyobraźnia prostaków; o świątyniach, w których władali podobni ludzom i ludzcy bogowie, tak bardzo ludzcy, że można się było z nimi targować, a z ich boskimi kobietami iść do łóżka. Myślał o nadzorcach swoich majątków w Kampanii, którzy będą go bezprzykładnie okradali, o tym jak jego żona-polożnica znieśie Judeę i tę woń macierzanki, wielbłądziego łajna, padliny i odurzających wywarów — Judeę, gdzie sam horyzont przypomina łąkę porośłą uschniętymi chwastami; lecz przede wszystkim myślał o cesarzu Tyberiuszu, ponieważ to on uraczył go prowincją Judeę, lepiej będzie powłóczyć wygnal z Rzymu, żeby najlepsze lata życia spędził wśród zabobonnych dzikusów, którzy nie umieją sobie wyobrazić nawet swego Boga. Och, myślał wściekle, do piekieł z godnością namiestnika, do piekieł z cesarzem, do piekieł z przepiękną Judeą!

— Spójrz, wielce dostojny Poncjuszu — mówił Waleriusz Gratus, orząc paznokciem Święte Miasto. Jerozolima winna zostać. Te nieuki, nie mające pojęcia o geografii, którymi będziesz teraz rządził, wyobrażają sobie, że gdzieś tutaj znajduje się wejście do piekła, co nie jest takie złe, jeśli wziąć pod uwagę, że stale mają je przed oczami — przesunął palec trochę w lewo — te zrujnowane chałupy zbite w kupkę niby owce, które przestraszyły się rzymskiej wilczycy, to Moria, coś w rodzaju dawnego centrum Jeruzalem, albo nieudana kopia naszego Forum. Dom arcy-mądrego Salomona i dom jego ojca Dawida, który, chociaż był straszliwym lajakiem i oszustem, układał skargi i kierował je do Boga, jak nasz Katullus do Klaudiusza. Zresztą jego naród mu wierzył, dla czego więc i Bóg nie miałby mu zaufać? Myślę, że narody mają takich bogów, na jakich zasługują, bogowie zaś wybierają takie narody, jakie najbardziej odpowiadają ich własnej naturze. A ty, panie, co myślisz?

Pilat nie myślał nic. Trzymał chusteczkę przy nosie, jakby wciąż jeszcze czuł wyziewy śmietnik judejskich

przedmieść. Brak najzwyczajszej bodaj myśli tak był widoczny na jego zamysłonym czole, że Gratus Antypas spieszenie ciągnął dalej:

— Za Moria trochę w prawo, Stara Świątynia i gmach Rady. Tetrarcha Herod Antypas mieszka w tamtym pałacu, ale o nim opowiem, spełniając niewdzięczny obowiązek poinformowania cie, panie, o sytuacji politycznej jaką przejmujesz w spadku.

— Bardzo jestem ci zobowiązany, szlachetny Waleriuszu — podziękował nowy namiestnik bez zachwyty. „Widzę, że narzyłeś mi niezłego piwa, przyjacielu — myślał — i poczęstujesz mnie nim już przy śniadaniu. A jeśli to będzie jakiś bunt, albo rewolucja, przynajmniej moje sprawozdanie dla Palatynu będzie miało trochę godną nastroju tego, kto je wysyła”.

— Czy uczynisz mi zaszczyt, panie, i pozwolisz sobie towarzyszyć podczas zwiedzania tych budowli? — spytał Gratus.

Poncjusz Pilat nie miał zamiaru zwiędzać ich ani teraz, ani — jeśli to możliwe — nigdy, lecz nie mógł obrażać swego przewodnika. Powściągliwie wyraził zadowolenie z propozycji i kiedy dwaj niewolnicy narzucili im na ramiona płóciennę oponczę z kapturami zakrywającymi twarze, dwaj wysocy rzymscy urzędnicy wyszli, prowadząc się nawzajem pod rękę, w duszny świt Jeruzalem.

— Ta ulica, która doprowadzi nas do świątyni — objaśniał Gratus — nazywana jest różnie, zależnie od tego, kto jej nazwę wypowiada: „rzymska”, jeśli mówi to ktoś z naszych rodaków, „żydowska” w języku tubylców, ale jej prawdziwa nazwa powinna brzmieć: „zebracza”. Jest ona ulubionym miejscem spotkań i spacerów włóczęgów żyjących z ludzkiej litości. Spójrz, miłośniwy Poncjuszu — rzekł Gratus — scena nie jest zbyt pociągająca, ale ukazuje Wschód wierniej niż jakikolwiek opis, który jako dokument mógłbyś posłać do Rzymu.

Po obydwu stronach ulicy leżeli ułomni żebracy. Zaniedbane rzeźby, z których odpada farba. Niepojęte wyrodky Matki Ziemi. Nie nakre-

cone mechaniczne lalki z bezsensownego świata, w którym dzieci bawią się okaleczonymi zabawkami.

— Ja bym im nie pozwolił żebrać przed urzędem namiestnika, szlachetny Waleriuszu — zauważył Pilat sucho. Dotychczas powstrzymywał się od uwag na temat koncepcji Gratusa dotyczących rządzenia, ale pełen wyższości uśmiezek tego człowieka, który poza tym zachowywał się usłużnie, całkiem popsuł mu humor. Czy ten utuczony, wystrojony i uperfumowany truteń o orientalnych nawykach myśli, że jestem ślepy i nie widzę nędznej sytuacji prowincji oddanej mi we władanie?

— Na naszych bogów, nie pozwolimy!

— A co byś uczynił, panie, jeśli nie jest to tajemnica służbowa? — zapytał, nie starając się nawet ukryć drwiny przed profesjonalną ciekawością.

— Rozkazałbym legionistom przepędzić ich.

— I popełniłbyś błąd, szlachetny przyjacielu — podsumował Gratus oplekunczo. Spod obrzędkłych powiek lekko podmalowanych wedle wschodniej mody, obserwował swego następcę: typowy dobrokiewicz, myślał, już zachowuje się jak nowa miotła w domu, z którego jeszcze nie wyniesiono starej, już knuje idiotyczne plany, żeby wszystko wyrócić na opak i w tym wspaniałym, lecz jednak naturalnym gatunkasie zaprowadzić głupi koszarowy porządek. Na Jowisza kapitołińskiego, myślał, kapralskim proporcjom i niedźwiedziowatemu wzorcowi jego idealnego państwa przeskakują kalecy, głodni i nieszcześliwi, których, skoro nie może ich polatać, utuczyć i pocieszyć, woląby wytrzebić, niż pozwolić, by zatruli mu spokojny sen dostojnika. „Eh, mój Poncjuszu — myślał — dobrobyt najmniejszej nawet prowincji to nie burak, który po prostu wyrwywa się z ziemi, a rządzić tutaj, na Wschodzie, to nie to samo, co siać w brudzie prostą jak strzałę”. Po czym rzekł uprzejmie:

— Tak, popełniłbyś duży błąd. Nic tak wspaniale nie pozwala nam delektować się życiem, jak spojrzanie na człowieka, dla którego to życie jest cierpieniem. Kiedy poznasz, panie, tutejszą sytuację („Co to

bie — myślał, uśmiechając się słodko — z tym radem zamiast głowy, z tym drewnianym dzbanem, tobie, kolonizatorze, nigdy się nie uda"), zobaczysz, że dziesięciu przepolowanych Żydów — to miłsze o tocznie niż jeden cały. Ci, ulomni, których ukarał ich Bóg jakby w naszym imieniu i za naszą namową, są najbardziej lojalnymi obywatelami Protektoratu. Polecam ich twojej szczególnej życzliwości, namiestniku!

Pilat oświadczył, że będzie o tym pamiętał. Wszakże państwo to zwyciężające gospodarstwo, tylko trochę większe i bardziej dochodowe. Będzie musiał jednemu lub dwóm żebrakom rzucić miedziaka, żeby później ich nienasycony rodacy nie domagali się, by wyblagał u Imperatora pozwolenie na budowę jakiegos nowego portu.

— Zapoznam cię z jednym z nich — zaproponował Gratus.

— Nie zechciałbyś tego oddać, szlachetny Waleriuszu? — Myśl, że każde jego pierwsze spojrzenie o poranku padnie na te pieniące się fale potworów, powodowała u Poncjusza Pilata prawdziwą chorobę morską. — Od wczoraj nie nie jadłem, a nie sądzę, by bliskość któregokolwiek z twoich podopiecznych zaostriżyła mój apetyt.

— Przecież on od dziś mają zaszczyt być twoimi poddanymi, panie — rzekł Gratus.

— Jestem tym zachwycony — odparł Pilat nieprzekonująco.

Nacłagnął na twarz kaptury i przeszedł spacerem pochylonych żebraków, bindoń, błagań, przez nieprzebyłą gęstwą głosów wszystkich barw i tembrów: gardłowych, sopleńskich, nosowych, urywanych, gładzących, slikskich, szczykliwych i piskliwych, głosów przypominających aksamiene popukiwania sowy, dochodzących jakby z dna wyschniętej beczki, głosów przypominających zgryźnięcie piasku pod stopami, wycie huraganu, bulgotanie podziemnych źródeł, syk i trzaskanie drew w palenisku, głosów matowych, dziewczęcych, miękkich jak bawełna — slikskich, jedwabistych, ostrych, świergotliwych, głosów, które tułki jak nitki, przebiegały jak sztydo, ciekły jak mół, pilowały jak piła i przesywały słuch jak włócznia kry.

Waleriusz Gratus kroczył spokojnie, nie zwracając uwagi na ten chór cierpiętników, ale Pilat kilkakrotnie zdolał się opanować i nie zawyć, by własnym głosem zagłuszyć wszystkie inne.

— Wybierzemy takiego, który nie jest zbyt gadatliwy i nudny — rzekł dawny namiestnik — a skoro idzie o żebraków z Syjonu, może to być tylko Mesezabel, zwany Niemową. Jest niemy od urodzenia, żebrze pod karczmą Amonacha.

Pilat patrzył spod płóciennego kaptura; jego przerażony wzrok przesunął się wzdłuż tej podwójnej ściany rozpacz: kaletwa występowały tu w przeróżnych kombinacjach i uzupełniały jedno niebezpieczeństwo drugim, jeszcze większym. Obok ślepców o twarzach jak pozabawione wyrazu maski pogrzebowe, tworzących gładki kamienny szaniec, łazili, potykając się, głuchoniemi, poruszali się bezgłośnie jak ryby w akwarium, zamknięci w hermetycznie szczelnym świecie ciżby, w którym wszystko odbywa się bez dźwięku, jak w najgłębszym śnie; obok nich byli obłąkani — jedni spokojni, z twarzami zwróconymi ku kojącemu ciepłu światła, inni wykrzywni, wrzeszczący, jęczący, wierający się lub podskakujący beżmyślnie, ale najczęściej wyrzucający z siebie niepowiązane słowa (ci nie żebrali, przychodzili tu dla zamieszania, które ich pociągało); kalek było najwięcej, i to różnego rodzaju — od beznogich, którzy, stojąc na kikutach, przypominali grube pnie, i bezrękich — niby drzewa ogolone z gałęzi, przez żebraków, którzy nie mając prawej ręki — dla równowagi pozabawieni byli też lewej nogi, aż do paralityków, którzy, chociaż posiadali wszystkie członki, zaślinieni, siedzieli beżmyślnie na swoich derkach. Pilat widział jednokrotnie, jednorękich i pozabawionych uszu — ci bez nosów się nie liczyli; widział też takich, którzy mieli jedną nogę i jedno oko. albo mieli jedno oko, lecz brakowało im obojga uszu; widział bezrękich, którym wyrwano

język, beznogich, pozabawionych nosa, opętane niemowy, głuchych, ślepców i takich, którym z ran nieustannie ciekła krew, niby z nie zakręconego kranu. Nie było tylko trędowatych.

— O, bogowie! — wzdychał ze złością Pilat, włokąc się brukowaną ulicą — tylko mi trędowatych brakuje!

Ale doszli już pod karczmę Amonacha.

W pobliżu drzwi stał Mesezabel — krępy izmaitla, siwy, zarosnięty, w łachmanach; w zdeforowanej ręce trzymał miseczkę i potrząsał nią, aby brzęk monet wzbudził szczerotę przechodniów. Drugą ręką wspierał się na grubym kij. W jego niemych ustach, niby w głębokiej studni, bulgotały kalekie dźwięki, którymi wyrażał on swoje uczucia i opinie.

— Hej, Mesezabelu — zwrócił się do niego Waleriusz Gratus — co nowego od rana?

Niemowa poznał prokuratora Judei i padł mu do nóg, a policzki jego zalsniły, jakby obmyte niewidzialną gąbką. Kiedy Rzymianin kazał mu wstać, nieokreślony gest kaleki, poparty nieartykułowanym chrząknięciem, można było zrozumieć tylko jako niezadowolono ze słabych płonów jego tak widocznego niebezpieczeństwa. Na dowód potrząsnął miseczką, w której cicho brzęczała jedna jedyna moneta.

— Co to znaczy? — roześmiał się Gratus. — Czyżby twoi rodacy przez noc zbankrutowali z obawy przed nowym namiestnikiem? Żeby wzbudzić w nim niepokój, czy zdoła w poręściągnąć wszystkie daniny dla cesarza? — to mówią, zajął do miseczki. — Patrzcie, kwadrant „Bonus Eventus”, pieniądź boskiego Augusta! Strzeż go, niemowo, bo przynosi szczęście, jak głosi napis na reszce, rewersie.

„Ten Gratus jest pomyłony — pomyślał Pilat. — Orient pomieszał mu w głowie...”

Tymczasem Gratus wypytywał niemowę:

— Po tym pieniądzu widzę, że przeszedł tędy jakiś Rzymianin. Czy tak?

Na znak potwierdzenia Mesezabel podskoczył i wydal z siebie skowyt.

— Jesteś ulubieńcem moich legionistów?

Mesezabel znowu podskoczył i wydal z siebie skowyt, co było twierdzącą odpowiedzią na pytanie namiestnika.

— A ty — zapytał Gratus — lubisz nas, Rzymian?

Mesezabel podskoczył, uniósł swój kij i pieszcząc jak szczerz wskazał niebo i ziemię. Z obawy, że nie zostanie zrozumiany, powtarzał te nerwowe gesty kilkakrotnie, aż Gratus wytłumaczył Pilatowi:

— Chce powiedzieć, że jego przywiązanie do Rzymu jest tak wielkie, jak odległość od nieba do ziemi, i chociaż jestem przekonany, że przesadza, jak wszyscy ludzie Wschodu, zastąpił na miedziaka.

I wrzucił monetę do miseczki kaleki. Miedziak brzęknął, a Mesezabel, jakby kopnął go jakiś olbrzym, wprawnie rzucił się na ziemię. Charecz i pieszcząc wymachiwał kijem, wskazując raz na niebo, raz na ziemię: twarz jego płonęła ogniem wdzięczności i w myślach mówił to, czego nie mógł wykrzyknąć: „Zstąp mój Jahwe, runie mój Jahwe z góry na ratunek synom Izraela, krotka, bardzo krotka jest droga od nieba do ziemi, jednym skokiem przebędzie ją mój Jahwe, on, który przeskakuje światy, pierzyszy iedziez w siedle planu, i nie zdąży schować się pod ziemię, ani ostonie się żelazną tarczą śmierci, bo mój Jahwe odnajdzie Rzymian, krwiopijców, wyrodków, balwochalców, przekleć niechaj będą na ziemi i w niebie, przeklećci bądzie, Rzymianie — podskakiwał w zapamiętaniu, wskazując niebo i ziemię — na ziemi i w niebie, przeklećci pod ziemią i pod niebem!”

— Styszysz go, panie? — spytał Gratus nowego namiestnika.

— Nie — przyznał tamten. Czy ten napuszone pyszałek, co udaje człowieka Orientu, zamierza okpić go jakąś jarmarczną sztuczką, żeby potem, gdy będzie opowiadał, jak udało mu się wystrychnąć Pilata na dudka, cały Rzym go podziwiał, a z Pilata się wzmiewał? Toteż, stanowczo zdecydowany natychmiast przerwać niegodną zabawę, której przedmiotem był on sam, ostro przerwał: — Nie, nie słyszysz go. A ty, panie?

— Ja? Oczywiście, że nie słyszysz. Jak można słyszeć kogoś, kto nie umie mówić? Miałem na myśli: czy go rozumiesz,

czy potrafisz sobie wytłumaczyć jego wymowne gesty?

— Nie — odrzekł Pilat kąśliwie.

— Pozwól więc, że ci wyjaśnię. Długi pobyt wśród Żydów, chociaż jestem człowiekiem obcym i okupantem, pozwolił mi pojąć ich uczucia, nawet kiedy nie są wyrażane w którymś ze znanych języków imperium. Kij wymierzony w niebo, przy czym sam kij wyraża wzwanie i nie ma znaczenia, jakie często miewa w życiu, oznacza, że Mesezabel przyzwa swego Boga. Zaraz potem, kontynuując ten sam ruch ręki, kij skierował ku nam, wskazując w ten sposób swemu Bogu przedmiot swojej ziemskiej wdzięczności. Krótko mówiąc, prosi Boga, by był dla nas szczerzy w zamian za dar, jaki wrzuciliśmy do miseczki niemowy. A im więcej razy powtarza ten gest, tym szczerzej prosi, są zatem większe szanse, że zostanie wysłuchany.

— Wspaniale — powiedział Pilat. Trochę się uspokoił. Subtelność wyjaśnienia świadczyła o jego warietydności. Gratus nie drwił. Może więc nie trzeba wysłać listu do Rzymu?

Przez cały ten czas Mesezabel nie przestawał skakać. Wystękiwał nie istniejące zniekształcone sylaby, wyrażające jego myśl: „Zstap, Jahwe, z nieba, rozgnieć na ziemi Rzymian jak szarańczę, którą już raz zesłałeś w Egiptie jako ostrzeżenie i wyniszczyłeś w dowód przebaczenia: posieć, Panie, tyranów niebieskimi gromami i toporami ziemskimi, niechaj ich krwawe szczątki wloką się po ziemi i unoszą na niebie” — powtarzał, wskazując kijem Waleriusza Gratusa.

Ten nieszczęśnik oddałby za mnie życie — powiedział Gratus, kiedy oddalił się od tego miseczka — ale ponieważ wyjeżdżam, zostawiam go tobie, panie: weź go, jeśli będzie ci kiedyś potrzebny.

A potem, kiedy odeszli jeszcze dalej, dodał:

— Oto prawdziwy Wschód, namiestniku Judei!

Mesezabel uspokoił się dopiero wtedy, kiedy dostojnicy zniknęli w krętych uliczkach Dolnego Miasta. Nienawidził Gratusa najbardziej ze wszystkich Rzymian. Był tak nieznosnie dobry dla niego — rzucił mu od czasu do czasu parę sestercji — że musiał go nienawidzić, jeśli chciał unieważnić jego dobrodziejstwa, nie tracąc przy tym swoich pieniędzy...

Minęła pierwsza martwa godzina przedpołudnia.

Mesezabel spędził ją na przeklinaniu swoich konkurentów w żebraniu, napuszczając na nich Jahwe i wszystkich bogów, których imiona pamiętał. Potem zobaczył przechodniów.

Byli to dwaj mężczyźni z prowincji, w odzieży galilejskich rolników. Mesezabel brzęknął miseczką i pokłonił się dokładnie tak głęboko, jak to odpowiadało skromnemu wyglądowni wędrowców i ich niewątpliwie chudym sakiewkom. Uczynił to nie z chęci zysku, lecz z nawyku. Nie zamierzał marnować żadnych przekleństw na tak nieporadne osoby.

Młodszy z dwóch wędrowców chciał przejść, ale starszy go powstrzymał, mówiąc:

— Wspomóż ubogich, albowiem ich jest królestwo niebieskie.

Młodszy zaś odrzekł niecierpliwie:

— W sakwie nie ma miedziaka nawet na ofiarę, rabbi!

— No więc, Judaszu, obdarujmy go tym, co my mamy, a czego on nie ma.

— Jeśli myślisz o pieniądzach, to ich nie mamy.

— Nie myślę o pieniądzach, Judaszu, bo my ich nie mamy, lecz on ma. Myślę o skarbie, za którym tęskni jego dusza.

Pokłon Mesezabela stał się głębszy, kiedy kalkulował, co to będzie za skarb. „Kicham na te blaszane śmieci, za które nie można kupić nawet kielicha wina — myślał. — Ale się długo zastanawiają — dranie, egoiści, oby Bóg dal, żeby i mój Jahwe tak wybierał męki, na jakie ich skarzę, chyba że zamierzają mi podarować całą sestercję, chociaż i za połowę mogliby uniknąć połowy moich kłatw”. W końcu przyszedł mu do głowy, że ci przebrani bogacze mogą mu wrzucić do miszki cały srebrnik ze sre-

brną gębą jakiegoś króla — co tam tak długo robią, oby ich Jahwe pokarał, lecz nie wcześniej niż się zdecydują — albo cały, całutki złotnik, jeśli coś takiego istnieje naprawdę, a nie tylko w bajkach. Zamknął oczy, żeby ich nie widzieć. Słyszał, jak starszy wędrowiec powiedział: „Effatha”, co było wezwaniem do otwarcia czegoś — sakiewki chyba, poczuł lekkie dotknięcie czyichś palców na wargach, usłyszał jakby odkasznienie, a potem już nie.

Kiedy uniósł powieki, tamci dwaj odeszli, a w miseczce, którą beżmyślnie przechylał, nie było więcej pieniędzy, niż przedtem: kwadrant szczęścia i miedziak namiestnika...

Poncjusz Pilat wrócił z Morii bez Waleriusza Gratusa, który zatrzymał się w pracowni pewnego złotnika. Stanąwszy przed karczmą Amonacha, przyjaźnie uśmiechnął się do niemowy. Widział dziwne zachowanie Galilejczyków i rozczarowanie kaleki. „Oto okazja — pomyślał — żeby zwerbować zaufanego człowieka i przysłużyć się ojczyźnie”. Potem, wybraawszy z sakiewki sporej wartości srebrną monetę z profilem Agryppy, wrzucił ją do naczynia żebraka, mówiąc:

— Co powiesz na to, przyjacielu? Mesezabel milczał.

— No, powiedz bez obawy!

Wtedy stała się rzecz nieprawdopodobna, coś, co tak zadziwiło namiestnika Judei, że później wszystkich ludzi Wschodu, czy to władców, czy zbrodniarzy, niewolników czy bogaczy, uważał za nieodgadnionych i trochę nieodpowiedzialnych wedle kryteriów Rzymu. Stało się coś, co niby magnes przyciągnęło wszystkich żebraków z ulicy i gwardię strzegącą Pretorium, coś, czego nie pojął nawet sam przerażony Mesezabel i czego nie mógł powstrzymać, choćby nie wiem jak starał się nie mówić tego, co myśli, a właśnie to, niechaj go Jahwe weźmie w obronę, teraz się działo: język, niemy od urodzenia, zawiązany już w łonie matki, co dzięki tej wyjątkowości dotychczas ratowało Mesezabela, rozwiązał się nagle! Radośnie, wyzywająco, urągłiwe i płynnie wypowiadał jego najtajniejsze myśli, a gardło, przywykłe dotychczas do milczenia, wydawało dźwięczny, czysty głos, który unosił się nad placami, nad dachami domów i synagóg, ponad całym Świętym Miastem, niby okrzyk narodu wybranego.

— Pytasz, co ja na to, Rzymianie? — wrzasnął Mesezabel, aż mu płuca pękały. — Mówię: precz z Rzymem! Precz z Tyberiuszem! Precz z namiestnikiem Judei! Wymordujemy rzymskich łupieżców! Zwalmy pałacynskich Bogów! Za noże, Izraelu! — darł się, z oczyma wytrzeszczonymi z przerażenia i zgroy, w śmieszny wysiłek, żeby nie myśleć i milczeć. I tak męczył się, jak potępieniec, nie przestając bluźnić i uragać Rzymowi, dopóki nie rzuciły się straże, by najpierw przesłuchać go na rozkaz Pilata, a potem porządnie wychłostać i wreszcie rozpiąć na krzyżu.

Pilat już się nie uśmiechał. Pochylił się, żeby podnieść z kurzu kwadrant „Bonus Eventus”, czyli „pieniądź szczęścia”, który niemowa upuścił, szamocąc się z legionistami. Długo chuchał na niego i czyścił połą opończy. Wkładając go do sakiewki, bardzo poważnie, z nienaturalnym przeczcieniem malującym się na twarzy, rzekł do Waleriusza, który tymczasem nadszedł:

— Miałeś rację, szlachetny Waleriuszu! Ten Wschód jest naprawdę piekielnie dziwny.

Przełożyła

MAGDALENA PETRYŃSKA

WHO IS WHO?

DZIĘKI INTERPRESSOWI otrzymaliśmy w tym roku pierwsze w naszych powojennych dziejach „Who is who w Polsce” — wydawnictwo, które wzbudziło tyle zainteresowania, emocji, sporów, dyskusji. Każde szanujące się pismo uważało za punkt honoru podpowiedzenie autorom przyszłych edycji kogo mają uwzględnić, a kogo pominąć; które zawody należałoby potraktować szerzej — a które skromniej. I wydaje nam się, że wbrew określonym we wstępie do tego epokowego dzieła intencjom jego twórców — większość Czytelników „Who is who” potraktowała zamieszczenie w nim czyjegoś nazwiska jako wyraz społecznej czy środowiskowej nobilitacji, zaś nieuwzględnienie — jako wyklądnienie obowiązujących w chwili druku układów personalnych.

Może tak rzeczywiście było, może nie. W naszym „Who is kto w Polsce” kryterium oceny będzie tylko jedno — bezwzględnie przestrzegane: chcemy zaprezentować Wam LUDZI CIEKAWYCH, nietypowych z racji swego stanowiska, poglądów, zainteresowań, funkcji, roli, jaką pełnią w naszej polskiej 37-milionowej rodzinie. Kolejna różnica między naszą rubryką, a konwencjonalnym „Who is who” polegać będzie na tym, że wyboru dokonają SAMI CZYTELNICZY PRZEKROJU, wskazując nam w swych listach ludzi, o których warto wiedzieć, że są — i kim są.

Niektórych znamy wszyscy z relacji telewizyjnych i programów radiowych; niektórych spotykamy na turystycznych szlakach; istnienie innych możemy się tylko domyslać; znamy funkcję, jaką pełnią — nie znamy człowieka.

Namawiając wszystkich Czytelników P. do nadsyłania swych kandydatów do „Who is kto w Polsce” prezentujemy na początku nasze typy, wyłonione w redakcyjnej dyskusji. Każdy z nich wymagał dziennikarskiej dokumentacji, zaś umieszczenie jego nazwiska w rubryce — uwaga, bardzo ważne — ZGODY ZAINTERESOWANEGO.

O uzyskanie tej zgody prosimy Was, nim napiszecie do nas — prezentując kolejną kandydaturę. Prosimy również o listy z samymi osobowymi propozycjami — resztą już zajmniemy się sami w redakcji, pod warunkiem, oczywiście, że otrzymamy od nadawcy adres osoby zasługującej, jego zdaniem, na umieszczenie w „Who is kto”.

Jeśli nam się uda — stworzymy wspólnie pierwszy w naszych dziejach poczet najciekawszych ludzi Rzeczypospolitej. Dzieło warte chyba zachodu.

Oczekując na listy, propozycje i sugestie — przedstawiamy pierwszych CIEKAWYCH LUDZI.

FRANKOWICZ Ryszard

mgr inż. arch., drużynowy dzwonników wawelskich, wicedyrektor Biura Projektów Budownictwa Ogólnego „Miestoprojekt”, Kraków.

Ur. 15 marca 1945, Kraków, zam. Kraków, Wenecja 1. Żonaty, 2 dzieci.

Wykształcenie i kariera zawodowa: matura 1963 w liceum Nowodworskiego i studia do 1969 na Wydz. Architektury Politechniki Krakowskiej. 1970 — Biuro Projektów Kolejowych, generalny projektant Centrum Komunikacyjnego m. Krakowa, obecnie wicedyrektor Biura Projektów Budownictwa Ogólnego „Miestoprojekt” (od 1983).

W 1979, za namową mgr. Wojciecha Bochnaka oraz opiekuna Dzwonników — Franciszka Wydro, debiut w roli jednego z 11 wawelskich dzwonników. Od 1982 drużynowy, waga (94 kg) pozwoliła mu objąć stanowisko „prawej bocznej liny”, pociągająca, której decydują o sile i tonie głosu wawelskiego olbrzyma — z inną siłą ciągnie się linę dzwoniąc na pogrzeb, inaczej na Boże Narodzenie, inaczej na Wielkanoc. Każdorazowo rozhuśtanie „Zygmunta” wymaga zrywania Kurii Metropolitalnej. Frankowicz, podobnie jak pozostali, otrzymuje za każde dzwonięcie 100 zł, traci na wadze każdorazowo 2–3 kg. „Zygmunt” odzywa się przeciętnie 20 razy w roku; rekord padł w 1983: 34 razy. Stanowisko „prawej bocznej liny” jest szczególnie niebezpieczne: poluzowanie zbyt późno, lub zbyt wczesne sprawia, że lina unosi dzwonnik w powietrze.

1 pieczone: poluzowanie zbyt późno, lub zbyt wczesne sprawia, że lina unosi dzwonnik w powietrze.

Sposób spędzania wolnego czasu: wycieczki w Tatry i na Wawel.

Hobby: kibicowanie piłkarskiej drużynie „Cracovii”.

Tel. domowy 22-31-24, praca 22-34-60.

GRABOWSKI Wojciech

ekonomista, ostatni żyjący w linii prostej potomek króla Stanisława Augusta Poniatowskiego.

Ur. 1958, zam. Sulęcín, ul. Zeromskiego 2/4. Kawaler.

Wykształcenie: średnie ekonomiczne, nie pracuje w swym zawodzie, chce założyć warsztat rzemieślniczy. Obecnie na ćwiczeniach wojskowych. Badanie jego drzewa genealogicznego potwierdza, iż poza wszelką wątpliwością jest potomkiem ostatniego króla Polski, z jego morganatycznego małżeństwa z Elżbietą z Szydłowskich Grabowską. Zgodnie z zasadami takich małżeństw, nie może rościć sobie pretensji do tronu polskiego i, jak do tej pory, podobnych pretensji nie zgłasza.

Hobby: badanie historii rodu, w której aż roi się od nie wyjaśnionych tajemnic.

(Wywiad z Wojciechem Grabowskim zamieścimy w jednym z najbliższych numerów P.).

SKOWRONEK Ludwik

dowódca hejnałistów na wieży Mariackiej.

Ur. 30 grudnia 1934 w Rącznej, gmina Liszki, pod Krakowem. Zam. Dąbowa Szlachecka nr 139. Żonaty, 3 synów, 1 córka.

Wykształcenie: zawodowe. Po odbyciu zasadniczej służby wojskowej, w trakcie której nauczył się grać na trąbce i grał w orkiestrze jednostki — powrócił na rodzinne gospodarstwo rolne. 1961–1964 elektryk sieciowy w kilku gminach zakładowych pracy. 1964 do chwili obecnej — w Krakowskiej Zawodowej Straży Pożarnej. 1966 egzamin na hejnałiste, składany przed profesurą Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Krakowie; podjęcie służby hejnałisty na wieży Mariackiej. 1980 — dowódca wieży Mariackiej i 6-osobowej grupy trębaczy.

Stopień służbowy: ogólny. Wypadał przy pracy: pogryzienie przez pluskwiaki (owady gnieźdzące się w gotym guście i zamieszkujące młodymi krakowską Hejnalnicę). Gorący przeciwnik grania hejnału z innego miejsca niż wieża Mariacka — z wyjątkiem pogrzebów strażaków i ludzi zasłużonych dla Krakowa, którym gra hejnał nad otwartym grobem. Świadek odtwarzania hejnału na skrzypcach (inicjatywa „Przekroju”), saksofonie (inicjatywa „Piwnicy pod Baranami”) i fanfartach (sprzed stu lat (inicjatywa TV)).

Sposób spędzania wolnego czasu: gospodarstwo rodzinne.

2 Hobby: patrzeć z góry na Kraków.

Tel. służbowy na wieżę: znamy, ale nie podamy, bo hejnałistom brakłoby czasu na trąbienie.

BEDRACH Stefan

opiekun grodziska „Zawodzie” w Kaliszu.

Ur. 1888 (dokładna data nieznana), 2 synów. Zam. Kalisz, ul. Zawodzie 6.

Wykształcenie: nie posiada. Kariera zawodowa: służba w armii carskiej, praca w kilku fabrykach Kalisza, od wczesnych lat powojennych pracownik Muzeum Okręgowego w Kaliszu, stróż wykopalisk archeologicznych, następnie społeczny opiekun zabytków. Fenomenalny gawędziarz, strażnik zabytkowego kosciółka na Zawodziu, zwolennik szczenia kultu św. Wojciecha, przy równoczesnym deprecjonowaniu innych świętych.

Autor dziesiątek nigdy nie spisanych legend i opowieści, głównie o strasznych nad Prosną duchach. Obdarzony znakomitą pamięcią przewodnik po grodzisku, którego historię interpretuje w jedyny i oryginalny sposób. Najstarszy przewodnik po zabytkach architektury w Polsce.

Sposób spędzania wolnego czasu: oprowadzanie wycieczek nad brzegami Prosną.

Hobby: rozważania nad dziejami rodu Romanowich.
Tel. Muzeum Okręgowe, Kalisz, 736-62.

SOLON Zbigniew

prezes klubu LZS „Juventus” Poraz.

Ur. 24 września 1960, Lesko, zam. Poraz 30, woj. krosnieńskie. Kawaler.

Wykształcenie i przebieg kariery zawodowej oraz społecznej: Zasadnicza Szkoła Zawodowa przy Sannockiej Fabryce Autobusów. Elektromechanik Wydziału Montażu W-3 SFA. 1980–1982 zasadnicza służba wojskowa, w LWP. Od 20 marca 1984 prezes zarejestrowanego w Okręgowym Związku Piłki Nożnej w Krośnie klubu „LZS „Juventus” Poraz — wioski zwanej „połskim Garbowem”. W drużynie piłki nożnej „Juventus” gra na pozycji libero. Inicjator nadania klubowi nazwy „Juventus” i nawiązania kontaktu z klubem o tej samej nazwie w Turynie (Włochy), noszącym to samo co w Porazu barwy klubowe (koszulki w białe-czarne pasy). Poprzednia nazwa klubu w Porazu: LZS „Astoria”.

Drużyna „Juventus” walczy o wejście do A-klasy. Najgroźniejsi przeciwnicy: LZS Jachimierz i LZS Strachocina. Największy dramat na

3 stanowisku prezesa: przegrana 0:1 z „Iwonką” Iwonecz. Największy sukces: transfer lewego obrońcy z klubu „Orzeł” Bazanówka. Wykosci transferu klub nie ujawnia.

Sposób spędzania wolnego czasu: opracowywanie wariantów taktycznych na finał Pucharu Europy LZS „Juventus” Poraz — Bayern Monachium.

Hobby: piłka nożna.
Tel. praca 30-182.

TYKA Stanisław

starszy strażnik Straży Marszałkowskiej Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Ur. 4 kwietnia 1924, zam. Warszawa, Nowolipki 10/37. Żonaty, 1 córka.

Wykształcenie: średnie. Po odbyciu służby wojskowej od 1946 w Straży Marszałkowskiej, jej najstarszy stażem funkcjonariusz. Służba przy sprawdzaniu przepustek i utrzymywaniu porządku w kulisach. Jedną z najbardziej popularnych i charakterystycznych postaci naszego parlamentu. Zna posłów wszystkich kadencji. Ogromny takt osobisty, wymagany na tym stanowisku. Znakomita pamięć wzrokowa: nigdy dwukrotnie nie poprosił tej samej osoby o okazanie przepustki. Znawca protokołu dyplomatycznego, niezastąpiony przy wprowadzaniu do gmachu Sejmu delegacji zagranicznych. Uprzejmy dla wszystkich, zwłaszcza dla posłów, których pamięta od początku swej kariery zawodowej: Antoniego Korzyckiego i Jerzego Ziętka. Wszystkie posłanki — nawet jednej kadencji — zna z imienia i nazwiska. Zwolennik wpuszczania do gmachu wycieczek szkolnych na „żywą lekcję historii Polski”, której towarzyszy przez prawie 40 lat. Kandydatom do Straży Marszałkowskiej lubi przypominać, że owa służba to nie tylko paradowanie w galowym uniformie w trakcie posiedzeń czy pobytu delegacji, lecz również ciężka praca: Straż Marszałkowska dyskuruje w gmachu parlamentu całą dobę, na okrągło.

4 wa: nigdy dwukrotnie nie poprosił tej samej osoby o okazanie przepustki. Znawca protokołu dyplomatycznego, niezastąpiony przy wprowadzaniu do gmachu Sejmu delegacji zagranicznych. Uprzejmy dla wszystkich, zwłaszcza dla posłów, których pamięta od początku swej kariery zawodowej: Antoniego Korzyckiego i Jerzego Ziętka. Wszystkie posłanki — nawet jednej kadencji — zna z imienia i nazwiska. Zwolennik wpuszczania do gmachu wycieczek szkolnych na „żywą lekcję historii Polski”, której towarzyszy przez prawie 40 lat. Kandydatom do Straży Marszałkowskiej lubi przypominać, że owa służba to nie tylko paradowanie w galowym uniformie w trakcie posiedzeń czy pobytu delegacji, lecz również ciężka praca: Straż Marszałkowska dyskuruje w gmachu parlamentu całą dobę, na okrągło.

Sposób spędzania wolnego czasu: lektura książek, kino.
Tel. 28-70-01, w. 163.

ROKITA Edward

nauczelnik gminy Pacanów.

Ur. 29 października 1934, Kielce, zam. Pacanów, ul. Karska 5. Żonaty, 2 synów.

4 Wykształcenie: wyższe, Instytut Pedagogiki w Warszawie. Nauczyciel szkół w Szeceńskim i Kielceńskim, dyrektor (1975–1980) Szkoły Podstawowej im. Kornela Makuszyńskiego w Pacanowie. Od maja 1980 do chwili obecnej nauczelnik liczącej 1600 mieszkańców gminy Pacanów. Inicjator nadania miejscowej szkole imienia autora Koziołka Matołka i osobisty przyjaciel najstarszego koza świata, mieszkającego do tej pory na terenie objętym jurysdykcją E. Rokity.

Przewodzi obecnie budowę wodociągów, dróg i gazyfikacji gm. Pacanów. Za szczególnie istotny problem uważa zwiększenie przyrostu naturalnego (tylko 145 kobiet rocznie chce rodzić w Pacanowie) i rozbudzenie patriotyzmu lokalnego mieszkańców. Autor koncepcji budowy nowego pomnika Koziołka Matołka na pacanowskim Rynku. Ubolewa, że w Pacanowie od 1983 roku nie mieszka ani jeden obywatel o nazwisku Koza.

Sposób spędzania wolnego czasu: lektura „Prztygód Koziołka Matołka” i innych klasycznych pozycji literatury dziecięcej.

Tel. domowy 103, praca — 3.

Francis Bacon twierdził, że uroda przychodzi z wiekiem, ale jemu mówiło się łatwo, bo nie był aktorką filmową XX stulecia. Starzenie się jest przykrym zjawiskiem dla wszystkich kobiet, tym większym dla gwiazd ekranu, którym upływ lat dokumentuje taśma filmowa. Dla Glorii Swanson ukończenie pięćdziesiątki oznaczało rozstanie się z filmowym atelier, Greta Garbo odeszła z filmu jeszcze wcześniej i skryła swą twarz przed obiektywami foto-reporterów.

Ostatnio jednak prasa w krajach zachodnich odnotowuje aktywność pięćdziesięciolatek. Dojrzała twarz przestała aktorki wpędzać w kompleksy, zaś panie, które ukończyły pół wieku życia, nadal pozostają symbolami seksu, grając w popularnych serialach telewizyjnych i — co ciekawsze — są ozdobą salonów. Nie jest to wcale odgrywanie „drugiej młodości” — one po prostu nie zdążyły się zestarzeć.

W OBECNEJ SOPHII LOREN trudno odnaleźć ubogą dziewczynę spod Neapolu, Sophie Scicolone, która została Miss Lacjum, zanim zadebiutowała w filmie „Quo vadis”. Krytykowano jej neapolitański akcent, szerokie usta, za duży nos i znaczną niedowagę, jak na ówczesne gusty. Kiedy wybierała się w 1957 roku do Hollywood — charakterystycy proponowali jej operację plastyczną, aby usunąć defekty urody. We Włoszech widziano w niej konkurentkę popularnej już wówczas Giny Lollobrigidy, o której René Clair powiedział, że jest najbardziej gorącą rzeczą, jaka istnieje w Europie. „Lolo” swoim efektownym biustem zwyciężała rywalki, więc, gdy pojawiła się Loren, mniej porównywano talenty aktorskie obydwu pań, a bardziej zawartość głębokich dekoltyw. Loren w pewnym momencie zdystansowała Ginę, trafiając na swą życiową rolę w filmie



nie w jej życiu nie dzieje się bez wiedzy męża. Na czołowych stronach gazet znalazła się znów w 1982 roku, kiedy zdecydowała się odsiedzieć kilkanaście dni we włoskim więzieniu za sprawę podatkową, aby tylko móc przyjechać do kraju, który opuściła wcześniej wraz z Pontim.

Obecnie Sophia Loren ubiera się u Diora, kapelusze zamawia u Bertheta — kapelusznika królowych, jest damą w każdym geście, starającą się szykiem zdystansować nawet, odtwarzaną kiedyś

świata czuła się tak, jakby w życiu nie przebywała w innym towarzystwie. Rzuciła palenie, podobno spożywa tylko jeden posiłek dziennie, pływa, dużo chodzi. Twierdzi, że zawsze piękną jest kobieta szczęśliwa, zaś dojrzała jest bardziej atrakcyjna od dwudziestolatki. — *Jako dwudziestolatka miałam kompleksy.*

Na ekranie nie było jej przez ostatnie pięć lat, po-



De Siki, „Matka i córka”, za którą w 1960 roku otrzymała Oscara. Gina swój prawdziwy talent odkryła dopiero później, w fotografii. Dla niej porzuciła film na 12 lat, podczas których zdobyła duże uznanie swoimi albumami fotograficznymi. Gina trafiła do kronik towarzyskich, rozwodząc się z mężem lekarzem, Sophia wzbudziła sensację, wychodząc za mąż za dużo od niej starszego, małego, lysego Carla

Ponti, który jednak był liczącym się na włoskim rynku producentem filmowym. To małżeństwo komentowano różnie, choć Sophia na każdym kroku zapewniała, że uczucie skłoniło ją do tego kroku. Z dystansu lat można stwierdzić, że Sophia nie miała charakteru sentymentalnej, słabej kobiety, była w niej raczej siła mężczyzny dążącego do celu, który osiąga ambicją i pracą. Styl życia Sophii

zupełnie nie nadawał się dla prasy bulwarowej.

Przykładna żona, później matka dwojga dzieci, nigdy nie stała się bohaterką skandali towarzyskich, chociaż dziennikarze próbowali urozmaicić jej życie erotyczne kolejnymi partnerami filmowymi. Bodaj że tylko w przypadku Mastroianniego byli bliscy prawdy. Loren dementowała plotki, potem przestała się nimi w ogóle zajmować i nadal utrzymuje, że

przez siebie w filmie Chaplina „Hrabinę z Hongkongu”. Kiedy 28 września 1984 roku, w dzień swoich urodzin, podpisywała w księgarni przy Bulwarze Zachodzącego Słońca w Los Angeles swą autobiografię „Kobiety i piękność”, wśród najbogatszych ludzi tego

wróciła niedawno dość nieudany filmem, w którym wystąpiła ze swoim 11-letnim synem. — *Dzieci są najważniejsze w moim życiu. Często mam uczucie, że zaczęłam żyć, od kiedy stałam się matką. Rodzina jest dla mnie źródłem siły i bezpieczeństwa. Sophia wcale nie uważa swego wieku za punkt zwrotny w życiu. — *Stoję w środku życia i dużo mam jeszcze przed sobą — mówi.**



trzeć w lustro. Uważa, że wciąż ma temperament młodej dziewczyny, chce tańczyć, grać na gitarze i choć głowa, w jej przekonaniu, nie całkiem pasuje już do sylwetki, Brigitte nie chce słyszeć o chirurgii plastycznej. Wolę mieć twarz babci niż betonową maskę.

BB stworzył Roger Vadim i z żadną z późniejszych swoich żon nie udało mu się powtórzyć takiego sukcesu. Bardot zadebiutowała w jego filmie „I Bóg stworzył kobietę”,



a w jednej ze scen wystąpiła absolutnie bez niczego (na owe czasy był to szok, choć teraz trudniej to zrozumieć). 19-letnia aktoreczka o twarzy rozkaprysznego dziecka stała się wkrótce symbolem seksu, nowoczesnego stylu bycia i ubierania, wzorem dla nastolatków. Stworzyła modę na siebie i niebawem europejskie ulice miast zaroily się kopiami „Bardotek”. Do Saint-Tropez zaczęła najpierw przyjeżdżać BB, a za nią całe artystyczne towarzystwo Francji. Pisano o niej traktaty filozoficzno-erotyczne, stała się najlepszym towarem eksportowym Francji. Kręciła dużo, zazwyczaj lekkie komedijki, których była główną atrakcją. Talent dramatyczny odkrył w niej Clouzot w filmie „Prawda”, a właściwie go z niej wydusił. W „Życiu prywatnym” u Malle'a zagrała aktorkę przytłoczoną popularnością i zaszczutą przez ludzi ciekawych każdego szczegółu jej prywatnego życia. To były role bardzo prawdziwe, bo w nich Bardot grała samą siebie. Najmocniejszym atutem BB była wciąż ona sama.

Nie pobita przez żadną ze swoich konkurentek, wycofała się z filmu jedenaście lat temu, nie zwa-

czynałam w filmie, chciałam zarobić mnóstwo pieniędzy. aby kupić sobie gospodarstwo wiejskie, w którym nie zabijałoby się zwierząt. Branża filmowa nigdy nie była moją pasją.

BB, to nie tylko gwiazda filmowa, jak Loren, ale zjawisko socjologiczne. Jako aktorka żyła spontanicznie i nie miała w sobie niczego z pragmatyzmu, i życiowego rozsądku pięknej Włoszki. Trzech mężów, wielu przyjaciół, miliony wielbicieli w różnych krajach. Mówi o sobie: *Zawsze byłam „bardzo” — szczęśliwa, bogata, piękna, podziwiana, znana, ale także bardzo nieszczęśliwa i rozczarowana.* Jej dorosły już syn, wychowany przez ojca, kiedyś znanego aktora — Jacquesa Charriera, niemal nie zna swojej matki. — *Jestem zakochany w Norweżce, moja mama zakochana jest w małych foczkach, więc być może spotkamy się wreszcie na jakimś lodowcu.*

BB mieszka w tej chwili sama i czuje swe osamotnienie. Za filmem nie tęskni. W kinie nie była od siedmiu lat. Dziś aktorzy pokazują się na ekranie z przyszczałą twarzą, mówią slangiem i przedstawiają sceny rozgrywane się w mieszkaniach pomocy społecznej. *To nie skłania do marzeń.* BB stworzyła typ wyzwolonej z mieszczańskiej pruderii dziewczyny. W swoim ideale kobiety odbiega jednak od wojujących sufrażystek. *Kobieta stworzona jest do umiłania życia mężczyźnie, dbania o dom, do gotowania i układania kwiatów w wazonach.*

W tym roku 50 lat skończyła Shirley Mac Laine. Ten rok przyniósł jej Oscara i wielki sukces na Broadwayu, gdzie kiedyś debiutowała w musicalu „Oklahoma”, przykuwając uwagę imponującymi nogami.

*
Joan Collins — bohaterka głośnego obecnie na Zachodzie serialu telewizyjnego „Dynastia”, przekroczyła również półwiecze. Rok temu uznano ją za jedną z dziesięciu najpiękniejszych kobiet świata, a słusność werdyktu potwierdziły fotografie w „Playboyu”.
*

SZÓSTY KRZYŻYK zaczęły także Virna Lisi, Angie Dickinson, Julie Andrews, Jackie Onnassis. Do pięćdziesiątki zbliża się Ursula Andress, i słynne siostry Kessler. Zdjęcia oraz naoczni świadkowie zapewniają, że panie są nadal atrakcyjne.

(WIP)

gwiazdnych
lat



RÓWNIEMIEŻ WE WRZESNIU 50 LAT SKOŃCZYŁA BRIGITTE BARDOT, ale nie widzi w tym powodu do nadmiernej radości.

— *Prawdę mówiąc, wolalabym mieć 30 lat. Ktoś, kto powiedział, że wspaniale jest mieć 50, jest durniem.* BB chętnie odstąpiłaby zmarszczki komu innemu i stara się pa-



TEN SZCZEGÓLNY RODZAJ ZDOLNOŚCI psychicznych zawsze budził zainteresowanie, czasem mające posmak sensacji, niekiedy pełne niepokoju czy nawet zabobonnego lęku. Od lat z górą 100 stał się przedmiotem badań naukowych, prowadzonych zarówno wobec ludzi współcześnie żyjących, jak i tych, którzy zapisali się w dziejach jako stawni jasnowidzcy.

Dziś, już niejako oficjalnie, mówi się, że przewidywanie przyszłości jest możliwe, chociaż dar ten w stopniu bardziej znaczącym posiada bez porównania mniej ludzi, niż zajmuje się tym profesjonalnie. Większość osób, które uczyniły z tego swój zawód, to raczej bystrzy obserwatorzy życia i zachowań swych klientów, niż rzeczywiści postrzegacze przyszłych wydarzeń.

Tak przynajmniej twierdzi angielski psycholog, prof. Gerard Cronsby — od lat wielu zajmujący się problemem prognozowa-

nia przyszłości. Jest on pomysłodawcą i współautorem testów, których wyniki określają tzw. skalę wrażliwości psychotronicznej danej osoby. Składa się na nie ponad 100 pytań oraz czynności, jakie testowany winien wykonać w odpowiedni sposób — rozróżnianie kolorów i figur odwróconych kart do gry, opisywanie zawartości zamkniętych kopert, odczytywanie charakteru ludzi z fotografii, znalezienie kolejnych właścicieli przedmiotów, itp. Podobno przeciętny wynik, jaki może uzyskać nieomal każdy, to 10—15%, prawidłowych odpowiedzi, średnio co 20 osoba odpowiada właściwie na około 25% pytań. Lepsze wyniki należą już do rzadkości, a 90 i więcej procent dobrych odpowiedzi może udzielić zaledwie jeden człowiek na 2 miliony.

Ciekawe, że wśród tych, którzy osiągnęli najwyższą ilość punktów, nie było ani jednej osoby zajmującej się profesjonalnie prognozowaniem przyszłości.

O tym jak żyje, odczuwa siebie oraz innych — reporterce P. mówi pan ANDRZEJ PAWŁOWSKI

PRZEKRÓJ: Należy pan do ludzi określanych niegdyś jako „wiedzacy”, czy „mający dar”. Czy zdolności, jakie pan posiada, to rzeczywiście dar natury?

ANDRZEJ PAWŁOWSKI: Staram się nie uważać tego za coś innego niż określoną dyspozycję psychiczną (jaką jest na przykład dobra pamięć, muzyczny słuch czy zdolności matematyczne), która akurat mnie dostała się w udziale... Nigdy nie czyniłem z tej sprawy swojej profesji, jestem filologiem i nauczycielem akademickim i nie chciałbym zmieniać zawodu...

— Kiedy pan zdał sobie sprawę z tego rodzaju właściwości swej psychiki?

— Tak zupełnie świadomie — to przed trzema laty. Wiąże ten fakt, do pewnego stopnia, z szokiem, jakiego doznałem po wypadku samochodowym. Wkrótce po powrocie do zdrowia znalazłem się jako słuchacz na prelekcji na temat bioenergoterapii. Po odczycie prelegent demonstrował bioenergoterapeutyczne metody leczenia i zachęcał obecnych, aby przy pomocy wahań próbowały postawić diagnozę... Gdy przyszła na mnie kolej, wziąłem wahań, skupiłem się i naraz, spojrzawszy na osobę o której stanie zdrowia powinienem się wypowiedzieć, zobaczyłem ją jak na kliszy rentgenowskiej. I zacząłem mówić — nie tylko o ewentualnych schorzeniach, ale, co wywołało największe zdziwienie słuchaczy, o pewnych jej sprawach i problemach. Było to tak, jakbym wnikał w cudze jestestwo, a przecież widziałem tego człowieka po raz pierwszy...

— Jaka była reakcja obecnych?

— Zdumienie i niedowierzanie. Testowani byli zaskokowani, inni zdziwieni. Niektórzy podejrzewali obliczoną na sensację, z góry przygotowaną scenkę... Ja sam czulem się dziwnie i nie ukrywam, że zacząłem zastanawiać się nad pewnymi wrażeniami, jakich w określonych sytuacjach doznawałem od dzieciństwa.

— O jakich wrażeniach pan myśli?

— Jak daleko sięgnę pamięcią miałem coś w rodzaju instynktownie właściwego podejścia do ludzi; to znaczy — wiedziałem, co należy uczynić, aby dany człowiek działał zgodnie z moimi pragnieniami. Właściwie zawsze, i od każdego, mogłem uzyskać to, czego chciałem. Nie wynikało to bynajmniej z jakiegoś wrodzonego sprytu, ani tym bardziej z życiowego

doświadczenia. W kontaktach z ludźmi zawsze kierowała mną jakby siła mówiąca mi, co i jak mam czynić. Niektórych — bez względu na ich zachowanie — obawiałem się i unikałem, potem okazywało się, że miałem rację. Wiedziałem zawsze kiedy ktoś kłamie. Miałem też duże wyczuwanie nastrojów innych, nawet skrywanych przed otoczeniem. Mogę powiedzieć, że nie przypominam sobie żadnego poważniejszego konfliktu z nikim, przynajmniej w kontaktach prywatnych, a więc wybieranych, bądź przyjmowanych przeze mnie z własnej woli.

— Czy oprócz takich wrażeń zauważał pan u siebie jeszcze coś innego, co mogłoby świadczyć o posiadaniu jakiejś ponadprzeciętnej wrażliwości psychicznej?

— Tak, zawsze, kiedy znajdowałem się po raz pierwszy w jakichś pomieszczeniach, szczególnie w budowlach starych, kiedy oglądałem stare przedmioty, brałem do ręki rzeczy, które posiadali już inni ludzie, doznawałem jak gdyby nagłego natłoku myśli podsuwających mi najrozmaitsze sceny. Czasem łączące się w logiczny ciąg zdarzeń, niekiedy widziane jakby w nagłym błysku. Kolekcjonuję starocie, o historii każdego z przedmiotów mógłbym opowiedzieć, jak również o poprzednich właścicielach. Nieraz było to nawet bardzo interesujące z racji tego, że zawsze lubiłem dawność, a przeszłość to dla mnie fascynująca sprawa. Także wtedy, kiedy znajdowałem się w większej grupie ludzi samorządnie odbierałem ich — nazywam to — prądy psychiczne: lęki, obawy, sprawy bardzo kogoś absorbujące. Silniej odczuwałem cudze przeżycia negatywne i to mnie bardzo męczyło. Musiałem nauczyć się opanowywać podobne doznania, a i dzisiaj zdarza mi się wyczuwać kogoś bezwiednie — zwykle są to osoby medialne, czasem ludzie ciężko chorzy.

— Czy można wnikać w psychikę każdego człowieka?

— Tak, i jest to punktem wyjścia do zobaczenia czyjejs przyszłości, przyszłości, jak również ludzi z tą osobą związanych.

— W jaki sposób odbiera pan tego rodzaju „przekazy”?

— Skupiam się wewnętrznie, zadaję pytanie, odbywam coś w rodzaju trwającej paręnaście sekund medytacji — i dostaję odpowiedź. Czasem widzę jakąś scenę, niekiedy jest to rozświetlenie problemu; zdarza się, że odpowiedź przychodzi jako nagła myśl.

— Odpowiada pan zawsze na czyjeś pytania?

— Nie, niekiedy razem z odpowiedzią otrzymuję jak gdyby zakaz — mówię wówczas, że na to pytanie nie mogę udzielić odpowiedzi.

— Czy pan sam decyduje o tym, co można przekazać pytającemu?

— W rzadkich wypadkach tak, ale najczęściej ten zakaz pochodzi nie ode mnie, lecz jak gdyby z obszaru poza, nazwijmy to obrazowo, naszym wymiarem. Sam zastanawiałem się nieraz dlaczego odpowiedzi na niektóre pytania nie mogłem udzielić, chociaż nie zawsze brzmiałyby przerażająco dla pytającego. Może dlatego, że prawa rządzące przyszłością zostawiają nam nieraz pewien margines na wybór kierunku działania czy rodzaj decyzji. Jeśli idzie o mnie — to przemilczam niekiedy odpowiedzi, kiedy czuję, że prawda byłaby dla kogoś gorsza niż niewiedza. Czasem nie warto wiedzieć o wszystkim dla własnego dobra i spokoju.

— Czy nigdy nie miał pan ochoty złamać zakazu płynącego „z innego wymiaru”?

— Nie, gdyż jestem przekonany, że gdybym tak postąpił, moje powodzenie życiowe uległoby załamaniu, a uważam, że mam za co być wdzięczny losowi.

— A o swoje sprawy i problemy, czy pyta pan w podobny sposób?

— Wspominałem już na początku naszej rozmowy, że mój dar zawsze mnie prowadzi; wiem też sny zapowiadające coś, co ma się zdarzyć w sposób symboliczny, lecz dla mnie zrozumiały; często na większość swoich niepewności dostaję odpowiedź we śnie.

— Czy widzi pan aury wokół postaci ludzi?

— Tak, przy tym niejako samostnie zauważam aury ludzi chorych (zwierzęt także), ale, aby zobaczyć kolor aury — muszę się skupić. Aurę można dostrzec też na fotografii. Nad głowami ludzi, których życie dobiega kresu, widzę krzyż.

— Czy chętnie spogląda pan w przyszłość ludzi proszących o to?

— Raczej nie odmawiam, ale też nie wychodzę z tym pierwszy naprzeciw, nie biorę honorariów, nie mogę także poświęcać spotkaniom tego rodzaju za wiele czasu — jestem mocno związany z moim zawodem, mam też i inne zainteresowania. Piszę, zajmuję się leczeniem przy pomocy bioenergoterapii.

— Posługuje się pan, podczas przewidywania biegu przyszłych zdarzeń, jakimiś akcesoriami?

— Tylko wahań — i to wówczas, jeśli trzeba odszukać na mapie lub planie miejsce, gdzie znajduje się ukryty czy zgubiony przedmiot. Także przy określeniu odległości w czasie jakiegoś zdarzenia sięgam po wahań. Poza tym nie stawiam kart, nie zajmuję się chiromancją, nie układam horoskopów.

— O co pytają najczęściej ci, którzy do pana trafiają?

— Dość często poszukują zagubionych, bądź skradzionych cennych rzeczy, a nieraz i ukrytych skarbów (jest ich więcej niż można by się było spodziewać). Niekiedy pytają o właściwe postępowanie w ważnych życiowych sprawach: wyboru czy zmiany zawodu, miejsca zamieszkania, losów dzieci. Rządziej o własne życie prywatne.

— Czy ma pan umiejętność eksterioryzacji?

— Wiem, jak to się robi, ale nie mam potrzeby czynienia tego. Potrafię oglądać rzeczy na odległość, jeśli oczywiście skupiam się na tym.

— Stara się pan doskonalić swój „dar”?

— Uważam to nawet za rodzaj duchowego obowiązku. Irytuje się sam na siebie, jeśli natłok innych zajęć nie pozwala mi na kilka bodaj chwil dziennie, abym mógł się tym zająć.

— Jak pan sądzi — czy, rozpatrując wszelkie strony posiadania „daru”, warto go mieć?

— Trudno to tak ująć — jestem zdania, że każdego rodzaju zdolności są czymś dobrym dla człowieka i często dzięki nim inaczej i bardziej interesująco układa się nasze życie.

— Wiem, że poza wszystkim ma pan też uzdolnienia literackie. Nie przyszło panu na myśl, że książka o życiu „z darem” byłaby bestsellerem autobiograficznym, tak, jak niegdyś ŚWIAT MEGO DUCHA Stefana Ossowieckiego?

— Chyba na razie jeszcze jej nie napiszę, chociaż miałem wiele interesujących przeżyć, myślę natomiast, że dokonczę wreszcie cykl opowiadań, które piszę od paru lat w wolnych chwilach.

— Jaka jest ich tematyka?

— Science fiction, ale w konwencji bardziej baśniowej niż przerażającej. Nie lubię horroru w żadnej formie, a czasem, niestety, zdarza mi się widzieć rzeczy, które mnie przerażają.

Rozmawiała

BOGNA WERNICHOWSKA

JASNOWIDZEM?



O życiu ich i przepowiedniach opowiadano nieraz historie bardziej niezwykłe, niż to co rzeczywiście usłyszeć można było z ich ust. Ludzka fantazja i pragnienie niezwykłości wynosiły ich na wyższy rozgłosu w całym ówczesnym, cywilizowanym świecie. Nieraz i w kilkaset lat po śmierci sławnych jasnowidzów proroctwa te krążyły w rozlicznych odpisach, apokryfach, czasem wybranych przypadkowo fragmentach. Do historii trafiło kilkunastu ludzi, posiadających owe niezwykłe zdolności. Oto krótkie notki biograficzne o życiu i proroctwach najslawniejszych:

SYBILLA Z KUME — chociaż nie wiadomo czy istniała rzeczywiście jako jedna osoba, czy też jej przepowiednie są zbiorem starożytnych proroctw, imię jej stało się synonimem wieszczki. Kronikarze rzymscy powtarzali w swych dziełach historię o sławnej wróżce, żyjącej w mieście Kume, która miała jakoby proponować cesarzowi rzymskiemu, Tarkwiniuszowi Pysznemu, kupno ośmiu ksiąg z proroctwami dotyczącymi losów świata. Ten odmówił, gdyż cena ksiąg wydawała mu się zbyt wysoka. Wówczas Sybilla, w obecności władcy i dworu, spaliła trzy spośród nich, a za pozostałe zażądała takiej samej sumy. Podobno Tarkwiniusz kupił tylko jedną z nich, a i tę zniszczył ogień podczas pożaru Kapitolu, w 83 r. p.n.e. Niemniej proroctwa Sybilli krążyły po Europie w rozlicznych odpisach jeszcze na początku naszego stulecia. Niektóre z nich dotyczyły nawet losów Polski, między innymi zapowiadały nadejście polskiego papieża. Scenę palenia przez Sybillę ksiąg z przepowiedniami odtwarzali często malarze epoki klasycyzmu — była ona nawet tematem artystycznego konkursu w paryskiej Akademii Sztuk Pięknych w połowie XIX wieku.

NOSTRADAMUS — naprawdę nazywał się Michael de Notre-Dame, i przyszedł na świat w żydowskiej rodzinie królewskiego notariusza w Saint-Remy, we Francji. Żył w

latach 1503—1566. Z zawodu był lekarzem, podobno miał wyjątkowe szczęście w swej profesji, i jako sławny doktor odbył wiele podróży po Europie. Odznaczał się wyjątkowymi zaletami charakteru — niezwykłą uczynnością i dobrocią serca. W dzień przyjmował pacjentów, a nocami miewał widzenia w somnambulicznych transach, których treść spisał później rytmicznym wierszem w dwunastu księgach, nazwanych później *Centuriami Nostradamusa*. Ten wieszcz poemat miał wiele zaszyfrowanych nazw oraz wtrętów po łacinie, grecku, jak również w języku hebrajskim i starofrancuskim. Na jego treść składały się przepowiednie mówiące o losach świata — ze szczególnym podkreśleniem dzieł ojczystej Francji — do XXII wieku włącznie. Posługując się bardzo nieraz wyszukanymi przenośniami, Nostradamus opowiadał również o wynalazkach techniki, losach historycznych postaci, a nawet pewnych doktrynach filozoficznych — jakie zaistnieć miały w bardzo odległej od jego czasów przyszłości. Od czterystu lat próbuje się odczytać *Centurie* i powiązać poszczególne czterowiersze z minionymi wydarzeniami. Podobno największy sukces w rozszyfrowywaniu przepowiedni lekarza z Solon odniósł żyjący w minionym stuleciu historyk francuski, Anatol Letier.

JÓZEF BALSAMO (1743—1795) — włoski awanturnik, alchemik, lekarz, spirytysta i jasnowidz, znany też pod przybranymi nazwiskami: Aleksandra hrabiego Cagliostro i markiza Pellegrino. Jego burzliwe życie było tematem wielu utworów literackich, a także operetki i baletu. Niektóre przepowiednie Cagliostro, polegające na ukazywaniu obrazów przy-

szłych wydarzeń w naczyniu napelnionym wodą, miały być wręcz rewelacyjne, acz przerażające. Jak chce biograficzna opowieść miał on, na przykład, ukazać Marii Antoninie w szklance wody wynalazek doktora Guillotina — ową humanitarną maszynę do ścinania głów. Lekkożylna władczyni zemdlą, lecz oculoona nie zmieniła swego postępowania, mimo ostrzeżeń hrabiego. Cagliostro był również w Warszawie, gdzie witano go owacyjnie, choć nie wszyscy odnosili się z wiarą do jego przepowiedni. Oskarżony o herezję i czary zmarł w rzymskim więzieniu, lecz jego przepowiednie — znane we fragmentach — fascynowały wielce literatów doby romantyzmu.

ANNA MARIA LENORMAND (1772—1842) — zwana *dziewiętnastowieczną Sybillą, wróżką Paryża, wieszczką królów*. Stworzyła własny system wróżenia z symbolicznych kart swojego pomysłu. Wśród jej klientów był Napoleon, cesarzowa Józefina, przywódca francuskiej rewolucji, królowa angielska, a nawet car rosyjski — aby wymienić najważniejszych. Swoje przepowiednie publikowała w książkach — dziś już nie do czytania z racji zagmatwanego stylu i pseudofilozoficznych dygresji. Zdania na temat jej sztuki były bardzo podzielone, niemniej wiele jej prognoz musiało się sprawdzać, czego dowodem był natłok klientów. Była jedną z najbogatszych kobiet ówczesnej Europy, które swój majątek zawdzięczały zdolnościom i pracy. Kiedy zmarła, jej spadkobiercy odziedziczyli ogromną sumę, 500 tysięcy franków w złocie.

STEFAN OSSOWIECKI (1868—1944) — bez wątpienia najslawniejszy polski jasnowidz, wychowany w Rosji, z zawodu inżynier chemik. Jego przepowiedniami pasjonowała się prasa doby międzywojennej, a z jego niezwykłego daru korzystali nie tylko ludzie prywatni, lecz również męzowie stanu, a także prowadzący dochodzenia sędziowie śledczy. Niezmierznie działały na wyobraźnię opowieści inżyniera Osso-

wieckiego o przeszłości różnych przedmiotów — w tym również eksponatów z powstałego w latach międzywojennych muzeum Mikołaja Kopernika. Dotykając starych ksiąg i przyrządów astronomicznych, Ossowiecki opowiadał obrazowo o życiu (także i prywatnym) sławnego astronoma, trzymając w dłoni odłamek meteorytu, mówił o krajobrazach odległych planet. Widywał aury nad głowami ludzi, miał zdolności przenoszenia się w przestrzeni. Jego książka *Świat mego ducha* cieszyła się niezwykłą popytnością. Zginął zamordowany przez Niemców podczas powstania warszawskiego.

EDGAR CAYCE (1877—1945) — amerykański jasnowidz, zwany *śpiącym prorokiem*, z zawodu fotograf ze stanu Kentucky. W transie symbolicznym wygłaszał swoje przepowiednie, jak również odczyty, dotyczące przyszłości świata. Zajmował się także leczeniem naturalnym, z jego porad skorzystało ponad 8 tysięcy osób. Stenogramy z 14 tys. seansów z udziałem Cayce'a zachowała jego sekretarka. Po śmierci jasnowidza, w jego rodzinnym mieście zawiązało się towarzystwo naukowe, zajmujące się badaniem i porządkowaniem spuścizny po *śpiącym proroku*. Edgar Cayce mówił wiele nie tylko o przyszłości politycznej naszego świata, lecz również o pewnych zmianach klimatycznych na ziemi i katastrofach żywiołowych. Widział lody spływające z Grenlandii, zapadające się w morze japońskie wyspy, San Francisco i Los Angeles zniszczone przez trzęsienia ziemi. Ciekawy, a przerażający zarazem jest fakt, że nie tylko jasnowidze, lecz również geolodzy potwierdzają możliwość sprawdzenia się prognoz Edgara Cayce'a.

GERARD CROISSET (1909—1980) — Holender, mieszkaniec Utrechtu, niezwykle utalentowany jasnowidz, z którego pomocy korzystał często Interpol, wzywany był również do wytłumaczenia pewnych faktów z życia holenderskiego dworu. Nieomal wszystkie jego przepowiednie sprawdziły się całkowicie. Zdolności Croiseta badali uczeni wielu krajów, a profesor Tenhaeffem, dyrektor Instytutu Parapsychologicznego w Utrechtu, sporządził liczącą wiele tomów dokumentację, zawierającą protokoły i notatki z seansów i spotkań z Croisetem — wszystkie te opinie zgodnie potwierdzały niezwykłość jego zdolności. □



JAN KALKOWSKI JAK POLACY TAKŻE

◀ Na tej starej rycinie (XIII w.) rybacy w czasie połowu

UKOLBERGA jest takie przysłowie: *Ryba w wodzie — dosyć jeść!* To znaczy — mając rybę, z głodu się nie umrze. Jak pamiętamy, choćby ze szkoły podstawowej — rybołówstwo, obok zbieractwa i łowiectwa, należało do najstarszych sposobów zdobywania żywności.

Brillat-Savarin w rozdziale o rybach (*Fizjologia smaku*) pisze żartobliwie: *Co do mnie, mam dla ryb uczucie podobne do respektu, które rodzi się z wewnętrznego przekonania, że są to stworzenia na pewno przedpotopowe; wielki bowiem kataklizm, który zatopił naszych ciotecznych dziadków około osiemnastego wieku, od stworzenia świata był dla ryb czasem radości, podbojów i wielkich fet.*

Onże wspomina zresztą o teorii, że Ocean jest wspólną kolebką wszystkiego co żywe, że nawet sam rodzaj ludzki narodził się na morzu...

Dalej jest, oczywiście, i pochwała ryby, która w rękach umiejętnego kucharza może stać się niewyczerpanym źródłem przyjemności smakowych.

Wszystko, co człowiek brał od przyrody, by utrzymać swą egzystencję, ulegało z czasem przetwarzaniu, ulepszaniu, służyło już nie tylko do zaspokajania głodu, ale dawać miało także wyrafinowane nawet przeżycia naszemu podniebieniu. Oto klamra w jakiej mieści się konsumpcja ryb: od złowionej gołą ręką lub utluczonej kamieniem i poartej na surowo, gdy jeszcze nie odkryto tajemnicy ognia, po wspaniałego lososia w galarecie, podanego przez któregoś z mistrzów sztuki kulinarnej na półmisku, w plastycznej oprawie godnej mistrzów baroku.

Gall Anonim potwierdza w swojej *Kronice*, że w naszym kraju, gdzie powietrze zdrowe, rola żywności, las miodopłynny były też **WODY RYBNE**. Historyk kultury ludowej Słowian (w tym i kultury materialnej), prof. Kazimierz Moszyński, pisze: *rybołówstwo u Słowian grało bez porównania większą rolę niż łowiectwo*. Oczywiście, tam, gdzie były wody — morze, rzeka i jezioro. Charakterystyczne, że zasięg nazw wielu ryb obejmuje duże obszary Słowiańszczyzny, a nawet wybiega poza te ziemie w kierunku zachodnim (przykłady poniżej). Znacząco to, że i rybołówstwo było wspólną dla tych ludów formą zdobywania żywności. Któż dziś, łowiąc ryby, wie, że w czasach przedpiastowskich większość Słowian wschodnich i znaczna część południowych, używała takich nazw jak: *jesiotr*, *karaś*, *karp*, *kłen*, *lin*, *brzana*, *okoń*, *piskorz*, *plóc*, *sum*, *szczuka* (*szczupak*), *ukleja*, *węgorz*.

U Słowian zachodnich jest *leszcz*, *losos*, *sandacz*. Powszechnie jest znana nazwa *boleń*, a u wielu Słowian — *pastrąg*. Sporo nazw ryb zapożyczonych od Słowian Rumuni i Węgrzy. Zbliżone do słowiańskich są nazwy niemieckie *lososia* (*Lachs*), *uklei* (*Ukelei*), *ploci* (*Plötte*), *sandacza* (*Zander*).

Moszyński: *Obfitość ryb w wodach słowiańskich musiała być kiedyś nadzwyczajna i odwołuje się już do czasów nam współczesnych, do rybołówstwa w XIX w., na Połesiu, gdzie zachowały się warunki naturalne, zbliżone do tych, jakie panowały przed wiekami.*

Uczony ten podaje b. obfita dokumentację techniczną przeróżnych starych sposobów połowów, jakże przemysłowych, także w konstrukcji wielu rybackich narzędzi.

W CZASACH, GDY NIE ZNANO takich metod przechowywania żywności, jakimi obecnie dysponujemy (np. konserwowanie), problem zapewnienia sobie zapasów na gorszy czas był nieraz sprawą życia i śmierci. Najstarszą metodą było suszenie mięsa, jak i ryb. Najpierw na wietrze i słońcu, potem nad ogniem. Od suszenia — krokiem dalej — było wędzenie. Ryby wieszano na poziomych żerdziach pod okapami. Zawieszane pod dachem w kurnych chatkach schły, a ponieważ wędziły się także. Moszyński pisze, że jednym ze sposobów było też kwaszenie nie tylko surowców roślinnych, ale też zwierzęcego mięsa i ryb. Dopiero później konserwowaniu służyć zaczęła sól. Wszystkie te sposoby konserwacji nie dawały pełnej gwarancji trwałości produktów, jak też ich dobrego smaku. Także w późniejszych wiekach często tak obficie dodawano ostrości przypraw, aby zabić zapach podśmierdnego mięsa.

Nie bez powodu więc tak śpiewała drużyna rycerska Krzywoustego:

*Naszym przodkom wystarczyły
ryby słone i cuchnące,
My po świeże przychodzimy
w oceanie pluskające (...)
Nasi ojciec na jelenie urządzali
połowanie,
A my skarby w potwory łowim
skryte w oceanie.*

Zapisał te słowa w swej *Kronice* Gall Anonim, a przypomina obecnie przejmującą *piśnią* Czesław Niemen. Dzieje polityczne świata

jakże często, a może przeważnie, jako motyw przewodni miały walkę o byt, o jedzenie, dlatego tak cenić trzeba również historię gospodarczą.

SZEROKI DOSTĘP DO MORSKIEGO BRZEGU tysiąc lat temu miał więc dla mieszkańców tej ziemi, którą dziś określamy jednym słowem *Polska*, ogromne znaczenie. Brzeg nie był pusty. Plemiona słowiańskie, żyjące na nim od Wolina, Rugii, Szczecina po Hel, Gdańsk i Elbląg, żyły rybołówstwem, o czym świadectwo daje archeologia. Stare zapisy z tamtych czasów mówią też o *niewiarogodnej obfitości ryb*, także tych w morzu.

Ponieważ tak jak i ziemia, również brzeg morski należał do panującego księcia, on miał prawo do tego, co w morzu pluskało i prawa tego mógł się rzekać na rzecz możnowładców, rycerzy, duchowieństwa. Im rybacy płacili, początkowo w naturze, złowionymi rybami ustalone czynsze. O te prawa zabiegało zwłaszcza duchowieństwo i klasztory, bo ryby można było jeść w czasie postów. Zachowały się liczne tego typu nadania z XII i XIII w., jak zachodniopomorskiego księcia Bogusława I dla klasztoru w Grabinie na wyspie Uznam (1177). W Zatoce Gdańskiej i na Zalewie Wiślanym prawo wolnego rybołówstwa otrzymali cystersi z Oliwy (1178 i rozszerzone w 1232).

Klasztory miały z tych przywilejów liczne korzyści, otrzymując powiosłowe, czyli opłatę od każdego wiosła użytego na łodziach łowiących śledzie. Daniny rybaków dostarczały też duchownym i książętom dochodów ze sprzedaży ryb, transportowanych w głąb kraju.

WSPOMNIAŁEM O POSTACH. Stały się czynnikiem dopinającym konsumpcję ryb. W średniowieczu przestrzegane były z całą surowością (za Chrobrzego rycerzowi, który nie dotrzymał postu, groziła kara wybicia zębów) i obowiązywały przez ok. 150 dni w roku! Najbardziej poszukiwaną i najpowszechniej konsumowaną rybą stał się śledź solony, awansujący z czasem na postny symbol, utrwalony w zwyczajach i obrzędach, aż po dzisiejszą „śledziówkę” w ostatni karnawałowy wieczór.

W miarę upływu wieków, to z tymi postami różne bywało i przetwarzało wiele anegdot o tym, jak sprytnie, także duchowni, wynajdywali różne sposoby obchodzenia postnych zakazów. W bogatych kuchniach, wprawdzie bez mięsa i zwierzęcych tłuszczów, ale w dużej obfitości podawano liczne dania już nawet pod wpływem kuch-

ni francuskiej (czasy Oświecenia) z winniczkami i żabimi udkami. Znany był wierszyk z menu na postny posiłek prałata:

*Najprzód szczupak z linem,
I zapić to winem;
Potem bita jajecznicza
I znowu wina szklanica;
A potem grzanka suszona, itd.*

Ale przecież i dziś jeszcze w tradycji Roku Polskiego są co najmniej te trzy dni w roku — *Popielec*, *Wielki Piątek* i *Wigilia* — w których, pamiętając o tradycji, podaje się śledzie, a przed Bożym Narodzeniem — karpie i inne ryby.

Henryk Mąka w swojej dziejnicarskiej monografii, poświęconej morskiemu rybołówstwu, pisze m.in. o naszych średniowiecznych rybakach, jak to ci wolni, zorganizowani w cechach rybackich byli mistrzami w połowach jesiotrów i lososia, a rybacy z Kołobrzegu i Helu celowali w połowach śledzi. Na przełomie XII i XIII w. prawdziwym eldorado śledziowym były wody oblewające pld.-zachodni cypel duńskiej wówczas (obecnie w Szwecji) — Skanii. Ryb było tak wiele, że można było łowić rękami i śledzie z tych wód zyskały sobie opinię najsmaczniejszych. Łowili je i pomorscy rybacy, a kupey ściągali z wielu krajów Europy po te właśnie skańskie śledzie, aż w końcu na handlu tym położyła rękę Hanza i wyparła konkurentów (1369).

MORSKIE RYBY docierały w głąb kraju solone (głównie śledzie), suszone, przeważnie różne dorszowate i wędzone, np. śledzie i lososie. Powstawał wyspecjalizowany handel rybnym, w tym śledziowy. W Krakowie śledziarze mieli swój cech. W XVI i XVII w., gdy nastąpił okres szczególnie wydajnych połowów jesiotrów w Zatoce Gdańskiej i Zalewie Wiślanym — Gdańsk zmonopolizował handel nimi. Jesiotry solone, suszone, a nawet gotowane (potem w zalewie ołowiane) eksportowano m.in. do Anglii; 1500—6000 beczek rocznie (w. XVII). Z jesiotrowej ikry robiono kawior, też eksportowany do Francji, Anglii i na Litwę.

Później, gdy już utraciliśmy bałtyckie wybrzeże, nadal jedliśmy bałtyckie ryby; ze Szczecina, który w XIX w. był dużym ośrodkiem handlu rybą, zakupiono w jednym 1868 roku do zaboru rosyjskiego i austriackiego blisko 170 tys. cetnarów śledzia.

Skoło już zbliżyliśmy się tak bardzo do czasów nam niezbyt odległych, to warto odnotować, że przed pierwszą wojną światową w dawnym zaborze rosyjskim, zwanym potocznie *Kongresówką*, zjadano średnio na mieszkańca 4,8 kg ryb (duże były dostawy z Rosji i krajów bałtyckich). Wskaźnik dość zaskakujący, jeśli porównamy go z rokiem 1962 — 4,2 kg ryb na mieszkańca w PRL. W 1983 spożycie wynosiło 6,31 kg, ale w województwach południowych ok. 4,5 kg, a w niektórych nawet mniej. Bo trochę ponad 3 kg i to w dobrym roku 1980, kiedy przeciętna polska była 7,6 kg.

NIE PRZYNOSIŁA NAM WSTYDU i dawna gospodarka rybna na słodkich wodach. Już u początków polskiego piśmiennictwa rolniczego odnotowujemy b. pożyteczną, wzorową dla ówczesnej gospodarki pracę Olbrychta Strumińskiego *O sprawie, sypianiu, wymierzanu i rybieniu stawów...* (1573). Nicco

RYBĘ JADALI NA WIGILIĘ



To, co złowili
rybacy, ich żony
niosą na targ ▶

wcześniej wydał Dubrawski, we Wrocławiu, po łacinie książkę o hodowli ryb, przetłumaczoną też na polski. Strumieński wspomina o stawach w Czernichowie, Niepołomicach, Babicach, Oświęcimiu, Pszczynie i innych. W pierwszym, polskim podręczniku rolniczym Anzelma Gostomskiego pt. *Gospodarstwo* (1588 w Krakowie), przedstawiającym wzór gospodarowania w warunkach pańszczyźnianio-folwarcznych, są też wskazania co w każdej porze roku należy robić przy rybach. Rej w swym *Zywocie człowieka poczciwego* zachęca do zakładania stawów i chwali korzyści hodowli ryb. Tomasz Dubisz na Śląsku i w Małopolsce w połowie XIX w. jest prekursorem b. nowoczesnej, jak na owe czasy, hodowli ryb, skracając np. cykl hodowli stawowej z 5 do 3 lat. Ma kilku następców. W związku z wyhodowaniem rasy „polskiego” karpia, który robi wręcz światową karierę (szybko rośnie, plenny, b. smaczny), mówi się nawet o „polskiej szkole” hodowli ryb.

Rybacy słodkowodni tworzyli w wielu miastach nadrzecznych swoje bractwa rybackie. Cech warszawski miał statut spisany po polsku w 1532. Handel rybami koncentrował się na targowiskach miejskich. W Krakowie średniowiecznym istniały b. ściśle przepisy wskazujące na dbałość, by żywność była zdrowa. Ryby świeże nie sprzedane w pierwszym dniu, w następnym miały już mieć obcięte pół pletwy, na trzeci dzień — całą i nie wolno już było sprzedawać ich do konsumpcji. Niszczono też ryby solone, jeśli nie nadawały się do jedzenia. W Poznaniu (XVI w.) na Rynku po stronie wschodniej było 8 specjalnych, otwartych kanałów do przechowywania żywych ryb, łowionych przez rybaków w Warcie lub hodowanych w stawach.

TE PARĘ FAKTÓW HISTORYCZNYCH zebrałem po to, aby wskazać, że ryby przez wieki były w powszechnym i codziennym spożyciu. Pozostaje odpowiedź na postawione w tytule pytanie — jak je jadano?

Pierwsze dokładne przepisy znamy dopiero z Czernieckiego *Compendium Ferculorum, albo zebrań potraw...* (1682), pierwszej znanej u nas polskiej książki kucharskiej, która na kilka pokoleń stała się „biblią” kucharzy. Zawierała po 100 przepisów: mięsnych, rybnych i mlecznych. Niektóre były już dość wymyślne, a wśród nich trzy główne sekrety, których znajomość nobilitowała w fachu kucharskim. Jednym z sekretów był szczupak, aby niepodzielony miał głowę smażoną, warzony srodek do rosółu, albo kaszanatu,* a pieczony ogon.

Charakterystyczne jest to 100 mięsnych na 100 rybnych przepisów, co świadczy, jak bogate było rybne menu w ówczesnej kuchni. Ale nim do tego doszło, zanim rozwinął się kunszt kulinarny?

Najpierw jadano ryby, tak jak to i dzisiaj stosują rybacy, gdy nad brzegiem rzeki świeżo złowioną rybę jedzą pieczoną na rozgrzanym w ogniu kamieniu, lub nadzianą na patyk i obrumienioną nad ogniem. Później — także gotowane

i z różnymi dodatkami jarzynowymi. Od gotowania tylko krok dalej i — galarety.

Ryby suszone i solone wymagały wstępnego zabiegu — moczenia. Jak wiemy z literatury kuchennej XIX w. (np. Cwierzakiewiczowa) moczenie stokfisa (suszonego dorsza) to był zabieg dość skomplikowany: 4 dni moczenia w ługu z drzewa brzoźowego lub olchowego, potem po odczuciu — zlewano ług i zalewano świeżym na 3 dni, a w końcu, po wypłukaniu w wodzie, jeszcze 2 dni moczenia w wodzie wapiennej i kolejne moczenie już w czystej wodzie, kilkakrotnie zmienianej przez 3 dni. Razem 12 dni, żeby można było tę rybę ugotować i zjeść!

Ryby wędzone jadło się na surowo, podobnie — marynowane i solone, głównie śledzie. Świeże smażyono też na oleju. Na ogół posiłki rybne nie mieszały u nas z mięsnymi. Ryby w post, mięso w inne dni. Dopiero znacznie później, w XVIII i XIX w., komponowano menu mieszane, w którym zwykłe ryby (na zimno lub gorąco) podawano na wstępie wystawniejszych przyjęć. Bodaj najwcześniej przyjął się solony śledź jako zakąska przed posiłkiem i pod wódkę (miał zaostriżyć apetyt). Pisz o tym Kitowicz (*Opis obyczajów za panowania Augusta III*): *Stawiano na stole przed potrawami w mięsne obiady jedną i drugą parę śledzi surowych na talerzach...*, a to dla zastrzeżenia apetytu. Kitowicz komentuje złośliwie także zalecenie ówczesnych lekarzy — doradzali to, co psuje zdrowie, aby mieli potem kogo leczyć.

WRÓĆMY JESZCZE NA CHWILĘ DO ŚRĘDNIOWIECZA. Przepisów brak, ale na podstawie analogii z zachowanymi recepturami francuskimi czy duńskimi z drugiej połowy XIV w. (np. książka kucharska Tailleventa, kucharka Filipa Walezego, Karola V i Karola VI), możemy przez analogie wyobrazić sobie, że kuchnia np. na dworze Jagielly była już dość wystawna. Wiadomo np., że na obiad króla z księciem Skirgiełłą (Niepołomicze, 7 listopada 1393) zużyto: ryby świeże i inne (bez podania ilości), śledzie (300 sztuk), węgore (dwie kopy). Wśród innych produktów był olej — do smażenia ryb, ocet i cebula do ich przygotowania, a zapewne i inne przyprawy, bo w tymże roku do skarbczyka z korzeniami kupowano pieprz, imbir, szafran, migdały, kwiat muszkatołowy, cynamon, anyż, itp. Na ten sam obiad zużyto groch, jagły, bułki i chleb żytni. Były też jakieś desery, skoro w spisie produktów jest mak, miód, mąka, jabłka i orzechy.

Ale nie tylko na dworze jadano ryby przyrządzane w formie galarety i galantyn, duszone lub smażone i podawane z sosami, z octem, musztardą, cebulą, ziołami, winem i korzeniami. Znałe też były marynaty.

Musiła ta sztuka przyrządzania u nas ryb stać wysoko, skoro niezwykle przychylnie skomentował ją przebywający w Polsce na dworze Zygmunta III Wazy i jego syna, Władysława IV (XVII w.), francuski gość i dworski wyjadacz de Beauplan, pisząc, że właśnie polscy kucharze są mistrzami w przyrządzaniu ryb i górują w tym nad innymi narodami. To są już czasy poprzedzające Zebranie Potraw Czernieckiego.

RYBNE FRYKASY nie były, oczywiście, udziałem każdego stołu. Nawet i powszechność konsumpcji ryb ulegała różnym wahaniom. Np. w XVIII w. coraz rzadsze były ryby słodkowodne na stołach mieszczańskich — skutek upadku dobrze poprzednio rozwiniętej gospodarki stawowej, która, jak wspominałem, znów będzie miała swój renesans w połowie XIX w. Wtedy też szczególną u nas popularność zaczyna zdobywać karp, ryba np. w kuchni francuskiej niezbyt ceniona, a u nas do dzisiaj najbardziej związana z tradycją, głównie poprzez wigilijną wieczerzę.

Ale jeszcze w XIX w., co potwierdzają przepisy u Cwierzakiewiczowej, karp występował jako jedna z wielu ryb i to nie na pierwszym miejscu. Oto jakie ryby proponuje na kolację wigilijną: paszteciki z ryb we francuskim cieście, szczupaka w galarecie, szczupaka duszonego w masle, tegoż w sosie pieczarkowym lub pietruszkowym z garniturem, sandacza lub okonia z jajami, karpia lub leszcza na szaro z rodzynkami, leszcze smażone z kapustą czerwoną lub białą, szczupaka lub karaski smażone. Stąd praktyczny wniosek na dzisiaj, że tradycyjnie na wigilię ma być ryba, ale niekoniecznie karp.

Podobnie zresztą jest i u Ochowicz-Monatowej, która przed I wojną światową zaproponowała kuchnię nowoczesniejszą i bardziej, niż zmarła już Cwierzakiewiczowa, dostosowaną do XX wieku. Jej skromne obiady wigilijne przewidywały już w trzech wersjach: 1) paszteciki z ikry i mleczka na muszelkach, szczupaka z chrzanem, lina smażonego; 2) karasie w śmietanie, sandacza smażonego; i 3) — szczupaka w galarecie, karpia na szaro, lina smażonego z chrzanem. Kto pamięta, potwierdzi, że w latach międzywojennych te sposoby przy-

rzadzania ryb na wigilię były najpopularniejsze, choć karp już dominował.

Trzeba mu więc oddać honor. Oto jak go najczęściej podawano. Na zimno, jako przystawkę: w galarecie lub „po żydowski”. Na gorąco: z wody „po polsku” (gotowany na wywarze z jarzyn, polany na półmisku topionym masłem, posypany siekanym jajem i ze świeżo tartym chrzanem), sauté lub smażony, panierowany w jajku i bulce, z kwaszoną kapustą z grochem lub sałatką z kapusty czerwonej, w szarym sosie po polsku (sos robi się z krwią zabitego karpia i na słodko z dodatkiem piernika, migdałów, rodzyneków, czerwonego wina — sposób b. tradycyjny, „po żydowski”), ale na gorąco (duszony z sosem cebulowo-korzennym), może być jeszcze faszerowany pieczony lub zapiekany w różnych sosach, itd.

JAKAŻ PO TYM WSZYSTKIM KONKLUZJA na dziś i nie tylko z powodu wigilijnej okazji? Dietetycy zdolni są już chyba przekonać, że mięso ryb zawiera pełnowartościowe białko, tłuszcze szczególnie łatwo przyswajalne przez organizm, sole mineralne i witaminy (A, D, E, PP oraz z grupy B). Były lata w minionych czterdziestu, kiedy podejmowano całe kampanie propagandowo-reklamowe na rzecz zwiększenia konsumpcji ryb (sam w nich brałem udział). Kiedy w końcu przyszedł największy krach mięsny (ten z kartkami) częściej niż dawniej zaczęliśmy uzupełniać rybą codzienne menu. Wówczas i ryba zaczęła brakować, a niedorozwinięte przetwórstwo nie może sobie dziś poradzić nawet z tym, co wylowią rybacy (ostatnio — „klęska urodzaju” bałtyckiego szprotu, tej wspaniałej ryki). Ryba dzisiaj, jako składnik naszego menu w skali globalnej, to cały osobny, ogromny problem żywieniowo-ekonomiczny do podjęcia w osobnym omówieniu.

Tu tylko uwaga, by nie traktować ryb jako — z konieczności — uzupełnienia potraw mięsnych, ale jako surowiec najwyższej wartości odżywczej i smakowej. Dlatego trzeba umieć i chcieć dobrze przyrządzać ryby. Wydaje mi się, że dawniej częściej i skuteczniej stosowano tę zasadę, na co chciałem zwrócić uwagę tym, co tu napisałem.

I jeśli byście zapytali, jakie danie rybne zjadłbym najchętniej na wigilię, to odpowiedź, że nie węgorka, ani łososia, ani nawet pstrąga, tylko... pogardzane, nazywane „rybim chwałem” — karasie panierowane, obsmażone na tłuszczu i zapieczone w śmietanie. Ości dużo, ale smaku też.

* Nieoceniony Głogier (*Słownik Staropolski*) wyjaśnia, że tak nazywano w kuchni polskiej rosół do utrzymywania ryb marynowanych: z octu winnego z oliwą, solą, pieprzem białym, rozmarynem i innymi ziołami i korzeniami.

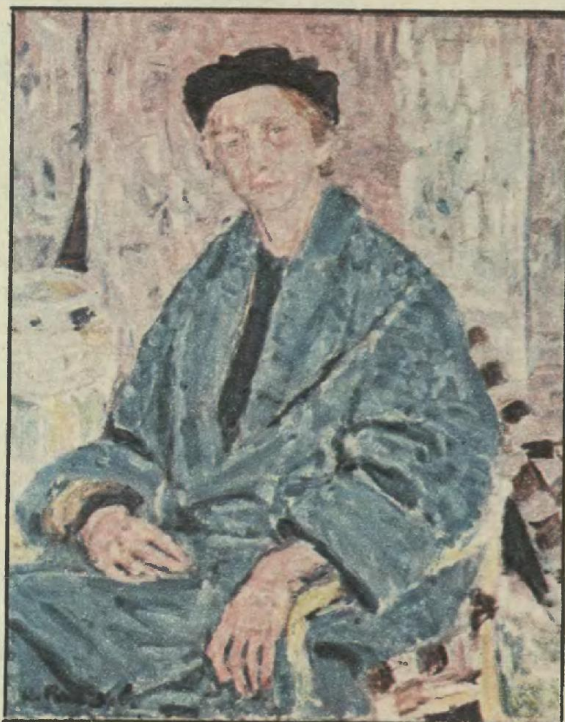
CZTERDZIESTOLECIA „P.”

**Hanna
Rudzka-Cybisowa**

*Portret Heleny Blum,
1960 r.*
Olej, płótno, 100 × 81 cm.
Własność Muzeum Narodowego w Krakowie

Hanna Rudzka-Cybisowa urodziła się w 1897 roku w Mławie. W latach 1918–1924 studiowała w warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych, a następnie w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie pod kierunkiem m. in. profesorów: Miłosza Kotarbińskiego, Ignacego Pienkowskiego oraz Józefa Pankiewicza. W 1924 roku, wraz z grupą malarzy i prof. Pankiewiczem, który utworzył tzw. „Komitet Paryski”, wyjechała do Francji, gdzie pracowała początkowo w Paryżu w powołanej tam filii krakowskiej Akademii, potem samodzielnie. W roku 1930 wystawiła wraz z „kapistami” — od KP, inicjałów „Komitetu Paryskiego” — w Galerii Zak w Paryżu, a następnie w Genewie. W roku 1931 wróciła do Krakowa, gdzie pozostaje i tworzy do dzisiaj stale, poza okresowymi podróżami po Europie.

Sztuka Hanny Rudzkiej-Cybisowej uformowała się w oparciu o idee wspólne całej grupie „kapistów”, powstałe pod wielkim wpływem ich mistrza i in-



spiratora, Józefa Pankiewicza. Celem (pokrótce) uznano osiągnięcie w każdym obrazie najwyższego poziomu jakości artystycznej przy pomocy środków czysto malarskich, więc przede wszystkim koloru. Stąd przyjęło się nazywać bardzo ostatecznie zróżnicowany, lecz wywodzący się ze wspólnych założeń, nurt malarstwa polskiego zapoczątkowany przez „kapistów” — koloryzmem.

Wśród wielu indywidualności w tym gronie (Jan Cybis, Józef Czapski, Józef Jarema, Artur Nacht-Samborski, Tadeusz Piotr Potworowski, Zygmunt Waliszewski) twórczości Hanny Rudzkiej-Cybisowej przypada odrębne, wybitne miejsce. Od przeszło pół wieku podziwiane są na wielu dziesiątkach wystaw w Polsce i poza nią obrazy Wielkiej Damy polskiego malarstwa, a krytycy i historycy sztuki opisują fenomen jej sztuki. Najczęstszym tematem jej obrazów jest natura i otaczająca nas rzeczywistość materialna: pejzaże, martwe natury, wnętrza, kwiaty. Tematy te stanowiły impuls do mistrzowskich rozwiązań problemów czysto malarskich, zawsze znamionujących się odkrywczą świeżością i szlachetną urodą, daleką od wielkiej dekoracyjności. Spośród najbardziej znanych dzieł przypomnijmy tu: z galerii Muzeum Narodowego w Warszawie „Kwiaty w wysokim szkłe”, „Witkowiec-podwórze”; z Muzeum Narodowego w Poznaniu: „Park z ławką”, „Martwą naturę z niebieską filiżanką”,

„Zagrodę wiejską z czarną krową”, z Muzeum Narodowego w Krakowie: „Poronin”, „Pejzaż z Łagowa” i „Martwą naturę z ananasek”. Te i wiele innych przyniosły jej uznanie i rozgłos.

Po wypełnionym konspiracyjną działalnością okresie okupacji, w 1945 roku H. Rudzka-Cybisowa obejmuje profesurę w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych (w katedrze malarstwa), z czasem funkcję dziekana, prezesuje krakowskiemu Oddziałowi ZPAP i Towarzystwu Przyjaciół Muzeum Narodowego w Krakowie. Zostaje laureatem wielu nagród i wyróżnień, w tym w 1955 roku nagrody państwowej II stopnia za twórczość plastyczną, a jedenaście lat później nagrody I stopnia ministra kultury i sztuki za całokształt twórczości artystycznej i działalność pedagogiczną.

Portrety pojawiają się wśród jej obrazów nieczęsto. Zawsze są to portrety ludzi bliskich, przyjaciół; artystka nigdy nie przyjęła żadnego na portret zamówienia. Tym więcej budzą zainteresowania.

Portret Heleny Blum — nagrodzony wyróżnieniem na warszawskiej wystawie „Polskie dzieło plastyczne w XV-lecie PRL” — wybija się spośród innych silnie monumentalizującą kompozycją kolorystyczną, opartą o dominantę partii błękitnego płaszcza portretowanej, ujętej w 3/4 postaci, na tle harmonijnie rozjaśnionej gamy. Wyrazista, choć syntetycznie ujęta, głowa świetnie podkreśla głęboką czerń beretu. T.H.

Kto chce schronić się przed ludzkim losem w czysty artyzm, ten stanie się prędzej czy później i dla artysty zbyt lekkim.

St. Brzozowski

To jest wielka radość stworzyć coś trwałego: stół, który się nie załamie, jeśli się za nim, aczkolwiek był pomyślany tylko dla stawiania na nim talerzy.

T. G. White

Tylko starość ma przenikliwe spojrzenie.

F. Dürrenmatt

Nie ma nic trudniejszego, jak odtworzyć na scenie pokój, który byłby mniej więcej podobny do pokoju, mimo że tak łatwo przychodzi malarzom tworzyć zieleń ogniem wulkany i wodospady.

A. Strindberg

Jest rzeczą obrzydliwą, do jakiego stopnia człowiek potrafi szczerze przymilić się.

K. Irzykowski

Gadanina niszczy milczenie i uniemożliwia mowę. Kiedy się gada, nie mówi się prawdy, choćby się nie kłamało, bo nie mówi się nic.

M. Blanchot

Przed tygrysem człowiek się cufa, psa kopie.

K. Przerwa-Tetmajer

Słupy los chodzą bez przewodnika.

Sl. Wróblewski

Mysli zebrała Stalla V.

CZTERDZIESTA PIĄTA książka Grahama Greene'a

W zimie 1978 Greene odebrał telegram z Panamy: generał Omar Torrijos Herrera pytał, czy pisarz — wówczas 72-letni — mógłby mu złożyć wizytę w Panamie. Wydawało mi się to jedynie zabawną przygodą — pisał później — zainspirowaną zaproszeniem od kompletnie obcego człowieka. Ale zabawa zmieniła się najpierw w surrealizm, a potem w tragedię, zaś ów obcy — w bliskiego przyjaciela.

Gen. Herrera, który zdobył władzę w 1968 roku, był jednocześnie aktorem, dyktatorem i marzycielem — postacią fascynującą dla pisarza. Nie chcę wejść do historii — mawiał — chcę wejść do strefy Kanalu. W 1977 podpisał umowę z prezydentem Carterem. Greene, z panamskim paszportem dyplomatycznym w kieszeni, siedział wtedy na sali jako jeden ze świadków tego historycznego aktu. Potem, z polecenia Torrijosa, brał udział w „misjach” w Belize, Nikaragui i Kostaryce; jego status jako autora „Naszego człowieka w Hawanie” czy „Komediantów” miał podnieść prestiż generała. Zgodnie z tym, co sam pisał, był też pośrednikiem w aferze związanej z porwaniem pewnej ważnej osobistości.

Zwiedził cały dzwony i piękny kraj, a w podróżach towarzyszył mu potomek Majów. José de Jesús Martínez — postać jakby żywcem wyjęta z kart najdziwniejszych opowieści Garcíi Márqueza. Był on profesorem matematyki, handlarzem bronią, języko-

znawcą i sierżantem gwardii przybocznej Torrijosa, oraz autorem pracy „Feoria nieskończoności” (zatytułowanej tak, ponieważ w czasach, gdy Martinez wykladał teorię nieskończoności, brak mu było górnej dyndki). Nie znosił psów, ale miał psa, ponieważ, jak mówił, był to jedyny sposób na to, aby nie uwezwętrzniać uczucia nie-
nawości.

W 1981 roku egzotyczna przygoda Greene'a zakończyła się — dosłownie — katastrofą: Torrijos zginął w katastrofie lotniczej w górach Panamy. I wtedy powstała książka „Getting to know the general” (Poznając generała): portret człowieka, który został nie tylko przyjacielem Greene'a, ale i pierwowzorem stworzonej przez niego postaci. Trudno powiedzieć, gdzie w tej dziwnej mieszaninie autobiografii, pamiętnika i dziennika z podróży kończy się fikcja, a zaczyna dokument. Co jest prawdą, widzianą oczyma pisarza. Znanego ze swego zamilowania do karykatury i wzruszającej dbałości o szczegóły?

W swojej 45 powieści Greene nadal pozostaje mistrzem paradoksu: wierzący, pełen sympatii dla ateistów, odłudek pędzący na zew przygody, człowiek stary, tworzący prozę pełną młodzieńczego wigoru. Z okazji 80 urodzin dziennikarze zapytali Greene'a — dlaczego jego powieści są coraz krótsze? Ponieważ ja sam jestem coraz starszy. Można by dodać: i coraz bardziej niezwykły. (et)

HECA HECA

— Przeprowadzka. Od Wicka do Wacka (stare).

— Poznaj serce bladej twarzy, masz tu pęta, bo mnie parzy (inna wersja; młodzieżowe).

— Nauka nie poszła w las, ale w nas.

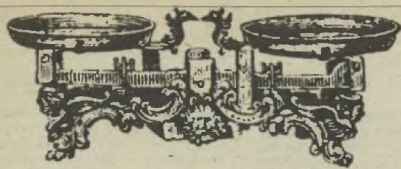
— Jestem ci wierna jak cień, ale w dzień.

— Kończ już obiad, bo chcę podać kolację (święteczne).

— Kiedyś był młody i piękny, a teraz — tylko piękny.

— Państwowe zęby też są zgrzybliwe.

Z listów od Kazimierza O. z Łazan. IM ze Stupskia i Tadeusza J. z Ustki. Pana Bogdanowi P. (Konstancin-Jeziorna) podziękowanie za list, ale w Hecach nie dajemy powtórek karcianych. To jest inny rodzaj.



MIESZANKA FIRMOWA

DUŻO WODY UPLYNĘŁO W NIEMIENIE

(rog) W przyszłym roku podjęta zostanie realizacja filmu „Nad Niemnem” wg Elizy Orzeszkowej. Ekranizacja dzieła będzie miała prawdopodobnie również serialową wersję telewizyjną. W 1939 roku Wanda Jakubowska ukończyła na krótko przed wybuchem wojny realizację filmu na kanwie powieści Orzeszkowej (wg scenariusza J. Jastrowa i W. Iwaszkiewicza), przy współpracy z znakomitymi operatorami — Stanisławem Wohla i Adolfą Forberta. W przedwojennej wersji „Nad Niemnem” wystąpili m. in. Elżbieta Barszczewska i Jerzy Pichelski. Film nie zdążył wejść do rozpowszechniania, później taśma uległa zniszczeniu.

KOBYLIŃSKI PO SZWEDZKU

(rog) W Sztokholmie, nakładem wydawnictwa Bromberg, ukazała się książka zawierająca sto kilkadziesiąt rysunków satyrycznych Szymona Kobylńskiego, w których znakomity rysownik i ilustrator bierze na ostrze swego pióra wydarzenia i zjawiska w okresie od 1980 r. do dzisiaj. Nie będzie to pierwsza zagraniczna edycja zbioru rysunków, tak właściwych Kobylńskiemu i ich wyrafinowanej treści satyrycznej. Książki z jego rysunkami ukazały się dwukrotnie w RFN, jedna została wydana w NRD. Rysunkami warszawskiego twórcy interesuje się również nowojorski syndykat prasowy. Jako ciekawostkę podajmy, że Szymon Kobylński zadebiutował jako... 9-letni chłopiec, którego rysunki zamieszczało przedwojenne czasopismo „Młoda Matka”.

ŚWIATŁO W MROK GÓRALSKIEJ PRZESZŁOŚCI

(rog) Zbieranie materiałów do tego jedynego w swoim rodzaju kompleksowego dzieła wymagało 20 lat. Ów pionierski cykl nosi nazwę „Podhalańskie osadnictwo rodowe”, a jego autorem jest mgr inż. Józef Krzeptowski-Jasinek (z którym współpracowała mgr Maria Kulak), b. naczelnik gminy Kościelisko-Witów. Jako inżynier był kierownikiem budowy estakady pod Gubałówką. Publikacja, o jakiej mowa, będzie się składać z 7 części, a każda z nich z 3, włącznie 2 tomów (łącznie 19!). Zagłębimy się więc w genealogię znanych rodów tatrzańskich, z których wywodzili się Krzeptowscy, Wawrutykowie, Mracielnikowie (Jan Gasienica, 3-krotny wódz Zakopanego w latach 1830–40, był ojcem Sabaly). Cykl przyniesie historię rodów z polan Kościeliskich, Olczyńskich, Zakopiańskich — łącznie 57 rodów, zawierając także genealogię rodów sołtyśkich (m. in. Chochołowskich, Waksmundzkich, Mętusów, Grońskich, Podczerwinski). Bardzo starym rodem jest ród sołtyś Bachledów, wywodzący się prawdopodobnie ze Spiszu (Dolina Bachledzka, Potok Bachledowy). Podhalańskie osadnictwo rodowe sięga XIII w., a w książce Krzeptowskiego-Jasinka przedstawione do XIX w. włącznie. Specjalną część dzieła poświęcono będzie Podhalanom osiadłym m. in. w Czechosłowacji (Spisz i Orawa), na Węgrzech, w Austrii, USA i Kanadzie. Praca Krzeptowskiego-Jasinka gotowa jest w 90 procentach. Konsultacja dzieła — prof. Zbigniew Perzanowski z Krakowa.

Z okazji świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku, tradycyjnym już od wielu lat zwyczajem, wiele krajów emituje okolicznościowe znaczki, w większości z reprodukcjami słynnych obrazów i regionalnych obrzędów. Oto znaczki Anguilli (wyspy w basenie Morza Karaibskiego) z ubiegłorocznej emisji świątecznej, z rysunkami Walta Disneya, z tekstu Charlesa Dickensa.

— 0 —
We Francji ukazał się doroczny znaczek z dopłatą na Francuski Czerwony Krzyż. Przedstawia on obraz Casy „Koszyk z bukietem czerwonych kwiatów”.

— 0 —
Węgry upamiętniły serią 3 znaczków i bloczka 100-lecie Opery Budapeszteńskiej.

— 0 —
Piękne chińskie latarnie-lampiony, o fantastycznych kształtach zwierząt i kwiatów, oglądamy na 4 znaczkach Hongkongu.

— 0 —
Kilka krajów przypomniało okolicznościowymi znaczkami 75 rocznicę przelotu francuskiego pioniera lotnictwa, Louisa Bleria, nad kanałem La Manche.

— 0 —
W konkursie na najładniejszy znaczek polski 1983 r. I miejsce uzyskał bloczek „300 rocznica Odsieczy Wiedeńskiej” wg reprodukcji obrazu

Jana Matejki „Śobieski pod Wiedniem”, w opracowaniu artysty plastyka Stefana Małeckiego. T. G.



FILATELISTYKA



PRAWDZIWA TWARZ CHRYSTUSA

Jedno jest pewne: nie istnieje na świecie podobniejszy od tego portret Chrystusa. Jego autorem jest angielski grafik, Curtis Hooper. Pracował nad nim przez ponad 8 lat, opierając się przede wszystkim na *Calunie turyńskim*. Jednakże odbicie twarzy na kawałku płótna nie wystarczyło, by dokładnie odtworzyć jej rysy. Dodatkową trudność stanowił fakt, że *Calun turyński* przedstawiał twarz człowieka umęczonego i torturowanego. Tak więc artysta konsultował się z lekarzami, dentykami, balsamistami; udał się aż do Palestyny, by obserwować Żydów i Beduinów, i określić dokładny odcień skóry, włosów, wyraz oczu. Takie prace nikt przed nim nie dokonał.

Praca Curtisa Hoopera nie została by zapewne uwieczniona takim sukcesem, gdyby

nie to, że grupa uczonych amerykańskich, współpracujących z NASA, postanowiła użyć wszelkich możliwych sposobów, wykorzystując najnowsze zdobycze techniki, by zgłębić tajemnicę *Calunu*. Przeprowadzając komputerową analizę danych dostarczonych przez *Calun*, wykonali trójwymiarowy odcisk ciała i twarzy Chrystusa. Nigdy dotąd nie zastosowano takiej techniki. Pracując na tym własnym odcisku, Hooper był pewnym rezultatu. Zaczął od gipsowego modelu głowy, a dopiero potem zaczął malować.

(Jog)



PAMIĘTNE ŚLUBY

Adeliny Patti z Ernstem Nicolausem

Tuż przed Bożym Narodzeniem 1873 roku, w Paryżu, odbyła się cywilna ceremonia zaślubin. Sławna diva opery, 35-letnia lub, jak chcą inni biografowie, już 37-letnia Adelina Patti, oddała rękę swemu rówieśnikowi — tenorowi, Ernstowi Nicoladowi. Śpiewak ten, Austriak z pochodzenia, był mniej znany od swojej nowo poślubionej żony, a na scenie występował pod włoskim pseudonimem Ernesto Nicolini.

Zanim muzyczna para zamieniła obrączki, przez lat z górą trzy starali się o unieważnienie poprzednich związków. Adelina była bowiem od roku 1868 markizą de Caux, żoną kornieńskiego dworu cesarza Francji, Napoleona III. Ernst natomiast od lat wielu żonaty był z wiedeńską aktorką. Ten niezbyt wierny mąż, lecz troskliwy ojciec pięciorga dzieci poznał pannę Patti w 1865 roku, jeszcze przed jej ślubem z markizem i zakochał się w niej na za-

bój, acz z początku bez wzajemności.

O PANNIE MŁODEJ

Anne Moriollles: „Adelina Patti — żywot niezwykły”. „Miała wówczas lat trzydzieści kilka, była u szczytu sławy, i mimo hiszpańsko-włoskiego pochodzenia — w pełnym rozkwicie dojrzałej urody. (...) Głos jej zachwyczał nie tylko miłośników opery, lecz również dyrektorów tych mniej lub bardziej szacownych instytucji, ale kapryśny sposób bycia i wybuchowy temperament doprowadzał do rozpaczy wszystkich, którzy pracowali z nią w towarzystwie boskiej Adeliny. (...) Adelina niewiele miała ogólnego wykształcenia, za to wiele sprytu, a więcej jeszcze tupetu. Jeden z wiedeńskich krytyków napisał złośliwie po jej występie w Burgtheater, że Patti ma mózdzek podobny do koszyka z przyborami do szycia, w którym w beładzie kłębią się tryle, kantyleny i inna muzyczna pasmanteria. Adelina nie czytała żadnych książek, nie sięgała po gazety, wydarzenia bieżące — ze świata opery rzecz jasna — referowała jej zaufana garderobiana. (...) Adelina lubiła towarzystwo wytwornych dżentelmenów — wówczas stawała się uwodzicielska i zalotna, ale bardziej jeszcze kochała brzęk złota. Nikt nie przypuszczał, że, aby po raz drugi zostać mężatką, będzie

musiała (i zgodził się na to) zapłacić bytemu mężowi tak wysoki okup”.

O PANU MŁODYM

Anne Moriollles: „Adelina Patti — żywot niezwykły”. „Ernst Nicolas był mężczyzną przystojnym, lecz jakby mało efektywnym: nikt w sferach teatralnych, ani poza nimi nie słyszał, aby pan Nicolas potrafił zachować się w bardziej zaskakujący czy szokujący sposób. (...) Żonę swą — była aktorkę — szanował, dzieł aktorkę — poza tym był miłośnikiem dobrej kuchni, muzyki — a od czasu do czasu szepotał o jego przelotnych związkach z uroczymi chórzystkami czy baletniczkami. (...) Jego słabość do panny Patti, istoty w gruncie rzeczy tak bardzo do niego niepodobnej, zdziwiła i zaskoczyła wszystkich, a najbardziej zaczęła panią Nicolas. (...) Kiedy zorientowała się ona, że nie chodzi tu o bladość, postawiła twarde warunki: Ernst miał zerwać romans z markizą de Caux i wrócić w domowe progi. (...) Przez prawie dwa lata Nicolas usiłował wypłacać się ze złotych siideł stawianych na niego przez zdeterminowaną primadonnę, później — skapitulował. (...) Odbyła się rozmowa dwóch kobiet, podczas

której Adelina Patti zaproponowała żonie kochanka... okup. Jak twierdzili ówczesni plotkarze, pani Nicolas otrzymała na posag dla dwóch córek oraz studia dla trzech synów sumę 500 tys. franków w złocie. (...) Pikantnym szczegółem całej sprawy mógł być fakt, że 250 tys. franków w złocie zażądał za zgodę na rozwód mąż Adeliny, markiz de Caux. (...) Ku zdumieniu wszystkich, mająca opinię wcale nie rozrzućnej, gwiazda opery zapłaciła i tę sumę bez szemrania, tłumacząc potem, że dziwnym byłoby, gdyby za pozbycie się nieznoszonego męża nie zdecydowała się zapłacić sumy bądź co bądź o połowę niższej niż za wolność ukochanego mężczyzny.

Mąż, za którego zdobyła boska Adelina zapłaciła tak zawrotne sumy, okazał się być wielce czułym, dobrym i ze wszelkim miarą odpowiednim. Już jako wdowa — pod koniec życia — pani Patti z rozrzewieniem wspominała 12 lat spędzonych w duecie ze swym tenorem, który, jak twierdziła, był najlepszym człowiekiem, jakiego

spotkała w życiu. Warto dodać, że wykup Adeliny wszystkim przyniósł znaczne życiowe korzyści: pani Nicolas wkrótce po rozwodzie poślubiła cesarskiego radcę von Pronaya, który ponoć jeszcze w czasach pierwszego małżeństwa był jej przyjacielem i żyła z nim, ku obopólnemu zadowoleniu, prawie ćwierć wieku w ładnym pałacyku w pobliżu Wiednia. Eks-mąż primadonny, markiz de Caux — dzięki odszkodowaniu mógł uratować resztę swych zrujnowanych wojną francusko-pruską posiadłości i spędzić wiele lat w dobrobycie; dzieci Ernsta Nicolasa również skorzystały z pieniędzy drugiej żony ojca. Jedną z córek poślubiła nawet księcia Schwarzenberga, co dla dziewczyny z artystycznej rodziny było zawrotnym towarzyskim awansem. Synowie pokończyli wyższe studia i zdobyli solidne życiowe pozycje. A dawna panna Patti nigdy nie żałowała swego kroku.

(BoWer.)

WIELKA ŚWIĄTECZNA ZAGADKA „PRZEKROJU” pt:

MAGIK

w kremowym
cylindrze

Po uważnym przeczytaniu tekstu zagadki należy metodą logicznych przemyśleń i eliminacji odpowiedzieć na jedno jedyne pytanie: kim jest magik w kremowym cylindrze? Należy określić jego narodowość.

Odpowiedź należy wpisać w zamieszczonym kuponie i nadesłać na adres redakcji „Przekroju” w terminie do dnia 1 II 1985. Należy pamiętać, oczywiście, o wpisaniu swego imienia, nazwiska i adresu.

Prawidłowe odpowiedzi wezmą udział w losowaniu następujących nagród:

I Telewizor kolorowy (przenośny)

II 10 albumów (wspaniałych!) pt.: „Wieliczka — solny skarb”

SPRÓBUJ ROZWIĄZAĆ • WARTO • DLA ZWYCIĘZCY KOLOROWY TELEWIZOR

1. Czterech światowej sławy magików, panowie A, B, C i D, każdy w magicznym cylindrze na głowie, siedzi w czterech rogach pulmanowskiego przedziału pierwszej klasy.
2. Jadą Orient-Expressem na „Magic Festival”, wielkie sympozjum sztukmistrzów.
3. Dwóch siedzi przy oknie, a dwóch przy drzwiach.
4. Rozmieszczeni są w taki dość dziwny sposób:
5. Magik Anglik siedzi na lewo od pana B.
6. Pan A ma cylinder koloru fioletowego.
7. Magik w czerwonym cylindrze siedzi po prawej stronie magika Niemca.
8. Pan C jest jedynym magikiem, który pali cygaro.
9. Pan B siedzi naprzeciw magika Amerykanina.
10. Magik Francuz ma szyję owiniętą szalikiem, a na głowie zielony cylinder.
11. Magik Anglik wygląda przez okno, które jest po jego lewej stronie.
12. Który z nich ma na głowie kremowy cylinder?

KUPON

WIELKIEJ ŚWIĄTECZNEJ ZAGADKI „MAGIK W KREMOWYM CYLINDRZE”

Imię _____
Nazwisko _____
Adres _____
Magikiem w kremowym cylindrze jest _____



proza

Nadine Gordimer: ZAPACH KWIATÓW I ŚMIERCI. *Afryka dwudziestego wieku* — pisze murzyńska autorka z Płd. Afryki — to miejsce i czas mojego życia. To się z niej wynurza, to się w nią zanurzając, zaczęłam pisać moje pierwsze krótkie opowiadania. Obecnie piszę coraz mniej opowiadań, a coraz więcej powieści... W tym tomie jest właśnie przegląd jej twórczości nowelistycznej (30 opowiadań). Ta proza, ceniona dla walorów literackich, przybliży nam codzienność życia w Południowej Afryce, o której tak często czytamy w depeszach prasowych. Przetłumaczyli z angielskiego: A. Glinczanka, B. Kuczborska, P. Niklewicz. (Książka i Wiedza, 30 tys., s. 446, cena 200)

Piotr Szulkin: O BI, O BA i inne prawdziwe nowele filmowe. W książce są cztery. Zostały sfilmowane trzy: *Golem* (1979), *Wojna światów* — następne stulecie (1980), tytułowa *O BI, O BA* (1985) wchodzi na ekrany. Te pełnometrażowe filmy fantastyczne, podobnie jak inne według scenariuszy i w reżyserii Szulkina, zdobyły liczne nagrody na międzynarodowych festiwalach. W „P.” 2060 drukowaliśmy fragment jeszcze nowszego scenariusza, też w fantastyce realiów przyszłego stulecia, autorstwa tego plastyka, scenarzysty i reżysera (po łódzkiej Szkole Filmowej). Jak na 35 lat życia — piękny dorobek! (Wyd. ALFA, 80 tys., s. 296, cena 150)

Dina Kallinowska: SOBOTA. W serii KIK-u powieść radzieckiej pisarki, która uprawiała różne zawody, także techniczne, by po debiutach prasowych w 1938 poświęcić się literaturze. W tej powieści pisze o życiu odeskich Żydów, ich burzliwych dziejach, a węzłowy punkt akcji to przyjazd Grisy, który w czasie wojny domowej uciekł do Ameryki. Spotkanie po przeszło 50 latach. Przetłumaczyła M. Okołów-Podhorska. (PIW, 20 tys., s. 134, cena 100)

Andrzej Braun: PIEKŁO WYBRUKOWANE i inne opowiadania (11). Autor (ur. 1923) po kilku tomach wierszy publikował jedną z pierwszych tzw. powieści produkcyjnych (*Lewanty*; 1952). W tym zbiorze tytułowa krótka powieść publikowana była jako tzw. rozrachunkowa w 1957. Prozę kółka krótkich opowiadań utworzy dłuższe. Także nawrót do lat okupacji. (Czytelnik, 10 tys., s. 563, cena 350)

wspomnienia

Hanna Odróża-Szukiewicz: POWSZECHNE DNI NIEPOWSZEDNICH LAT. Kiedy wybuchła wojna, autorka była studentką III roku medycyny. W swych wspomnieniach pisze o rodzinie, radościach dzieciństwa i młodości, i o tym, jak doszła do medycyny. Pozniej relacja z tragicznych lat, b. osobista, a nie pozbawiona dokumentalnych wartości. Wojna, okupacja, powstanie, obóz pruszkowski — przeżywanie przy szpitalnych łóżkach (bywała zamiast nich goła ziemia lub podłoga). (Wyd. MON, 20 tys., s. 271, ilustracje na wkładkach, cena 100)

Kazimierz Korzeniewski: DRUGIE OBLICZE WOJNY. Pamiętnik więźnia obozu koncentracyjnego nr 59216. Wspomnienia otwierają opis pobytu w więzieniu na Zamku Lubelskim. W sierpniu 1942 — transport do Oświęcimia i kolejna relacja z tego piekła; niby podobna, a przecież inna, jak los każdego człowieka. Od sierpnia 1944 w Sachsenhausen, i w końcu praca więzienna w zakładach Siemens w Berlinie. Wyzwolenie. (KAW-Rzeszów, 20 tys., s. 204, cena 65)

felietony

Juliusz Kydryński: POWRÓT DO NATURY. Kołojny (po łuku) i mgła oraz w łupinie orzecha) tom felietonów, które autor, publicysta, pisarz, tłumacz, publikuje od lat w „Dzienniku Polskim”. Te pochodzą z lat 1978–1983. Nie są ułożone według chronologii druku, ale w nadanym przez autora porządku logicznym. (Wyd. Literackie, 5 tys., s. 243, cena 130)

problemy polonijne

Andrzej Kapłuszewski: ASYMLACJA I KONFLIKT. Z problematyki stosunków etnicznych w Stanach Zjednoczonych Ameryki (W serii Zeszytów Naukowych UJ — Prace Polonijne). Tematem tej socjologicznej pracy są procesy, prowadzące do powstania amerykańskiego narodu, teorie i ideologie na temat asymilacji oraz konflikty między grupami etnicznymi w związku z procesami asymilacji. Autor sporo uwagi poświęca Amerykanom polskiego pochodzenia, a szczególnie mało znanym stosunkom polsko-murzyńskim i polsko-żydowskim. (s. 235, cena 180)

humor

Jerzy Wittlin: PRZEDSTAWIAMY HUMOR POLSKI — PORY ROKU. Już IV rozszerzone wydanie tego wyboru, w którym według pór roku ułożone są: proza, satyryczne wiersze i fraszki ilustrowane przez Karola Ferstera. Parada współczesnej satyry. Ponad 50 autorów. Uśmiech na zimowe wieczory. (WAI, 50 tys., s. 418, cena 120)

informatory

INFORMATOR HARCERSKI w opracowaniu i pod redakcją hm. Wacława Wierzejskiego, który już w pierwszych latach po wojnie był w Krakowie inicjatorem i autorem podobnych wydawnictw (ostatnie na rok 1959). To nowe wydawnictwo przypomina trochę (dzięki części ogólnej) przedwojenne „Kalendarze Iskier”. Jest to jednak przede wszystkim informator harcerski, zawierający wiadomości z historii harcerstwa i wszystko, co dzisiaj harcerza i zuch powinien interesować. Liczne ilustracje barwne na wkładkach. (Wyd. Kom. Chor. ZHP im. Kościuszki w Krakowie, 40 tys. egz., s. 416 drobnego druku, cena 140)

INFORMATOR OGRODNICZY na 1985 wydawany od lat nakładem Tow. Ogrodniczego w Krakowie. Zawiera po części kalendarzowe działy poświęcone sadownictwu, warzywnictwu (m. in. o uprawie papryki, salaty przez cały rok, melonów), kwiaciarstwu (tym razem — głównie o różach), porady konsumpcyjne, rozmaitości, informacje. (PWRiL, 100 tys. egz., s. 320, cena 120)

PS OD RUBRYKI: z przyjemnością informujemy, że JERZY WALDORFF otrzymał dyplom honorowy Tow. Miłośników Historii i Tow. Przyjaciół Warszawy za tom eseju CZARNE OWCE DLA APOLLA, jako wybitną postać warszawianów okresu 1983–84. Gratulujemy i przypominamy, że te wspomnieniowo-dokumentacyjne eseje ukazywały się w tym roku. (Wyd. Literackie, 30 tys., s. 310)

Powieść **Porfirion Osielek** Czyli **Klub Świątkradców** napisał Gałczyński prawdopodobnie w roku 1926, mając za sobą 21 lat. W druku ukazała się w trzy lata później, w cenionym wydawnictwie F. Hoesecka.

Po wojnie, po powrocie Gałczyńskiego do kraju, znany aktor Jan Cieciński, pamiętając powieść z dawnych czasów, zaczął namawiać autora na zrobienie adaptacji scenicznej „Porfiriona”. Gałczyński stanowczo odmówił. *Ja już swoje zrobiłem — powiedział — ale jeśli chcesz, to zrób sam.* Cieciński zgodził się pod warunkiem, że Gałczyński mu pomoże. Ale na razie nie z tego nie wyszło. Ponieważ żaden z nich nie dysponował egzemplarzem książki.

Dopiero po śmierci (1953) Konstantego, pani Natalia znalazła przypadkiem „Porfiriona” i wiedząc o rozmowie Gałczyńskiego i Ciecińskiego posłała mu egzemplarz z dedykacją.

Jan Cieciński wspólnie z żoną Danutą

zrobili adaptację sceniczną „Porfiriona” i 4 listopada 1958 roku sztuka w reżyserii Ciecińskiego miała swoją premierę w Teatrze Kameralnym w Warszawie. Warto dodać, że muzykę do tego przedstawienia skomponował wybitny kompozytor, Zbigniew Turski, a dekoracje i kostiumy projektowali Michelle i Lech Zahorscy. Spektakl cieszył się dużym powodzeniem.

Ponieważ dzieło Gałczyńskiego w tym scenicznym kształcie nigdy nie było publikowane, postanowiliśmy udostępnić je Czytelnikom, wykorzystując propozycję i pomoc pana Jana Ciecińskiego, który sceniczny egzemplarz „Porfiriona” szczęśliwie przechował. Proszę zauważyć, jakie to szalenie podobne do „Zielonej Gęsi”. Sztukę będziemy drukować w odcinkach. Dziś pierwsza świąteczna porcja.

JAK ZA NAJLEPSZYCH CZASÓW „ZIELONEJ GĘSI”, DZIŚ W „PRZEKROJU” ZNOW KOSTANTY ILDEFONS GAŁCZYŃSKI!

OSOBY:

PORFIRION OSIELEK — młody i chętny
WŁOCZĘGA — kataryniarz — strażnik — żebrak — autor — starszy od Osieleka o 2-3 lata
WIDOWA HEKSENSZUS
EPIFANIA — jej córka
PANI TUNDAL — kawiarniana intelektualistka
FILOMELA
MYRMIDON — kot — kociak
HILDEGARDA
WULKAN — stary pieczeniarsz, astrolog
DRAB — służący u wdowy Heks.
KAPITAN HUZARÓW ŚMIERCI
SOFT — inspektor policji
KOMENDANT POLICJI — skłonność do śpiewu (opera)
RÓŻDZKA — właściciel sklepu muzycznego — śpiący staruch
KALWUS — oberzysta
MORDERCA — stary roman-tyk
DYREKTOR TEATRU ANIOŁ
HEROLD MIEJSKI
MARYNARZE, **MORDERCY**, **POLICJANTY**

Prolog

Kurtyna przedstawia łeb Osielek — zwierzę trzymające w pysku trzcinową łaskę o gałce na kształt Osieleka, z wysuniętym jeżorem. Muzyka — uwertura. Po podniesieniu kurtyny scena przedstawia Plac Kuglarzy w nocy.

Osielek przechadza się w cylindrze i płaszczu; widać jego cień na domach. Wymachuje łaską piekielnego młynka.

o-o-o-o-o-o

OSIELEK
(do siebie)

Hm! Hm! A więc to już jutro. Jutro wypełnią się dni moje, bowiem mam pojąć za żonę Epifanię zezowatą.

(piekielny młynek i okrzyk uderzonego niechcący Włoczęgi z łupiną arbuza na głowie)

WŁOCZĘGA
(budzi się i zrywa)

A kysz, ty pomocię diabła!

OSIELEK

Ach, ja pana chyba już gdzieś widziałem?

WŁOCZĘGA

Jak śmiałeś mnie uderzyć, niedonoszony bękarcie, wszo centaury!

OSIELEK

Czy pan chce, abym pana spoliczkował?

WŁOCZĘGA

Pan mnie spoliczkuje? Ja cię zabiję, rakarzu, ścierwo przegniłe, napletku Apollina! Zabiję, jeśli piśniesz jedno słowo!

OSIELEK

(daje mu w twarz — Włoczęga przewraca się bez słowa i leży. Osielek opląda go)

Dostałeś? Dobrze! Po co znów mi włazisz pod rękę! Hm, hm! Ten płaszcz kupowany był chyba w czasach, kiedy nie było jeszcze Placu Kuglarzy — a te nogi wyciekają spod niego...

(sposstrzega plik rozsypanych kart)

Co to? Karty!? Nie. Kolorowe obrazki! Cóż to? Co to?

(z rąk wypada mu łaska, oczy rozszerzają się, siada na podłodze i zaczyna oglądać)

To ja u Róźdzki? W sklepie instrumentów muzycznych?

o-o-o-o-o-o

Obrazek 1

U Róźdzki

(Osielek głaszcze się po udach i okrągło, i śpiewając zaczyna)

OSIELEK

Właściwie mój panie Róźdzka, powinienem pana zadenuncjować za fałszowanie włoskich skrzypiec, ale pana nie zadenuncjuję, bo jestem człowiekiem dobrym i sam na sumieniu mam to i owo. Przyszedłem do pana kupić trąbkę, którą nazywają helikonem. Trąbka, o której wspominałem, jest mosiężna, ma głos wysoki i cenę niską.

RÓŻDZKA

(który był się obudził)

Co to, to nie, śliczny panie Osielek. Trąbka gra ani wysoko, ani nisko, a kosztuje słono.

(wyciąga stary, zielony cennik, chrząka)

Helikon Nr 4 150 sesterceji, można dodać pachnące mydełko (do kota) Myrmidon, przyniesi Helikon Nr 4 i mydełko pachnące oliwanem.

(kot wychodzi)

Niech pan będzie spokojny, śliczny panie Osielek. mogę pana poczęstować rosółem. Widzi pan, mój Myrmidon to jest kreatura bardzo powolna,

głęboko myśląca i dlatego może wrócić z helikonem za 5 minut, albo jutro, kto go tam wie, dlaczego taki niemrawy? Ja bym panu sam trąbkę przyniósł, ale (cicho) ja się tam boję wejść.

OSIELEK

Gdzie tam?

RÓŻDZKA
(w stronę kota)

A tam.

OSIELEK

Śmieszny pan jest człowiek i neurastenik w dodatku.

(wychodzi kot i przynosi co trzeba w zębach)

A co to jest?

RÓŻDZKA

To helikon, jak pan widzi.

OSIELEK

Aaa — halikon. Zaraz panu zapłacę.

RÓŻDZKA

Tak, miły panie, za aspi-racje artystyczne trzeba płacić.

OSIELEK

Toteż płacę.

(wychodzi)

Obrazek 2

Na ulicy

ŻEBRAK

Mógłbyś mnie wspomóc, stary kundlu!

(Osielek gra w ucho Zebrakowi, a ten młdziej. Przechodzi Filomela. Osielek patrzy oczarowany i wzruszony)

OSIELEK

Hallo!

(Filomela upuszcza torebkę)

Aut mea, aut nulla (z ręką na sercu). Pozwoli pani, że się przedstawię, jestem Porfirion Osielek, false Hilarion Gaff. Fabrykant sztucznych nosów i noktambulacji.

FILOMELA

Pan jest impertynent.

OSIELEK

Ależ ja nie jestem impertynent, proszę pani, jestem śliczny pan Osielek. Gdyby pani...

FILOMELA

Pan jest cynik.

OSIELEK

O pani, gdyby pani...

FILOMELA

Pan jest zbój!

OSIELEK

Pani, ja panią tak!...

FILOMELA

Prez, bo zawolałam konstabla!

OSIELEK

Porfirion Osielek false Hilarion Gaff.

KOMISARZ

Aha... false... śliczne nazwisko...

OSIELEK

Ależ panie szefie!... Komisarz

Proszę się nie tłumaczyć, jestem sangwiniczny.

OSIELEK

Ależ panie szefie, ja się tak nazywam z urodzenia.

KOMISARZ

Tym gorzej dla pana, jesteś pan sfalszowany w tonie matki. Sekretarzu, pisac!

SOFT

(pisze, skrzypiąc piórem)

Sfalszowany w tonie matki... Wyznanie?

OSIELEK

Wierzę w anioła imieniem Ezrafel.

SOFT

Anioła... Hm. Znaki szczególne?

OSIELEK

Mam się rozebrać?

KOMISARZ

Nie. Niech pan tylko zdejmie melonik.

(Osielek zdejmując melonik i wtedy wypada helikon)

A to co?

OSIELEK

To nie panie dyrektorze, to helikon.

KOMISARZ

Nieprawda, to jest maszyna piekielna. Mój panie, pan jest anarchistą. Sekretarzu, napisz: anarchista z maszyną piekielną imieniem helikon.

OSIELEK

Ależ panie szefie, jestem...

KOMISARZ

Proszę się nie tłumaczyć! Dlaczego pan uprawia miłość na ulicy?

OSIELEK

O, panie szefie, ona była taka piękna!

KOMISARZ

Tak, tak, a czy pan wie, że w naszym państwie te rzeczy są niedopuszczalne?

Czy pan zdaje sobie sprawę, jak to zabójczo wpływa na dzieci, na dziewczę i na młodzież w wieku szkolnym?

OSIELEK

O, panie szefie, moja miłość była niewinna i będzie niewinna!

KOMISARZ

Zobaczmy. Wprowadzić oskarżoną!

CHÓR POLICJANTÓW
Wprowadzić oskarżoną!

SOFT (znacząco)

Teraz się zacznie!

(brzęk łańcuchów, wprowadzają Filomelę; Komisarz niemieje i z rykiem przypada jej do rąk)

CHÓR POLICJANTÓW
Kochanka szefa! Niezaprzeczalnej własności kochanka!

KOMISARZ

O, lotry! Jak mogliście aresztować tę damę, jak śmieliście uwięzić moją Filomelę!

CHÓR POLICJANTÓW
Oj, teraz się zacznie!...

KOMISARZ

(wymyśla, piekło się i na przemian to śpiewa, to całuje ręce Filomeli)

O, wy, hołoto! Monstrualne balwany, o moje cudne najdroższe! Bydło, nie policja! Prez od tej damy! Oh, Oh, Oh! Do budy dranie! Ja was... ja wam... uff... O, piękna! O, moja! Ja z wami!... uff! uff!...

(do Osieleka)

Jest pan zwolniony za karcą.

OSIELEK

Ile?

SOFT

Pięćset.

OSIELEK

(podnosi helikon, wypłaca Softowi karcę i uśmiechnięty, grając na helikonie, wychodzi).



Konstanty Ildefons Gałczyński

Porfirion Osielek

ADAPTACJA SCENICZNA: DANUTA I JAN CIECIESCY

OSIELEK
(pada na kolana przed Filomelą, wpada Policjant)

POLICJANT I

W imieniu Jego Królewskiej Mości, prawa, itd., aresztuję was za miłość na ulicy. Proszę za mną, albo nie. Przede mną!

FILOMELA

Co za wstyd!

ŻEBRAK

Ha! Ha! Ha!

Obrazek 3

Wieżenie

Osielek gra na prętach

WŁOCZĘGA —

STRAŻNIK WIEZIENNY
(do Osieleka)

Za mną!

OSIELEK

Oho! Teraz mnie zarznie.

(wkłada melonik, wsadza pod niego helikon i rusza)

Obrazek 4

Sala tortur
Zabawa w więzieniu

WŁOCZĘGA —

STRAŻNIK
(zza kulis)

Baczność!

(pierwszy wchodzi Soft, potem Komisarz policji)

KOMISARZ

Spocznij! No i co?

SOFT

Wprowadzić!

KOMISARZ

Wprowadzić oskarżonego.

CHÓR (za kulisami)
Wprowadzić oskarżonego.

(stychać brzęk łańcuchów, wchodzi Osielek)

KOMISARZ
(cicho)

Czy to ten?

SOFT

Czy to ten?

CHÓR POLICJANTÓW
Tak, to ten!

SOFT

(do Komisarza szeptem)

KOMISARZ
(trując i zjadliwie)

A, to pan? Proszę, niech pan siada. Nie! Raczej niech pan stoi, zbadamy pana. Tak! Nazwisko?

Hultaje, złoczyńcy, wszetecznice w dawnym Krakowie

P. — Czy, powiedzmy, pod koniec XV wieku słychać było pod Sukienicami pobożne życzenia: — a bodaj cię piorun spalił, ty dziewczko wszeteczna!?

M.R. — Nie wiem, nie jestem językoznawcą, ale gdyby znać, że już wtedy Polak lubował się na co dzień w dodatkowych wyznacznikach emocjonalnych — to raczej szukał dla wyrażania swych uczuć innego słowa. Jakże bowiem nieporównanie byłoby mu mówić: — byłem, dziewczka wszeteczna, wczoraj w Sukienicach i, oczywiście, dziewczka wszeteczna, kolejka na, dziewczka wszeteczna, pięść łokci; do południa, dziewczka wszeteczna, nie nie dowieźli, a gdy, dziewczka wszeteczna, poszedłem z pyskiem do panów rady, to mi, dziewczka wszeteczna, powiedzieli, że nie urodzą.

— Ale dlaczego nazywa pan damy, o których „pan wie, a ja rozumiem” — wszetecznicami, skoro mamy tak piękne określenia jak: „nierządnicą”, „kobieta lekkich obyczajów”, „prostitutka”?

— Bo są to określenia znacznie późniejsze, a mnie interesuje epoka staropolska. Wtedy to wszeteczeństwem nazywano wszystkie możliwe formy przekroczenia szóstego przykazania, zawartego w Dekalogu. Oczywiście, ocena przekroczył — nie przekroczył miała swoje uwarunkowania historyczne, stanowiąc zmienną kategorię etyczną.

— Jakich przepisów trzymaliśmy się my, bracia słowiańska, nim dotarł do nas Dekalog?

— Pisał Ibrahīm ibn Jakub, że u Słowian panna, gdy kocha jakiego mężczyznę, udaje się do niego i zaspokaja u niego swoją żądzę. A kiedy małżonek poślubi dziewczynę i znajdzie ją dziewicą, mówi do niej: gdyby było w tobie coś dobrego, byłoby cię pokochali mężczyźni i z pewnością byłabyś sobie wybrała kogoś, kto by wziął twoje dziewictwo... — To był złoty wiek X; w parę wieków później podobną sytuację nazwano by już wszeteczeństwem?

— Najprawdopodobniej tak, czym zresztą tzw. ogół specjalnie by się nie przejmował. Dopiero znacznie później cudzołóstwo karano niezwykle surowo. No, ale to już temat na osobne opowiadanie.

— Wróćmy do naszych wszetecznic, czyli sprzedajnych dziewczek. Dużo ich było?

— Podaż, jak sądzę, nadążała za popytem. Sporo. Czeski kronikarz, opisując gości przybyłych do Konstancji w roku 1414 z okazji soboru powszechnego, niezwykle dokładnie odnotował skład personalny europejskiej ekipy, podając m. in. 718 wszetecznic. Ta ilość nikt nie dziwiła, podobnie, jak za normalne uważano wielką ilość domów publicznych. Mówiono o tym bez żadnej prudencji nawet z katedr uniwersyteckich, a trzeba pamiętać, że studenci odpowiadali wiekiem dzisiejszym licealistom. Z dziewczek sprzedajnych kpiono, ale nikt nie odmawiał im swego szacunku, a nawet prawa zawiązywania się w zwarte grupy, broniące swych interesów. W Niemczech zdarzały się wypadki, że przedstawicielki najstarszego zawodu świata udawały się do burmistrza ze skargą na lupanar, gdzie potajemnie uprawia się wszeteczny proceder. I pan burmistrz zezwolił im na wtargnięcie przemocą do tego domu, który w rezultacie zdemolowały.

— Piękny to musiał być widok!

— Zaiste... Równie pięknie musiał wyglądać zbiorowy udział wszetecznic w manifestacjach ku czci, np. w powitaniach czy pożegnaniach dostojników. Nie uczestniczyły w nich jedynie z potrzeby serca; w rachunkach wiedeńskich z roku 1438 znajdujemy i takie: za wino dla kobiet posłanych królowi. Bywało, że rajcy miejscy wynajmowali, z własnej kieszy placąc, cały dom publiczny do dyspozycji świty cesarskiej, jak np. uczyniło to w 1434 roku dla Zygmunta Luksemburczyka miasto Brno. We Wrocławiu piękne kobiety otrzymywały od miasta z okazji świąt liczne upominki.

— Czy historia, tak skrupulatnie odnotowująca imiona królów i bohaterów, odnotowała i imiona owych dam?

— Ależ oczywiście, choć nie we Wrocławiu. Najstarsze, znane nam z imienia, wszetecznice pracowały w Krakowie. Były to: niejaka KATUSZA, którą spotykamy w roku 1371 oraz DOROTA (1384), obie mające podobno duże wzięcie i związane etatowo z którymś z trzech domów publicznych, utrzymywanych przez średniowieczne miasto, które i profit z tego miało, i splendor. Kto wie, może to właśnie sławie owej Doroty zawdzięczają wszetecznicę jedno z określeń swego zawodu: dorotki. Nazywano je zresztą, myślę cały czas o profesjonalistkach, w wiekach od XVI do XVIII również nierządny białogłowi, nierządnymi kobietami, kortezankami, małpami, zwodnicami, lub — najczęściej — murwami.

— No, tu już jesteśmy zupełnie blisko współczesnej polszczyzny.

— Ponieważ jednak mówimy o czasach zamierzchłych, dajmy nura znowu w okres Jana Ostrobrzyskiego, który już w XV wieku postulował, by dorotki nosiły charakterystyczne przepaski, wyróżniające je od innych niewiast. Miały one, według urzędowej taryfy, płacić miastu 1 grosz tygodniowo, od którego to podatku migwały się na wszelkie możliwe sposoby.

— Czyli, że zawodowe wszeteczeństwo mogło być dla miasta niezłym interesem...

— ...i dlatego niektóre grody posiadały własną etatową nierządnicę, a w Krakowie w roku 1600 bito u pręgi niewiastę miejską, czyli zwodnicę działającą niejako z urzędu.

— Za co bito?

— Tu już musimy zdać się wyłącznie na własną wyobraźnię. Może za nieplacenie podatku? Może za odmowę obsługi miejscowych na rzecz dewizowców, których w stolicy było wtedy pełno? Siła jednak musiała nabroić, skoro doszło do kary pod pręgierzem, bo nierządnicę zawodową posiadały w Krakowie mocną pozycję, na pewno wyższą od powszechnie pogardzanego kata, który zresztą był pełnomocnikiem rady miejskiej do spraw zamtów.

— Miasto, czerpiąc z nich zyski, nie miało tzw. oporów moralnych?

— Miało. Krakowskich rajców musiałoby dobrze ruszyć sumienie, skoro w 1398 roku podjęli uchwałę o wyzniesieniu z miasta niewiast publicznych, uchwałę nigdy nie zreali-

Zapotrzebowanie na ich usługi gwałtownie wzrastało na wieść o koronacji królewskiej, gdy do Krakowa zjeżdżał dwór, magnateria i szlachta oraz towarzyszący im ludzie. Wędrownie wszetecznicze licznie ściągali pod Wawel w ślad za przemarszem wojsk, w okresie jubileuszy kościelnych, pełno ich było podczas wielkich ceremonii sakralnych: odpustów, pielgrzymek, kanonizacji i beatyfikacji. Czas im wtedy sprzyjał, zaś przygodni pielgrzymi, pod wpływem trunków, chętnie korzystali z licznych ofert. Do wszetecznic zawodowych chętnie dołączali, jak byśmy to dziś powiedzieli, cichodajki, dziewczęta wykorzystujące okazję. Wszystkim groziła denuncjacja...

— Ze strony ostrej konkurencji?

— Gdybyż to tylko! Nieraz dekonspirował je w sposób cudowny miejscowy święty, jak to przydarzyło się w 1569 roku niewiastom bezwstydnym (*mulieres impudices*), które nieopatrznie stanęły na płycie grobowej Izajasza Bonera w kościele św. Katarzyny. Kamień grobowy się zatrzęsł, a moc światobliwego męża zdekonspirowała wszetecznicę!

— Z wieku na wiek zastęp wszetecznic rósł, aż do ilości, która tak zdenerwowała zacnego biskupa. Czy naprawdę nie można określić, ile ich w Krakowie było?

— Biskup wyznili *mulieres vagabundas*, dziewczki wędrownie, tym krew z krwi, kość z kości krakowskim zapewne nic się nie stało. Pyta pan o ilość... No cóż, w XVII-wiecznym



zowaną, a podjęta bardziej dla uspokojenia własnego sumienia, niż zrobienia krzywdy panienkom. Zeby jednak być w porządku, na początku XV wieku ojcowie miasta zwrócili się do sfer kościelnych z pytaniem, czy miasto może stawiać i utrzymywać domy nierządu, czerpiąc z nich czynsze. Odpowiedzi udzielił dominikanin, Jan Falkenberg. Zgodnie z zasadami teologii moralnej, opierając się na autorytecie św. Augustyna, uznał to smutne zło za konieczność, by uniknąć cudzołóstwa, kazi-rodztwa i innych nieczystości, czyli wszeteczeństw. Niemal powszechnie sądzono, że niewiasta zmuszona do nierządu popełnia mniejszy grzech, niż mężczyzna uprawiający cudzołóstwo.

— Czy były inne próby usunięcia wszetecznic z Krakowa?

— Owszem i tym razem skutecznie, w 1666 roku, kiedy to wypędzono je siłą, na skutek interwencji biskupa Andrzeja Trzebieckiego. Ale też namnożyło się ich wtedy, namnożyło! Trzeba jednak najpierw przypomnieć, iż ówczesne wszetecznicze dzieliły się na dziewczki pracujące etatowo w domach publicznych oraz na tzw. dziewczki wędrownie, przemieszczające się z miasta do miasta, zależnie od sytuacji.

Paryżu panienek lżejszej profesji zanotowano 13 tysięcy, w Londynie 50 tysięcy. Gdyby tak zestawiliś mieszkańców tych miast z liczbą ludności Krakowa? Liczy się chyba jednak nie tylko ilość, ale i jakość, a nasze polskie wszetecznicze cieszyły się naprawdę dobrą sławą. O ile można użyć tego określenia wobec wykonywanego przez nie zawodu.

— Podobnie dobrą sławą cieszył się ówczesny „KRAKÓW BY NIGHT”?

— Wszelakim wędrowcom i miłośnikom tego hobby przypadła do gustu działająca w Krakowie od XVI do XVIII wieku Piwnica Świdnicka, gdzie oferowane przez wszetecznicę atrakcje można było skosztować na miejscu. Korzystali z ich usług wszyscy, nie wyłączając kleru. W roku 1562 przed sądem stanęła Zofia z Pokrzywnicy, oskarżona o to, że prócz przewidzianej umową zapłaty, ukra-
dała obsługiwane duchownemu rewerendę.

— A dwór? A król jegomość?

— Tu już musimy zdać się tylko na przypuszczenia. Sądzę, że nie król zbiegał do celu zaspokojenia swych grzesznych chuci z Wawelu, ale odwrotnie, przyprowadzano mu kogo trzeba, na Wawel. Wiemy tylko na pewno, że Henryk Walezy francuską modą zapuszczał się

do miejskich lupanarów, których było wszędzie pełno, do szynków, gospód i oberży, prowadzących prócz działalności gastronomicznej, również inną, znakomicie podwyższającą rentowność. Ale nie dałbym głowy, czy młodzi Jagiellonowie, alibo Wazowie nie wymykali się boczną furtką na brzeg wiślany, gdzie działał najslawniejszy ze słynnych w Rzeczpospolitą Obojga Narodów zamtuż, mieszczący się w Smoczej Jamie.

— Musiał ci to być szynk wspaniały, miejsce spotkań konieserów i snobów, ale też i ceny pewnikiem nie na naszą kieszeń, takle bardziej z „Victorin”...

— Chyba tak, cóż, za komfort i możliwość patrzenia na płasy bosych dziewczynek w uytułowanym towarzystwie trzeba płacić. Niestety, nie wiemy ile mogła kosztować kolacja w towarzystwie wszetecznic w cafe Smocza Jama. Dopiero pod datą 1778 znajdujemy w aktach zeznania niejakiej Katarzyny Gajdzionki, która za frymarzenie ciałem z Moskałem Trubowem Pietruszką dostawała po 15 groszy lub po złotemu na dzień. Podobną sumę brała Barbara Orłowszcanka. Sporo dziewcząt pobierało opłatę w garderobie, pracowało za garniek stawy lub dla zbytowego przedmiotu. W roku 1776 Agnieszka Dziegielewska zeznała, że miała zegarek od Włocha zakonnika, który mnie na złe rzeczy namawiał...

— Czy w rachunkach wawelskiego dworu nie zachowały się informacje o cenach, jakie płacono za wszeteczne uciechy?

— Owszem, ale nie w rachunkach... Życie brało opłaty w innej postaci: synowie króla Kazimierza Jagiellończyka, Jan Olbracht (zm. 1501), Aleksander (zm. 1506) i kardynał Fryderyk (zm. 1503) — wszyscy byli chorzy na syfilis, chorobę wówczas — z uwagi na słabą odporność ludzkich organizmów — okrutną. Uczeń obliczył, że tylko na początku XVI stulecia przeżyła ją 1/20 ludności świata. Jeśli wierzyć Marcinowi Bielskiemu, kilę przyniosła jedna białogłowa z Rzymu do Krakowa, co tam na odpust chodziła. Ta choroba najpierw się we Włoszech, a zwłaszcza w neapolitańskim państwie, na Francuzach pokazała (...) i przetoż tę niemoc francją zowią.

— Tak więc dziełko wszeteczne naprawdę drogo kosztowały — dosłownie i przenośnie...

— Aby rzecz całą do końca smrodkiem dydaktycznym okadzić, dodajmy, iż widziano w niej następstwa nie tylko rozpusty, ale i pijactwa. Cóż pan chce, nie w życiu nie ma za darmo, chciało się komu wszetecznic — musiał ryzykować nie tylko utratę mieszka, ale i zdrowia. Dodajmy również, że historia polskiego wszeteczństwa tamtych wieków odnotowała i inne wypadki, o których strach wspominać przed nocą. Otóż, przed ławnikami na Kazimierzu stanął w 1561 roku niejaki Wojciech z Poznania, od lat dziesięciu noszący się za babę. W Krakowie wziął ślub z Sebastianem Słodownikiem i mieszkał z nim dwa lata w Poznaniu. Gdy powrócił do Krakowa — ponownie wziął ślub na Kazimierzu, tym razem z Wawrzyńcem Włoskiem. Uchodził za kobietę, choć żył z kobietami.

— Jeśli jeszcze pan docent powie, że urodził dziecko...

— Nie, nie urodził. Spalono go uroczyscie ze wszetecznictwem.

— Sumując, można jednak stwierdzić, iż nigdy, jako nacja, nie potępialiśmy ładacznic w czambuł, a prawa stwarzały im możliwość uprawiania zawodu w sposób, nazwijmy to, zgodny z interesem publicznym?

— Nasi mądrzy antenaci zdawali sobie sprawę, iż naturalna uroda kobieta odciąga mężczyzn od zła i występków, łagodząc ich nieokielznane męskie obyczaje; nieokielznane, a patrząc z perspektywy wieków, nieraz po prostu dzikie. Z kategorycznym jednoznacznością potępieniem spotykało się jednak pomaganie naturze, specjalna dbałość o urodę przy użyciu pachnidła i maści...

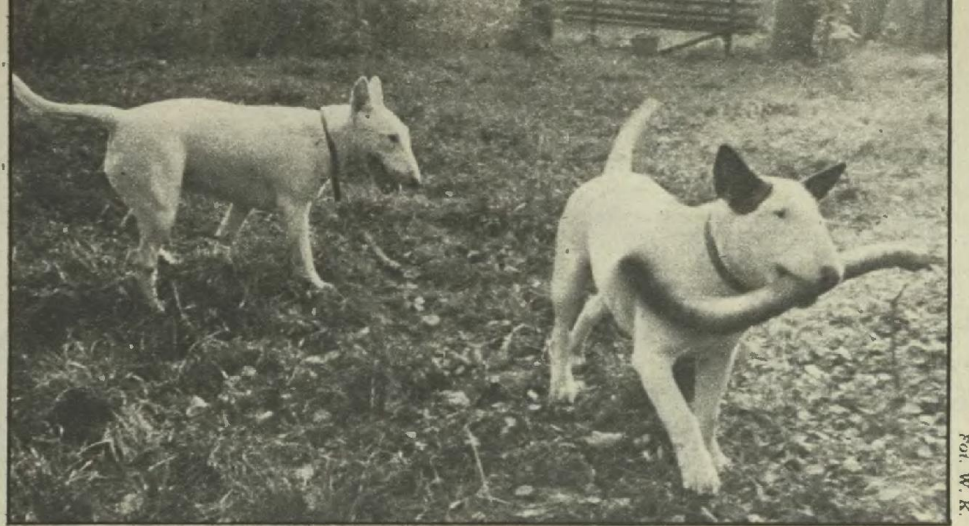
— To dlatego Olenka Billiewiczówna, gdy ją pan Andrzej Kmielec posadził żartem, iż „te brew wacpanna chyba karkiem przypalonym czernisz”, odparła z tak głębokim obrurzeniem: słyszałam, że płochę tak czynią, Jam nie taka...

— Tak, pogarda dla niewiast używających środków upiększających przetrwała bardzo długo, podobnie jak potępienie dla tych, które z wyciągniętymi szjami i odkrytymi ramionami i piersiami chodzą. Kosztowne trzewiki na nogach swych miewają; niejednego przez to jakby za włosy do nierzędu ciągną. W dodatku bywały i takie, co się tymkowały, która to czynność była wszetecznictwem.

— Co skłoniło pana i drugiego współautora książki, by wziąć się za opisywanie owego świata murków i łuszczybochenków, zerwipudłów, ładacznic, dziełek wszetecznych, wydmukliów i wędzikaletów?

— Prosta ciekawość i fakt, że dzieje obyczajów w Polsce nie doczekały się jeszcze takiej monografii. Życie wszetecznic opisał niedawno w obszernym studium drukowanym w Paryżu książd Charles Chauvin. Niby dlaczego mielibyśmy być gorsi, skoro na pewno pod pewnymi względami byliśmy lepsi?

Rozmawiał LESZEK MAZAN



FOI. W. K.

Pies, to charakter

Rozmowy z Erą bullterierką

— Słyszalas już o tym, że w noc wigilijną zwierzęta przemawiają ludzkim głosem?

— Tak. I było tam coś jeszcze, o jakiejś obórze czy stajni, to są zdaje się takie budy, tylko większe, dla krów i koni. Czyżby miał pan zamiar zamknąć mnie na noc w jakiejś obórze?

— Nie, z wielu powodów. Po pierwsze nie mamy obory. A poza tym nawet jeżeli zreklajnujemy potem to „P.” naszą wigilijną rozmowę, to ona i tak nikogo nie zaskoczy, skoro i bez świątecznej okazji rozmawiamy sobie przecież do woli.

— No tak, owszem, ale nikt nie wie jak. Jeżeli człowiek rozmawia z psem, to wcale nie musi to być rozmowa ludzkim sposobem. Można po psiemu, albo jak delfin z delfinem czy wielorybem. A nawet, jak owady. Ludzie, nie wiem dlaczego, uważają, że wszystkie stworzenia muszą rozmawiać gardłem i pyśkiem, a taki świerszcz na przykład rozmawia, pocierając jedną łapką o drugą i jak mu to pięknie wychodzi! Mam do pana prośbę: nie ujawniajmy, w jaki sposób my rozmawiamy. Niech to będzie nasza tajemnica zawodowa.

— Jeżeli tak ci na tym zależy, to zgoda. Ale powiedz może coś o tym rozmawianiu po psiemu...

— Pan Konrad Lorenz opisał to zdaje się już dawno i na pewno lepiej, niż bym ja potrafiła opowiedzieć. Sama nie czytam, ale słyszałam w domu, jak o tych książkach mówiono. On, ten pan Lorenz, jako inteligentny człowiek, od razu zauważył, że pies psu też mówi „dzień dobry”, albo w inny sposób go wita, pozdrowia, wyraża swoje uszanowanie, lekceważenie, albo zaproszenie do towarzystwa — niekoniecznie kłapiąc przy tym mordą. Można bardzo wiele powiedzieć gestami, zapachami, nawet sposobem chodzenia. Ale podobno są zwierzęta, które naprawdę potrafią opanować język ludzki, razem z tą waszą jakąś gramatyką, choć nie mówią w dosłownym tego słowa znaczeniu.

— Ale się wykształcała, Era! Skąd ty to wszystko wiesz?

— Mówiłam już, że słucham, o czym się w domu mówi.

Moja pani dużo czyta, a potem opowiada innym domownikom. Kiedyś mówiła o czytanej po angielsku książce pana Carla Sagana. To się nazywało chyba *The Dragons of Eden*, czy jakoś podobnie i jeżeli dobrze słyszałam, znaczy *Smoki Raju*, albo coś w tym rodzaju. Ten autor podobno przypomniał zdanie Johna Locke'a, że „zwierzęta nie myślą abstrakcyjnie”. Na to podobno inny filozof, biskup George Berkeley, odpowiedział tak: „Jeżeli fakt, że zwierzęta nie myślą abstrakcyjnie, miałyby być tym, co je wyróżnia, to obawiam się, że wielu z tych, którzy uchodzą za ludzi, należałoby zaliczyć do zwierząt”. Ale to wszystko mówiono zdaje się że trzysta lat temu, a to już prehistoria, jak na psią miarę czasu. Za to pan Sagan pisał całkiem niedawno i w jego książce jest o mądrych szympancach.

— I co, one komunikują się jak psy pana Lorenza?

— Nie, wcale nie po psiemu ani nie po szympansemu, tylko po ludzku. I nie w obórze nocą, no, jak to się nazywa?...
— ...wigilijną.

— Właśnie, wigilijną. Najpierw to ten pan Sagan zauważa, że z tym myśleniem abstrakcyjnym, podobno ściśle związanym z posługiwaniem się jakimś językiem, to nie musi być tak, że albo — albo. Czyli, albo, że się myśli jak najmądrzejsi ludzie, jak np. pan Lorenz, albo wcale, jak pień. Mogą być przecież różne stopnie abstrakcji, tylko ludzie nie wiedzą jakie one są u zwierząt z powodu braku komunikacji.

— Ale sama, przecież wspominałaś o gadających szympancach!

— One posługują się ludzkim językiem, chociaż nie mówią. Wiem trudno to nazywać gadaniem. Kiedy 60 lat temu niemieccy uczeni zaczęli na wyspie Tenerifie badać zachowanie się szympanców, to zauważyli, że np. dwie małpy potrafią bawić się w taki sposób: jedna podsuwała kurczakowi trochę jedzenia, a kiedy ten kurczak podchodził, to drugi szympanś wyciągał zza pleców patyk czy kawałek drutu i bił nim przerażonego koguta. I taką zabawę te zmyślne małpy powtarzały wielokrotnie.

— O czym to świadczy, twórci zdaniem?

— Hmm... Jest w tym kooperacja, przewidywanie przyszłego zachowania się „osoby trzeciej” (koguta), oszustwo i okrucieństwo. Całkiem po ludzku. Te małpy

musiały nie tylko myśleć, ale także „umówić się”.

— Myślisz, że to pod wpływem ludzkiego towarzystwa?

— Samo towarzystwo nie wystarcza. W Ameryce niedawno próbowano wychowywać małe szympansiaki z małymi dziećmi, zawsze razem i tak samo. No i nie to nie daje, małpa po ludzku nie mówi, choć się z człowiekiem wychowuje w identycznych warunkach i nawet pupę się jej pudruje takim samym „baby powder” Johnssona. Ale to wcale nie znaczy, że małpa ma mózg do niczego. Ona ma tylko inne gardło, krtań, język. Może i myśli podobnie jak człowiek, tylko instrument do wyrażania tego ma inny.

— Nie przesadzasz aby?

— Powtarzam, mam nadzieję, wiernie, to co słyszałam o książce pana Sagana. No więc jak badacze amerykańscy wpadli już na tę sprawę „inności instrumentu”, to zaczęli uczyć szympansy języka głuchoniemych. A małpa ma ręce jeszcze sprawniejsze niż człowiek. Okazało się, że zdolne szympanse bardzo szybko nauczyły się tej mowy gestów, operowały zasobem co najmniej 200 słów i budowały zdania prawidłowo pod względem gramatycznym. Dowiodły nawet, że stać je na słowotwórstwo. Np. szympancica Washoe, na widok pierwszy raz oglądanej kaczki, powiedziała, że „to jest woda-ptak”, arbuza nazwała „picie-owoc”, itd. A jak im dano komputer sprzężony z różnymi urządzeniami, to się w mig nauczyły posługiwać tym urządzeniem, które reagowało tylko na prawidłowo sformułowane życzenia, więc na monitorach sprawdzały, czy „napisały” swoje życzenie prawidłowo.

— A jakie miały te życzenia?

— Poza jedzeniem, piciem, a nawet pieścotami, chętnie słuchały muzyki i oglądały filmy. Co do gustów, to wolały jazz niż rock, a Lucy przepadała za filmami naukowymi o anatomii rozwojowej szympanców. Poza tym nauczyły się kłąć, ale to nie jest chyba temat odpowiedni na Wigilię, ludzie są wtedy tacy uroczysci...

— Masz rację. Czy wy, psy, nie boicie się konkurencji małp?

— W wybijaniu na klawiaturze komputera życzeń w sprawie muzyki — to na pewno, ale kiedy przyjdzie do pilnowania mieszkania czy obrony pana, to myślę, że bullterierzy wytrzymają tę konkurencję. A w ogóle, to konkurencja grozi wszystkim, pan Sagan przypomina w swojej książce, że na Malajach słowo „orangutan” znaczy „człowiek z lasu”... (k)

Guy Bourdin



Norman Parkinson



FOTOGRAFIA

Guy Bourdin



Moda, która jest sztuką, lub trochę sztuką, lub także sztuką — ma głównie dwa środki wyrazu: zdjęcie mody i pokaz mody. Fotografie mody — te nazwijmy artystyczne, reprodukowane w żurnalach, pismach, na plakatach, w folderach, itp. wzniósł się na nieprawdopodobny poziom. Bo są i inne zdjęcia, takie robocze, typu serwis prasowy, dokumentalne, itp. — te zwykle dość średnie. Ta fotografia żurnalowa jest tak wspaniała, że stanowi już sztukę sama dla siebie. To co widzimy obecnie w niektórych żurnalach na świecie, to są po prostu arcydzieła fotografii. Może jest tak dlatego, że sam poziom techniczny pisma, papier, druk, efekty graficzne — są doskonałe. Może jest tak dlatego, że fotografia w ogóle stoi na bardzo wysokim poziomie w świecie, sprzedaje się ją w galeriach, itp. Może jest tak dlatego, że działa akurat kilkunastu znakomitych foto-

grafów od mody, którzy nie słysząc podnoszą poprzeczkę. Może przyczyną jest to, że w ogóle moda jest „modna”, jest to duża, poważna dziedzina, skupia wielu wybitnych ludzi, rozwija się, dużo się dzieje, itp. Ci faceci od zdjęć mody to są wielkie nazwiska, słynni ludzie i oni też nadają modzie styl. Tendencje w zdjęciach mody — to bardzo ciekawe zagadnienie, a do tego zmienia się, jak wszystko co dotyczy mody.

Jakie zatem są obecne zdjęcia mody?

● erotyczne — po fall erotyzmu, która przeszła przez sztukę światową, są one często bardzo odważne, szczegó-

nie w szalenie eleganckich żurnalach. Wytwornie ubrana dama, + nieco rozebrane ciało męskie, albo 2 dziewczyny ze sobą, albo zdjęcie w nastroju namilności, ekstazy. Różne żartobliwe: ona w męskiej fryzurze i garniturze, on długie włosy, itp.

● okrutne — ta fala okrutnictwa jakby opada, bywały zdjęcia idące bardzo w tym kierunku, ale jest taki styl: zgwałcona — porzucona, albo zdjęcia horror, np. dziewczyna lekko zsuwa się z parapetu okna wieżowca.

● na lata 40-te — cała scenografia i zaaranżowanie, nawet światła z tej epoki, te ciuchy, ludzie, oczywiście — to jest dość zabawne, czasem trochę smutne (w stylu okupacji), czasem idzie w kicz.

● dziwne — dziwny nastrój, to zwykle robione jest światłem, różnymi efektami, czasem trochę metafizycznie.

● romantyczne — za mgłą, za szybą deszczową, zamazane, ciemne, smutny świat, puśta Wenecja w deszczu.

● na gwiazdach — moda

pokazywana na słynnych osobach, albo ze słynnymi osobami. To jest tak popularne, że są żurnale, które prawie całkowicie są tak robione.

● robocze — tzn. pokazujące jakby kuchnię zdjęć. Widać fotografa, poprawiaczki strojów, makijaż, wiele osób na zdjęciu zajętych pracą nad zdjęciem.

● robione na coś — np. na stare filmy, podstylizowane na coś szczególnego.

MODY

Guy Bourdin

Norman Parkinson

Albert Watson

Norman Parkinson

Czyli, jak widzicie, są to zdjęcia z fabułą.

Oprócz tego są zdjęcia po prostu ilustrujące modę, także bez „story”, również genialne, genialnie oświetlone i sfotografowane, na cudnych dziewczynach. Osobne zagadnienie — to moda na typ mo-

delki, ale dziś tylko o zdjęciach. (Wszystko, co tu piszę, dotyczy nie historii zdjęć, tylko tego co jest obecnie). A są to zdjęcia:

- b. ostre, agresywne
- pretensjonalne
- zwariowane
- z humorem

— to są główne trendy w zdjęciach bez fabuły.

Najwybitniejszym fotograficznie żurnalem jest francuski „Vogue” — celuje w zdjęcia opisanych na początku. Bardzo piękne i stylowe zdjęcia angielskie. W tych ujęciach jakby prostych — modelka na naturalnym tle — celują Włosi. Wszystkie zdjęcia są obecnie albo dynamiczne, albo nastrojowe.

Największe nazwiska: Norman Parkinson, Guy Bourdin, Helmut Newton. Oni nadają ton i styl. Ale trzeba zauważyć, że są to zdjęcia zawsze na całą stronę. Nie mamy żadnych możliwości pokazywania tego w naszej „Modzie”, bo, pomijając możliwości poligraficzne (!), sam format to uniemożliwia.

dris
RÓŻNOCY POD CHOINKĘRADY,
KTÓRE MOGĄ SIĘ
PRZYDĄC

► Bulki suche odzyskują świeżość, jeśli zawiniemy je na godzinę w wilgotną ściereczkę, a potem ulożymy na blasze i wsunimy na parę minut do gorącego piekarnika.

► Zwietrzałą kawę ziarnistą można odświeżyć, zalewając ją w rondelku na 10 minut świeżą, zimną wodą. Następnie odcedzić na sicie, osuszyć i rzucić na gorącą patelnię — idealnie czystą i leciutko posypaną cukrem pudrem. Potrząsnąć patelnię parę razy, kawę zaraz zemieć i zaparzyć. Kawa taka nie nadaje się już do przechowywania.

► Kilka ziarenek świeżo upalonej na patelni kawy, włożone do lodówki, czy kredensu, usuwa przykre zapachy.

► Noże myjemy w letniej wodzie, bo od gorącej stają się tępe.

► Noże zardzewiałe oczyścimy, przecierając je przekrojoną cebulą, a następnie solą, by usunąć przykry zapach.

► Noże ostrzemy na zwilżonej oselce, przesuwając nóż ruchem kolistym, przyciskając ostrze drugą ręką. Należy ostrzyć obustronnie. Na końcu przeciągnąć przez gładką deseczkę lub skórę.

► Mięso i ryby można smażyć bez tłuszczu, używając tylko soli. Rozgrzaną patelnię posypujemy solą i czekamy, aż ziarenka zaczynają podskakiwać. Wtedy kładziemy mięso (ryby) i smażymy bez obawy przypalenia czy przyklejenia.

► Srebrne łyżeczki używane do jaj czernieją. Możemy je oczyścić, wycierając zwilżoną sadzą.

► Zapach dymu tytoniowego uleci z pokaju, jeżeli powiesimy w nim wilgotną gąbkę.

► Zapalona świeca pochłania dym z papierosów.

► Choinka świąteczna będzie dłużej świeża, jeśli jej pień natniemy u dołu na krzyż i wstawimy drzewko do naczynia z wilgotną ziemią lub piaskiem. Przed strojeniem — choinkę trzeba skropić wodą zmieszaną z gliceryną: igielki nie będą wówczas tak szybko opadały.

POMYŚL O SOBIE!
ZADBAJ O SIEBIE!

TWOJE RĘCE

► Plamy na palcach powstałe przy obieraniu jarzyn — pod działaniem mydła nie nikną, a raczej utrwalają się i ciemnieją. Poplamione ręce należy umyć ciepłą wodą bez mydła, natrzeć dobrze naturalnym kwasem (np. kiszoną kapustą), lub kwasem cytrynowym rozpuszczonym w odrobinie wody. Dopiero gdy plamy znikną — myjemy ręce mydłem. Jeśli plamy uparcie się trzymają — próbujemy je zetrzeć pumeksem, ale tylko wtedy, gdy na skórze nie ma żadnych zadrapań.

► Płomom od obierania jarzyn i ziemniaków możemy też zapobiec, nacierając ręce octem przed przystąpieniem do pracy, a po jej ukończeniu myjemy je szczotką w zimnej wodzie bez mydła. Rady te nie będą potrzebne, jeśli przed obieraniem jarzyn w skórę i pod paznokcie wetrzemy trochę nie solonego tłuszczu jadalnego, zastosujemy specjalny krem, a najlepiej, jeśli wszystkie brudne prace będziemy wykonywać w rękawiczkach.

► Ręce bardzo spracowane i zniszczone, o spękanej skórze można doprowadzić do

dobrego stanu codziennymi kąpielami w siemieniu lnianym. Kąpiele trzeba powtarzać tak długo, aż naskórek stanie się gładki i miękki.

Łyżkę siemienia lnianego zalewamy szklanką wodą i gotujemy aż się wydzieli kleik. Zdjąć z ognia, dodać 1/2 szklanki mleka i moczyć ręce 20 minut. Można później wetrzeć w skórę rąk parę kropli oleju rycynowego.

► Szorstkie i zniszczone ręce doprowadzimy do porządku, zanurzając je na kilka minut w ciepłej serwatce lub roztworze soli (3 łyżki na 1 litr wody). Dobre rezultaty daje masowanie dłoni świeżo ugotowanym i ostudzonym, ale jeszcze ciepłym, rozgniecionym ziemniakiem.

► Żółty osad na palcach od papierosów znika po umyciu ich płynem sporządzonym z 30 g wody, 50 g wody utlenionej i 10 g kwasu cytrynowego.

Plamy z nikotyny na palcach można też usunąć płynem sporządzonym z 1 dag kwasu cytrynowego, 5 dag gliceryny, 2 dag czystego spirytusu. Wszystkie składniki wymieszać razem, wlać do buteleczki. Przed każdym użyciem potrząsnąć, by gliceryna i spirytus dobrze się połączyły.

► Spierzchnięte ręce myjemy w ciepłej wodzie z octem, smarujemy gliceryną lub specjalnym kremem do rąk, można też smalcem. Nie należy wychodzić na dwór z niedostatecznie wysuszonymi rękami.

► Płyn do pielęgnacji rąk: 30 g gliceryny, 10 g wody kolońskiej, 3 g amoniaku, 3 g kwasu cytrynowego — dokładnie zmieszać.

► Krem do rąk: 50 g białej wazeliny, 50 g lanoliny, 25 g parafiny, 25 g gliceryny zmieszać i ogrzewać na wolnym ogniu, aż do rozpuszczenia. Następnie przełożyć do słoiczka i szczelnie zamknąć. Nacierać ręce po umyciu i oczywiście na noc.

TWOJE ZĘBY

► Osadzeniu kamienia nazębnego można zapobiec, stosując raz w tygodniu do mycia zębów sodę oczyszczoną.

► Żółty osad od papierosów na zębach można usunąć przez przecieranie zębów od



czasu do czasu watą umoczoną w 3% wodzie utlenionej.

► Biel zębów można zachować, stosując dwa razy w tygodniu do mycia zębów (zamiast pasty, czy proszku) sól kuchenną i płuczając je wieczorem naparem z szalwii. Można również codziennie płukać jamę ustną lekko osoloną wodą. Sposób ten działa nie tylko kosmetycznie, ale i dezynfekująco.

TWOJA BUZIA

▲ Maseczka z surowego białka działa ściągająco i wskazana jest dla cery tłustej o rozszerzonych porach. Stosuje się ją po pracy wykonywanej przy mocno nagrzanym np. płycie kuchennej, czy piecu, gdy chcemy szybko osiągnąć korzystny wygląd i wygładzić zmarszczki. Maseczka ta daje dobry efekt na kilka godzin.

▲ Maseczka z żółtka: surowe żółtko ucieramy jak na majonez, dodając kilkanaście kropli oliwy jadalnej lub kosmetycznej, którą wlewa się po trochu. Można też dodać odrobinę miodu. Maseczka ta wskazana jest dla cery suchej. Można ją stosować 2 razy w tygodniu. Nakłada się ją na twarz i szyję. Po 20 min. zmywamy letnią wodą, następnie splukujemy skórę zimną wodą.

▲ Maseczka z drożdży: 2 dag drożdży rozprowadzamy letnim mlekiem na papkę, nakładamy na twarz na 20 min. Maseczka ta świetna jest dla cery tłustej i zanieczyszczonej wargami. Dla cery suchej, zamiast mleka, dodajemy do drożdży oliwy. Maseczkę zmywamy po 20 min. gorącą wodą, splukujemy zimną.

TWOJE WŁOSY

Do układania włosów (jeśli nie mamy, lub nie chcemy używać gotowych preparatów) proponuję stosować jasne piwo lub odwar siemienia lnianego: łyżeczkę siemienia zalewa się szklanką wrzątku, gotuje na małym ogniu, aż ziarenka rozgotują się. Przecedzić. Jeśli płyn będzie się ciągnął, trzeba dodać trochę ciepłej wody, tak, żeby był tylko lekko śliski.

JESZCZE
O PLAMACH

► Plamę należy usunąć jak najszybciej, ponieważ pod wpływem powietrza i światła ulega zmianie jej skład chemiczny, i plama utrwała się.

► Przed czyszczeniem poplamionych tkanin nie wolno prasować żelazkiem.

► Plamy należy pocierać tamponikiem z waty, ale nigdy nie należy ich trzeć.

► Jeżeli do czyszczenia używamy benzyny lub alkoholu, to wykonujemy tę czynność z dala od ognia, najlepiej na powietrzu. **Uwaga!** Większość plam znika po potraktowaniu ich wodą (letnią lub ciepłą). Należy więc najpierw spróbować tego środka. Używając wszelkiego rodzaju plamy, najpierw trzeba przeprowadzić próbę, jak dane tworzywo, tkanina reaguje na określone środki, abyśmy w miejscu plamy nie mieli dziury.

► Plamy z alkoholu: wilgotne zmywamy ciepłym spirytusem i wodą, zaschnięte — wodą utlenioną.

► Plamy z ciast, tortów zmywamy benzyną, a potem czystą wodką.

► Cukier, konfitury, słodycze — splukujemy letnią wodą z mydłem.

► Czekoladę usuwamy mieszanką, w skład której wchodzi 1 łyżeczka ciepłej wody i 1/2 łyżeczki gliceryny, następnie płuczemy w wodzie z mydłem.

► Plamy z herbaty zmywamy gorącą wodą, a jeśli plama nie znika, czyszcimy ją wodą utlenioną z dodatkiem paru kropli amoniaku.

► Plamy z kawy — jeśli są świeże — zmywamy gorącą wodą. Z tkanin wełnianych usuwamy spirytusem, z jedwabnych — gliceryną ze spirytusem. Plamy takie można też usunąć ciepłą wodą z amoniakiem w proporcji: 1 łyżka amoniaku na pół szklanki wody.

► Likier — ścieramy plamę suchą szmatką, zmywamy tamponem waty zamoczanym w roztworze wody i delikatnego środka piorącego. Likier owocowy usuwamy szmatką nasączoną roztworem kwasu cytrynowego i letniej wody.

► Plamy z białego wina zmywamy ciepłym spirytusem, a jeśli to nie pomaga, stosujemy 1% roztwór kwasu szczawowego.

► Plamy z czerwonego wina splukujemy białym winem, lub posypujemy solą, a następnie przecieramy czystą wódką. Zmywamy ciepłą wodą z dodatkiem proszku „E”. Można też zaprać plamę w kwaśnym mleku.

Wartość kaloryczna świątecznego stołu
(w przeliczeniu na 100 g gotowego produktu):

Jabłka	—	około	60 cal
Orzechy	—	—	660 "
Owoce suszone	—	—	240 "
Grzyby	—	—	45 "
Pomidory	—	—	20 "
Cieciężna smażona	—	—	150 "
Goś pieczona	—	—	490 "
Kaczka pieczona	—	—	345 "
Kiełbasa wieprzowa	—	—	500 "
Kiełbasa szynkowa	—	—	200 "
Polędwica	—	—	140 "
Szynka chuda	—	—	140 "
Wieprzowina smażona	—	—	275 "
Wolowina duszona	—	—	165 "
Zając duszony	—	—	190 "
Karp gotowany	—	—	95 "
Karp smażony	—	—	145 "
Siedz marynowany	—	—	155 "
Chleb biały	—	—	265 "
Cukier	—	—	395 "
Czekolada	—	—	680 "
Kawałek tortu z masą	—	—	300 "
Kawałek szarlotki	—	—	130 "
Likier (kielisek)	—	—	150 "
Majonez	—	—	500 "
Piwo (szklanka)	—	—	120 "
Wino białe (kielisek)	—	—	60 "
Wino czerwone (kielisek)	—	—	70 "

Sawantka

TO ZUPEŁNIE
BEZ SENSU

45



POZIOMO:

- 1 coś z czarodziejskiego słownika
- 7 wirtuoz w sztuce unikania wierzyiciela
- 11 znacząca oznaka
- 15 ranne wstają
- 16 żółto witają na rabacie wiosnę
- 17 wigilijny
- 18 skuwają lodem
- 19 między remiksem a brzdękem
- 20 knoci buble
- 21 otwieracz z ząbkami
- 22 folklorystyczny tańczony na Śląsku
- 24 atom kurzu
- 25 Igor

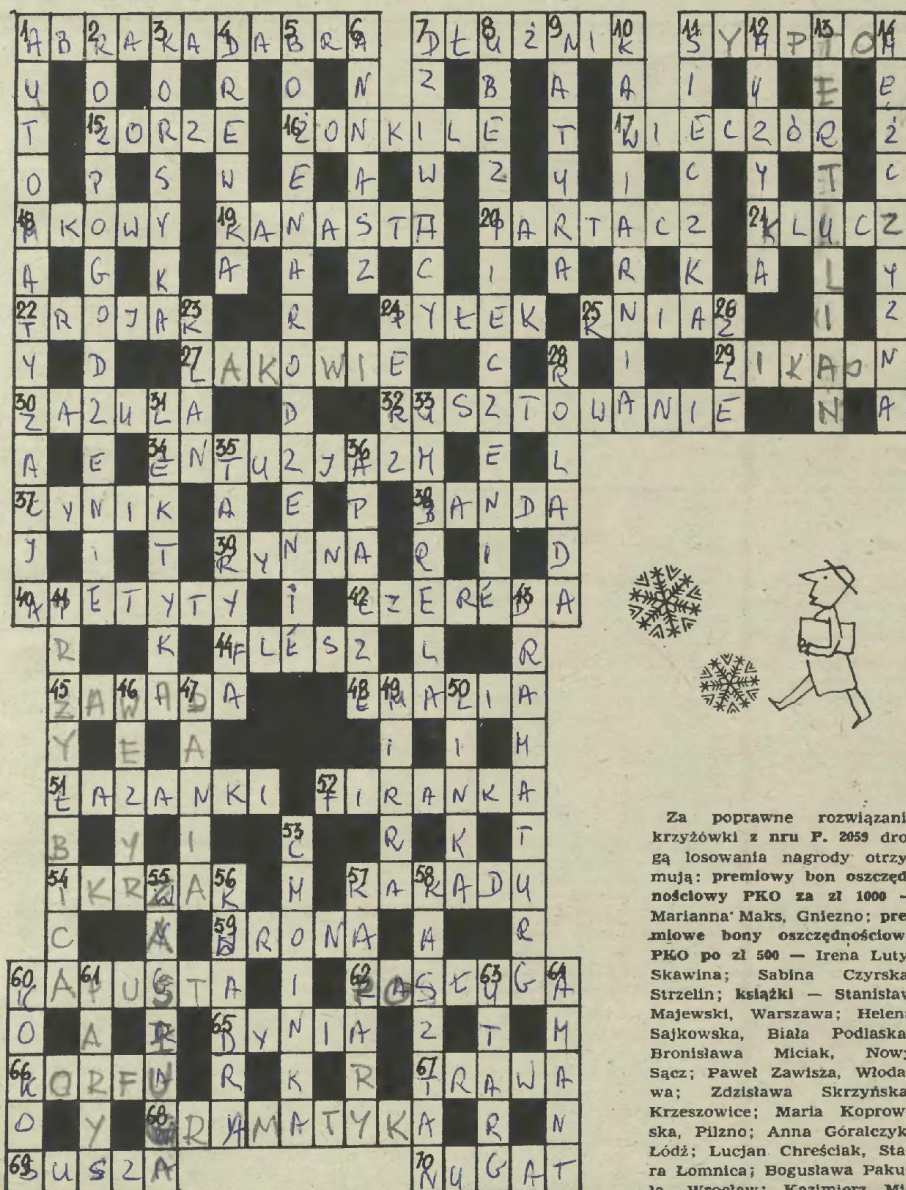
- 27 grupa ludności kaukaskiej w Dagestanie; znani są z wyrobu dywanów i artystycznej obróbki metali
- 29 psi afrykański drapieżnik
- 30 gwarowo nazywają tak biedronkę, ale również i kukulkę
- 32 gdzie pan murarz urządzuje
- 34 kuzyn euforii
- 37 kpi z przyjętych ogólnie wartości i zasad moralnych
- 38 w co z hukiem hokeiści walą
- 39 koryto dla deszczówki
- 40 rosną w miarę jedzenia
- 42 gości zgraja
- 44 lampka błyskowa
- 45 stanowczo przeszkadza

- 48 napaznokciówka
- 51 klasyczny dodatek do wigilijnej grzybowej zupy
- 52 brudził się równomiernie z oknem
- 54 ciągnie na tarlo
- 57 rozmowna papuga
- 59 krakowa kuzynka
- 60 dodaj do niej grochu i podaj na wigilijny stół
- 62 posprzątanie komuś mieszkania
- 63 gruba kuzynka melona
- 66 obecnie Kerkira, ponoć dawną zamieszkiwaną przez Feaków
- 67 na łać
- 68 zmora przy uczeniu się języka obcego, choć i w rodzimym mamy z nią niejakie trudności
- 69 nagminnie panuje w krnach wielkich aglomeracji
- 70 biała słodkość z bakallami

PIONOWO:

- 1 sprowadza człowieka do roli nadzorcę maszyny
- 2 słonce wyjrzało zza chmur
- 3 wyspa Napoleona
- 4 podniecają ogień
- 5 właśnie te święta
- 6 zawrócił do Kafkasa
- 7 mają osobliwe upodobania i przyzwyczajenia

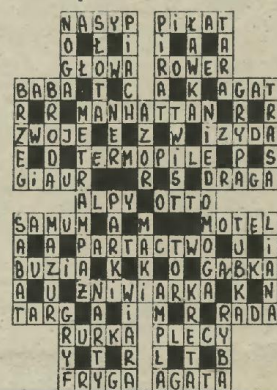
- 8 polisa je potwierdza
- 9 coraz częściej ciągniemy na jej łono
- 10 miejsce, gdzie za drogie pieniądze serwują ci czar-ną lurę o smaku przypa-lonego jęczmienia
- 11 gdyby osioł miał trzy zło-by, to w tym trzecim zna-lazby to
- 12 estetyczne przeżycie dla ucha
- 13 Quintus Septimus Florens, pisarz chrześcijański, naj-starszy z łacińskich ojców Kościoła
- 14 król stworzenia, a zarazem istota krucho i delikatna, co to nie daj Boże ma np. katar
- 23 grupa popierających się osób
- 24 szalenie trudny do wyple-wienia na zawsze
- 26 niedobrze! (wyjątkowo przysłówki)
- 28 zawinięty z pysznościami w środku płat ciętynny
- 31 pojazd (?) nie niszczący nawierzchni
- 33 chroniła nasze prababce przed nadmiernym dopły-wem słońca
- 35 wiadomo — taksówka
- 36 Winnetou im przewodził
- 41 podstępój helmu
- 43 żyje ze sztuk
- 45 Kara Mustafa
- 47 DK
- 49 królewski dar
- 50 co przewidujący kierowca wozu z sobą w bagażniku
- 53 spójrz jak ładnie jest przy-brana na Święta
- 55 medalem nagradzana
- 56 księżycowa podziałka
- 57 u nas robione z nasienia natury, marynowane sta-nowią doskonałą przypra-wę do sosów, sałatek i po-traw mięsnych
- 58 ogon i grzywe też ma brą-zoworudawą
- 60 orzech familijny
- 61 ten od jabłka, a nie Adam
- 63 dzienny do banku
- 64 musi być obdarzony urodą, aby zagrać tę rolę



Za poprawne rozwiązanie krzyżówki z nr. P. 2059 droga losowania nagrody otrzymują: premiiowy bon oszczędnościowy PKO za zł 1000 — Marianna Maks, Gniezno; premiiowy bon oszczędnościowy PKO po zł 500 — Irena Luty, Skawina; Sabina Czyska, Strzelin; książki — Stanisław Majewski, Warszawa; Helena Sajkowska, Biała Podlaska; Bronisława Miciak, Nowy Sącz; Paweł Zawisza, Włoda-wa; Zdzisława Skrzyńska, Krzeszowice; Maria Koprow-ska, Pilzno; Anna Gończyk, Łódź; Lucjan Chreściak, Sta-ra Lomnica; Bogusława Paku-la, Wrocław; Kazimierz Mi-kolajewski, Kraśnik.

Pomiędzy Czytelników, któ-rzy nadesłali poprawne rozwią-zanie krzyżówki do czwartku, 3 stycznia '85 zostana rozłoso-wane nagrody: dwa premiiowe bony oszczędnościowe PKO za 1000 zł, cztery premiiowe bony oszczędnościowe PKO po 500 zł oraz 20 nagród książkowych. Nagrody wyślemy w terminie trzytygodniowym. Rozwiązanie krzyżówki prosimy nadsyłać do Redakcji Przekroju, 30-960 Kraków, skr. pocztowa 533, z zaznaczeniem Krzyżówka świą-teczna.

Rozwiązanie z nr. 2061



przed słu laty
prasa donosi:

Znany malarz, pan Antoni Murzyński, wystawił w Za-chęcie cztery olejne płótna będące ilu-stracją do ballady Mickiewicza Świe-tianka. Zwiewna ru-salka ma rysy pani Romany Popiel-Swieckiej, ulubio-nej aktorki Warsza-wy, która przed pa-ru laty pozwalała artystce.

Według obliczeń, w Warszawie ma-my teraz 418 leka-rzy wolnopraktyku-jących (w tym trzy kobiety), 25 denty-stów, 362 akuszerki, 41 aptek i 11 skła-dów materiałów ap-tecznych. Nie jest to za wiele jak na 400-tysięczne miasto, w którym poziom higieny publicznej i prywatnej jest oce-niany jako bardzo niedostateczny.

Powstał w Sta-nach Zjednoczonych Ameryki Północnej dziennik polski, a mianowicie Gazeta Chicagowska. Reda-guje ją niejaki G. A. Klupp — za-łożyciel dwóch osad polskich: Sobieski (w stanie Wisconsin) i Wilno (Min-nesota Południowa).

Redaktorka Blusz-czu, znana i światła pani Maria Hlinska, świeciła niedawno czterdziwcze pracy na literackiej niwie i wydanie 1000 nu-meru pisma. War-szawscy literaci o-fiarowali jej obraz pędzą pani Magda-leny Buttowt-An-drzejkiewicz Prze-chadzka w parku, a czytelnicy — kształ-cie licei bluszcze. Przygotowanie uczy jubileuszowej nadzo-rowała pani Lucyna Cwierzakiewiczowa.

Dyrektorem nowo otworzonego obser-watorium astrono-micznego w Tokio został doktor Jerzy Mocarski, urodzony w Anglii, syn pol-skiego wychodźcy.

Pan Wojciech Kos-sak, syn sławnego Juliusza, dzielnie wstępuje w ślady ojca. Jego ostatni obraz batalistyczny, Granat nieprzyja-cielski, zakupił ce-sarz Franciszek Jó-zef do swych pry-watnych zbiorów.

Pogoda w czas świąt Bożego Naro-dzenia była w tym roku na ziemiach naszych słoneczna — chociaż brakło śniegu, który uroku dniom tym dodaje. W Wigilię rano, w Warszawie, termometry wskazywały +3° C (w południe +7° C), w Krako-wie było rankiem +5° C, później +10° C. Najchłodniej było w Poznaniu — rano +1° C, potem +3° C. Tam też padał chwi-lami drobny, mokry śnieg.

(BoWer)

Wydawca: Krakowskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch” w Krakowie, ul. Wiślna 2

Redaguje zespół

Druk: Drukarnia Wydawnicza w Krakowie, Im. W. L. Anczyca ul. Wawolińska 8

TYGODNIK Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch”. ADRES REDAKCJI: 31-012 KRAKÓW, UL. REFORMACKA 3, TELEKS: przez pl 0322733, TELEFONY: centrala 22-75-88, wewn. 130; 22-18-33 i 22-18-72 (centrala wewnętrzna, łączy z wszystkimi pokojami redakcji), 22-59-54 redaktor naczelny i sekretariat, 22-18-92 redakcja graficzna. Listy można adresować też: KRAKÓW I, SKRYTKA POCZTOWA 533. ADRES WYDAWCY: KRAKOWSKIE WYDAWNICTWO PRASOWE RSW „PRASA-KSIĄŻKA-RUCH”, 31-007 KRAKÓW, UL. WIŚLNA 2, III p., TEL. 22-58-62. OGŁOSZENIA PRZYJMUJE: Biuro Reklam i Ogłoszeń, ul. Wiślna 2, 31-007 Kraków, tel. 22-70-83, oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności. REDAKCJA NIE ZWRACA NIE ZAMOWI- NYCH TEKSTÓW, FOTOGRAFI I RYSUNKÓW.

PL ISSN 0033-2483

Nr indeksu 37142

1345/84 T-7 14 XII 1984

KOLOR BORDOWY

(28 listopada —
7 grudnia)

O ludziach przychodzących na świat na przełomie listopada i grudnia Camille Flammarion był zdania, że mają mocne, wręcz nieugięte charaktery. Dość wcześnie wiedzą czego oczekują od życia i czynią wszystko, aby urzeczywistnić swoje cele. Jeśli zmieniają życiowe plany, to po gruntownym namyśle, uznając że inne sprawy mogą być dla nich korzystniejsze. **Bordowi** to realiści, mocno stojący na ziemi, trzeźwo oceniający wszelkie sprawy i szanse, jak również innych ludzi. Nielatwo ich wprowadzić w błąd mirażami obietnic, wziąć na lep pochlebstw czy komplementów. Chociaż cieszy ich ludzkie uznanie, nie przywiązują nadmiernej wagi do własnej popularności. W traktowaniu innych są bezpośredni i szczerzy — zwykle nie ukrywają swych sądów, jak również sympatii i antypatii. Nawet najbliższych przyjaciół oceniają realistycznie i jak gdyby nieco interesownie — na ile i do czego obecność tych ludzi w ich życiu może się przydać. **Bordowi** niewiele mają zrozumienia dla cudzych słabości, niepowodzeń i kłopotów. Są zdania, że każdy sam kształtuje swe życie i odpowiada za wszystko.

Nie znaczy to, że nigdy nikomu nie pomagają, lecz jeśli to czynią, to dzieje się to raczej z poczucia więzi długolletnich znajomości czy związku krwi, niż współczucia dla innych.

Na ogół nieźle wiedzą się im w sprawach profesji — są dostatecznie zdolni, pracowici i odpowiedzialni, aby zadowolić zwierzchników, stąd też często dochodzą do wysokich stanowisk. Bywają dobrymi lekarzami, prawnikami, sumiennymi bankowcami.

W sferze uczuć temperament goręcej u nich nad sentymentami — łatwo angażują się w przelotne związki, ale zwykle nie na długo, nie znają też uczucia miłosnych cierpień. Mają za dobre mniemanie o sobie, aby brać do serca cudzą obojętność czy zmienność.

Małżeństwa ich bywają szczęśliwsze, jeśli są zawierane w późniejszym wieku i z rozsądku raczej niż z potywu namietności. Kobiety po męsku traktują sprawy uczuć i lubią dominować nad partnerami. Ludzie ci mają wielkie siły życiowe, i dość mocną budowę, choć rzadko kiedy bywają wysocy. Raczej podciągają niż urodziwi, zwracają uwagę partnerów pewnym siebie spo-

TECZA 36 BARW

czyli horoskop

a właściwie apokryf astrologiczny
napisany około roku 1871
przez sławnego później
astronoma francuskiego

CAMILLE'A
FLAMMARIONA

przy współpracy jego przyjaciela,
mało znanego malarza i filozofa

Augusta Nordiera

W Horoskopie Flammariona były już: SZKARŁATY, 10—19 IV, BŁĘKITNY, 20—29 IV (P. 2027); kolor NIEBIESKI, 30 IV—10 V, GRANAT, 10—20 V, BIEL, 21—30 V (P. 2033); BIEL KOŚCI SŁONIOWEJ, 31 V—9 VI, BIEL ŚNIEGU, 10—19 VI, kolor SREBRNY, 20—29 VI (P. 2035); SELEDYN, 30 VI—9 VII, ZIELEŃ, 10—19 VII, kolor ŻŁTY, 20—29 VII (P. 2039); barwa ŻÓŁTA, 30 VII—8 VIII, OCHRA, 9—18 VIII, UMBRA, 19—28 VIII (P. 2044); barwa POMARAŃCZOWA, 29 VIII—7 IX, barwa BRUNATNA, 8—17 IX, INDYGO, 18—27 IX (P. 2048); LAZUR, 28 IX—8 X, BŁĘKITN PARYSKI, 9—18 X, KARMIN, 19—28 X (P. 2053); PURPURA, 29 X—7 XI, BURGUND, 8—17 XI, CYNOBER, 18—27 XI (P. 2057).

sobem bycia. Na ogół nie do-
żywają późnej starości, a
przyczyną ich śmierci są cho-
roby o gwałtownym przebiegu.

AMARANT (8—17 grudnia)

Zmienność, ruchliwość i niestalość — to cechy, które w większym lub mniejszym stopniu mają wszyscy urodzeni w tej dekadzie roku. **Amaranty** to ludzie żywiolowi, łatwo zapalają się do różnych spraw, cięszą ich wszelkie nowości, zawsze są czymś zafascynowani, czemuś poświęcają się bez reszty. Jeśli czegoś pragną — to całym sercem, gotowi wszystko oddać, aby zaspokoić swoje zachcianki. Ta cecha popycha ich nieraz do postępku lekomyślnych, gwałtownych i nieprzemyślanych, za które, niestety,

drogo płacą. Można twierdzić, że **Amaranty** częściej niż inni ludzie doświadczają niepomyślnych zmian losu, popadają w sytuacje trudne, tracą zarówno majątek, jak i dobrą sławę.

Nie mają trzeźwej oceny ludzi, nie dopisuje im na ogół szczęście w interesach, czasem mylą się w wyborze profesji, zmieniają parokrotnie kierunki nauki, a później i zawody.

Wielu z nich to artystyczne dusze — nawet gdyby natura odmówiła im rzeczywistych talentów w tym względzie. Mają żywą wyobraźnię, łatwo męczą się i nużą codziennymi obowiązkami, pociągają ich izomaitość i zmienność.

Amaranty są miłe, wesole, a w towarzystwie wręcz czarujące. Tak mężczyźni, jak i kobiety mają dar podobania się, lubią uwodzić i kokietować osoby płci przeciwnej, sympac komplementami i obietnicami. Czasem ich urok i zmienność uczuć są powodem

towarzyskich niesnasek, a nie-
raz i skandali.

Rzadko kiedy mają przez całe życie tylko jednego współmałżonka — a już wyjątkowo są dłużej z tego samego towarzysza życia zadowoleni. Tak mężczyźni, jak i kobiety nie wykazują cnót domowych czy rodzinnych, zastępując je (nie zawsze) w oczach innych skutecznie) miłym sposobem bycia. Z tej to racji otoczenie wiele im wybacza — chociaż do czasu.

Jeśli gustuje się w osobie urodzonej w tym okresie — nie warto zbytnio na nią liczyć — szczególnie w trudnościach, lecz trzeba się nią cieszyć i wybaczać.

Większość **Amarantów** lubi taniec, wszelki ruch, gwar i podróż. Najlepiej czują się w atmosferze beztróski i zabawy, otoczeni dużym gronem towarzyskim, nie myślą o jutrze, żyją chwilą. Przypominają z usposobienia konika polnego z bajki La Fontaine'a. Zarówno swoje, jak i cudze kłopoty bagatelizują, pocieszając się myślą, że trudne sprawy niejako rozwiążą się same lub że załatwią je inni.

Oddawanie się przyjemnościom skracają nieraz **Amarantom** życie. Także nieostrożność staje się czasem przyczyną ich kłopotów zdrowotnych, a nawet przedwczesnej śmierci. Można twierdzić, że większość tych ludzi żyje krótko i dość burzliwie, lecz za to radośnie, niczego nie żałując i nieczym się zbytnio nie martwiąc.

FIOLET

(18—27 grudnia)

W przeciwieństwie do swych poprzedników w **Tęczy 36 barw Fiolety** są spokojne, zrównoważone i solidne. Można im ufać tak w ważnych, jak i w mniej istotnych sprawach, można też na nich polegać. Od dzieciństwa nad wiek poważni, w wieku dojrzałym mają nawet opinię sensatów, a czasem ludzi powolnych i upartych. Jednakże upór ich wynika nie z braku inteligencji, lecz stałości przekonań i pewnej ostrożności wobec wszystkiego, co się wokół nich dzieje. **Fiolety** niczego nie czynią bez namysłu, chociaż nie lubią się radzić nikogo, oprócz własnego rozsądku, gruntownie rozważają wszystkie za i przeciw — i zwykle podejmują właściwą decyzję.

W młodości brakuje im czasem pewności siebie, nie są zadowoleni ze swego charakteru, zdolności, wyglądu. Pracują jednak usilnie, aby uzupełnić ewentualne braki natury. Tak mężczyźni, jak i kobiety dbają bardzo o siebie, odznaczają się starannością w ubiorze, zwraca-

ją wielce uwagę na swój sposób bycia, czynią wszystko, aby w oczach innych ludzi wypaść jak najlepiej. Wynika to wszakże nie z jakiejś przemożnej chęci przypodobania się otoczeniu, lecz z właściwego **Fioletom** dążenia do doskonałości. Jeśli nawet nie uda im się osiągnąć najlepszej pozycji — to zawsze zyskują więcej niż można byłoby się po nich spodziewać, oceniając ich szanse za młodu.

Fiolety sprawiają zwykle miłe rozczarowanie rodzinie i samym sobie, kiedy z zamkniętych, milczących i mało efektywnych dzieł wyrastają na wartościowych, uznawanych przez innych i wysoko cenionych ludzi. Budzą oni zresztą w otoczeniu nie tylko szacunek, lecz i sympatię, chociaż, aby naprawdę polubić człowieka urodzonego w tej dekadzie roku trzeba znać go dłużej.

Fiolety nie są skore do zwierzzeń, niezbýt chętnie mówią o sprawach własnych, nigdy też nie zdradzają cudzych sekretów. Przyjaciele cenią więc wysoko ich dyskrecję i uczynność, gdyż rezerwa **Fioletów** wobec innych kryje w sobie nieraz wielkie pokłady serdeczności i współczucia.

Są wielce przywiązani do swojej rodziny, bywają ostoją dla słabych czy uboższych krewnych, spieszą z pomocą nawet lekkomyślnym. Dobrze radzą sobie w codziennych sprawach — kobiety **Fiolety** mają wiele talentów domowych i macierzyńskich cnót.

Czasem zarzuca im się pewną pozorną szorstkość i zbyt tnie wymagania wobec współmałżonków, wynika to jednak z faktu, że i same względem siebie nie są pobłażliwe.

Fiolety są pracowite i wytrwale, na ogół więc dochodzą do czegoś w życiu. Czasem szczęści im się w interesach, chociaż nigdy nie idą na hazard w tym względzie, bądź na najmniejszą nawet nieuczciwość.

Fiolety, choć niezbýt urodziwe, potrafia podkreślić walory własnego wyglądu, wykazują też wiele dobrego smaku w ubiorze. Są zwykle wysocy, o nieregularnych rysach, sprawiają jednak wrażenie ludzi budzących zaufanie i solidnych, co zjednuje im nieraz grono wiernych przyjaciół. Cieszą się dobrym zdrowiem, a wszelkie dolegliwości skłaniają ich do wytrwałych leczniczych kuracji, dlatego też dożywają późnego wieku w dobrym samopoczuciu fizycznym.

Listy
o filmie

E.T.

Stworek-
przyjaciel
z kosmosu...

USA

Moi Drodzy!

Na okres świąteczny — dla dzieci i dorosłych — znakomita rozrywka! Steven Spielberg, bezbłędnie wyczuwający potrzeby kinowej widowni, doszedł widocznie do wniosku, że dość już Gwiezdnych wojen, dość straszna nas groźnymi przybyszami z kosmosu, dość atmosfery zagrożenia. Uznał, iż człowiek poczuje się znacznie lepiej i bezpieczniej, gdy tajemnicza istota z innej planety okaże się sympatyczną, zycząca a przede wszystkim... bezbronna, potrzebująca naszej opieki i pomocy, zagubiona i niepewna u nas co najmniej tak, jak my, ludzkość, gdy stawiamy pierwsze kroki w przestrzeni międzyplanetarnej. I oczywiście, człowiek dodatkowo się wzruszy, gdy przyjaciółmi i opiekunami małego kosmity zostaną... dzieci! równie bezbronna, a przecież umiejtnie wystawiające do wiatru całe ekipy naukowe i policji, polujące na biednego E.T. (skrót od „The Extra-Terrestrial”) — „Dodatkowy mieszkalec Ziemi”...

Przewidywania Spielberga sprawdziły się w każdym szczególe. E.T. stał się kolejnym supersławnym kasowym (był w 1981 najbardziej kasowym filmem wszech czasów!), a jednocześnie bardzo dobrze przyjęła go krytyka, do-

strzegając nie tylko świetnie pomyślaną i świetnie „ożywianą” sylwetkę głównego bohatera, nie tylko widowiskowe i dowcipne efekty specjalne (jest ich tu zresztą bez porównania mniej, niż w „klasycznych” filmach science fiction), lecz również ważne humanistyczne przesłanie: z przybyszami z kosmosu, jak z każdym, można się porozumieć i można się zaprzyjaźnić, trzeba jedynie okazać trochę serca i trochę dobrej woli. Prześtaliśmy się straszyc, przestaliśmy się bać, zaczniemy się lubić!

E.T. jest mały, zabawny (choć potrafi być i wzruszający), trochę niezdarzy i raczej niegrabny. Umie wprowadzić zadziw swych ziemskich koleżków paroma sztuczkami (choćby unieść się wraz z całym towarzystwem w powietrze, gdy trzeba — umyć przed nadciągającą pogonią), lecz są to w sumie sztuczki dość proste, a przede wszystkim niewadzące nikomu. Sam E.T. jest natomiast mocno speszony zamieszczeniem, jakie wywołal swym pojawieniem się na Ziemi, a przede wszystkim — zabija go rozłąka ze swymi kranajami z innej planety. Rozłąka spowodowana prozaicznymi względami: E.T. spóźnił się na statek kosmiczny, który musiał wystartować z Ziemi, by uniknąć kłopotliwego starcia z ludźmi.

Wszystko tu jest idealnie wyważone: i uśmiech, i łza (niech znajdzie się taki, kogo nie rozczulił finałowa scena!), i trochę psychologii, i trochę emocji; doskonałe typy dzieciaków grających bardzo naturalnie i swobodnie, pełna wdzięku (i mmo niewątpliwie szpetoty) postać E.T.... Krótko mówiąc, znakomite „kino dla rodzin”, gwarantujące zabawę dla widzów w każdym wieku; ja też zresztą zaliczam się do entuzjastów sympatycznego stworka.

A najbardziej imponuje mi to, że Spielberg, jakkolwiek temat weźmie do obróbki, potrafi przemienić go w złoto... Tak było przecież z jego wcześniejszym, całkiem odmiennym spojrzeniem na kosmos (*Bliskie spotkania trzeciego stopnia*), tak było z dreszczowcami typu Szczęki, czy przegodowymi baśniami w rodzaju *Poszukiwacz zaginionej arki*. Ma jakiś szcżyty zmysł, który odpowiada mu czegoś w danym momencie potrzebuje masek, po czym sztuczki i masek widownia, po czym życzenia i masek widownia realizuje z podziwu godnym talentem, o czym z głębokim przekonaniem powiadamia Państwa, Wasza —

Aleksandra

PROSIMY NIE POWTARZAC

O prawdziwym postępie będzie można mówić dopiero wtedy, kiedy z plastikowych choinek też zacznie opadać igliwie.

Judyń był społecznikiem indywidualnym i nieetatowym.

Laternik był człowiekiem zahartowanym, ale siła poezji ojczyjstwa dosłownie ścieła go z nóg.

Owies utracił swoje walory odżywcze od kiedy zlikwidowano kawalerię i konnice.

Naukowo rzecz ujmując, nie ma wschodów i zachodów słońca, jest tylko kręcenie się Ziemi w jedną lub drugą stronę.

HUMOR ZESZYTOW z listu od BR z Warszawy. Dziękujemy.

FILITER

O WACUSIU

— Czy świętych Mikołajów, którzy pracują tylko kilka dni w roku, również należy uważać za element pasywny i czy uchyliający się od pracy?

LADY DESPERATA

Ogłoszenie z nr 226 „Kuriera Polskiego”: PANI, 40-letnia, pozna pana, wiek 45-55 lat, konieczne brzydki, może być bez mieszkania, z nalaganiami i dziećmi. No, tą to wyraźnie przyparto. (Nadesłał: J. Świrski)

W matych porcjach

Ogłoszenie z nr 270 „Dziennika Zachodniego”: KUPIĘ kasę pancerną (wielką lub półtowielką). Pokroć, ożwiżcie, do- bry pan kasarz. (Nadesłał: C. Stenkowski)

Kup pan pomysł

Ogłoszenie z nr 287 „Głosu wielkopolskiego”: Posiubie pana po 40-tych.



The New Yorker

— Każdy w Boże Narodzenie staje się dzieckiem, tylko nie ty.

NOWA AKCJA

Ogłoszenie z nr 283 „Gazety Robotniczej”: GMINNA SPÓŁDZIELNIA „SAMOPOMOC CHŁOP- SKA” w Niemceży PRZE- Prowadza AKTUALIZAC- CJĘ CZŁONKÓW. Jeśli tylko nie koleżysku- ja, to dlaczego nie, zawsze przyjemnie mieć aktual- nego. (Nadesłał: W. Orłowski)

WIGILIJNY DESER

PODAJE: redaktor J. D. W nawiązaniu do rodzinnej tradycji chcę zaproponować latwy i do szybkiego stosunkowo przygotowania deser z maku. Tradycyjnie mak należy do skład- ników wigilijnej kolacji, gdyż był od pradaw- nych czasów symbolem płodności i bogactwa. Opiłkany mak odcieci i zaleć wrzącą wodą; chwilę pokrzywać na ogniu, aby można go roz- trzeć (nie gotować). Służący kiedys do tego spe- cjalne makuty. Obecnie zwykle 2-3 razy przetrze- ca się go w maszynce do mięsa z gęstym sitkiem. Do rondla dać 3-4 łyżki masła lub margaryny (na- dąć mak orzą cukier mączkę (25 dkg). Rozmieszać. I siodła mągić, ew. odrobnie oleju migdałowe- go). Posiubie przed wigilijnym rodzynka- mi. Maska moja przed wigilijnym rodzynka- mi (nie pokrojonej w plasterki sucharki, ale można też użyć do tego desku). Kupie sucharki lub uszone piastki kupie chaki. Na okrągłej podstawce, jak pod tort, ułożę war- stwę sucharków. Na niej ułożę warstwę maku.

Gdzie jest to, co powinno być pod choinką?

Ty mnie nie pytaj chłopczyku, Ty mnie nie pytaj dziewczynko, Gdzie się podziało to wszystko, co winno być pod choinką.

Widzisz, kochanie, w Historii Bywają takie zakrety, Które ogromny wpływ mają na nasze gwiazdkowe prezenty.

Skomplikowana to sprawa, Moc wiatków tu się przenika, W efekcie, kochanie, twój prezent przybiera postać — guzika.

Nawet z dorosłych do końca nikt tego pojąć nie może, Że miało być coraz to lepiej, A było coraz to gorzej.

I wreszcie sami anieli Z czego dokładać nie mieli, Choć w świetle różnych sprawozdań, to my się pięli, a pięli!

I mimo że my się tak pięli I czoło stawiali w walce, To jakos nam nagle wszystko zaczęło przeciekać przez palce.

Do głów się też jadowało, Co trzeba, W najlepszym gatunku. A mimo to przeciekało. I to w nieznanym kierunku.

Dosłownie na każdym kroku wszystkiego robiło się mało, Aż w końcu już nie starzało Nawet na plewy z kakao.

A plewy z kakao, wiadomo, przysmak to cenny i rzadki, Bez niego nawet pan Wedel Nie zrobi czekoladki.

W dodatku sporo tatusi Pracuje ciągle na kacu, I przez to pod tą choinką tyle wolnego jest placu.

(dalsze wiersze dla dzieci na stronie 16—17)

DZIELNI

(ok. pół cm). Znow sucharki, mak i sucharki. Wierzech obłożyć małym makiem. Powstanie okra- bry tortu, który można przybrać migdałami. Przed podaniem wysmażyć go za okno lub do lo- dówki, ale nie powinien być zamarznięty. Podać po- miedzy z puszką. * „A”, eliminacji olimpiady szachowej rozgrywanej w Seattle (USA). Najpierw wzięli na wle- zę, a potem pikami bili konia. (Nadesłał: S. Rępański)